



Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



L·CHRISTIANS

PIEKŁO



WIEKU



L·CHRISTIANS

PIEKŁO



WIEKU



Ms 521 v. 14

PIEKŁO XX WIEKU

Prawa przekładów i przedruku zastrzeżone.

Copyright by Ludwik Christians
1 9 4 6

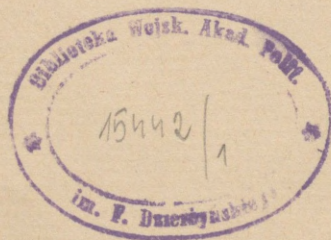
LUDWIK CHRISTIANS

PIEKŁO XX WIEKU

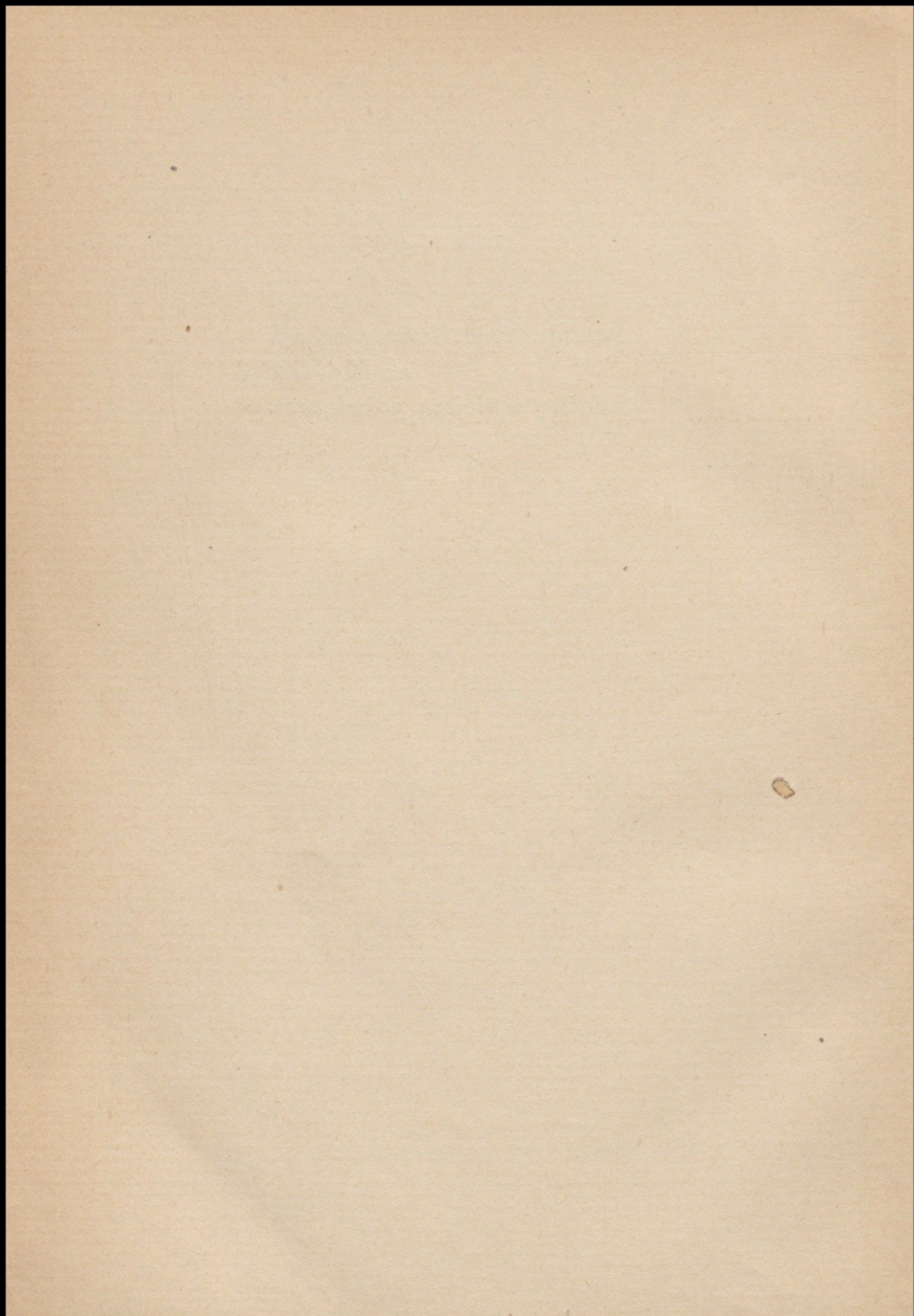
ZBRODNIA, HART DUCHA
I MIŁOSIERDZIE

SKŁAD GŁÓWNY:
KATOLICKIE TOWARZYSTWO WYDAWNICZE
„RODZINA POLSKA“ W WARSZAWIE

321.60

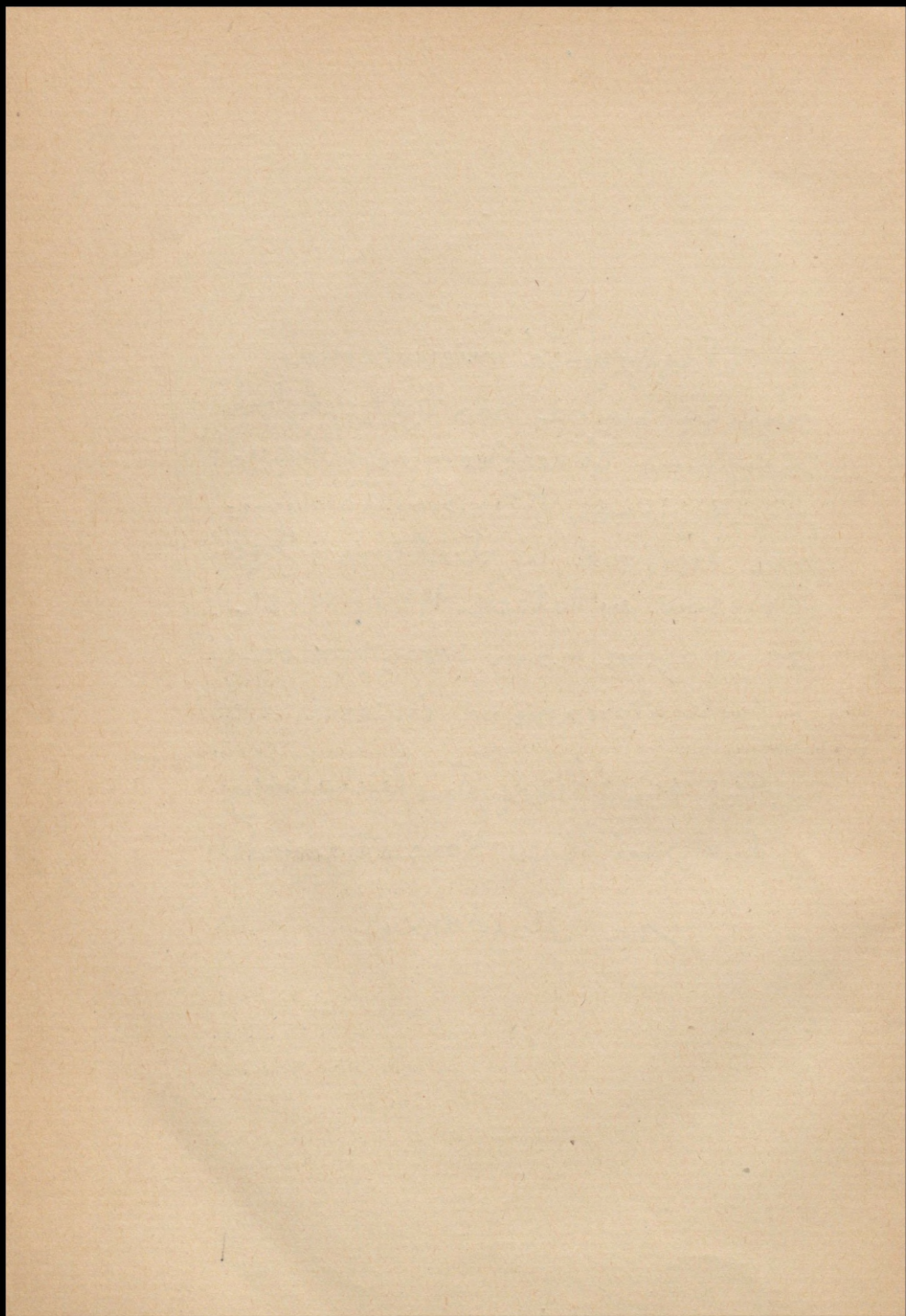


*Pamięci tych, którzy zginęli
na MAJDANKU
książkę niniejszą poświęcam.*



Wdzięczność niezmienna
należy się od nas tysiący byłych
więźniów Koncentracyjnego Obozu
na Majdanku Polskiemu Czerwone-
mu Krzyżowi w Lublinie i Jego
Prezesowi w latach 1940-1945 -
za okazane nam serce, pomocy
— uratowanie od śmierci

Prof. Stanisław Reichalowi
b. więźniowi obozu Koncentracyjnego
na Majdanku



OD AUTORA

Poświęcając tą książkę pamięci tych, którzy odeszli w chwale męczeństwa, czynię to w głębokim przeświadczeniu, że Oni i my żyjący w okresie niewoli hitlerowskiej, w czasach klęski i wyniszczenia, będących jednocześnie epoką największego ze zwycięstw moralnych Narodu Polskiego, byliśmy złączeni wspólnotą odwiecznej idei miłości bliźniego.

Wiara w ideę była najwyższym nakazem prowadzącym Ich w porywie walki o ludzkie prawa i godność narodową do samozaparcia się i ofiary jednostki na rzecz zbiorowości, jaką jest Ojczyzna.

Naszym zadaniem, „żołnierzy służby miłości“, było nieść pomoc cierpiącemu człowiekowi pod szczytnym znakiem Czerwonego Krzyża.

Cierpliwy czytelnik, biorąc do ręki tą książkę, niech pamięta, jaką myślą kierowany zdecydowałem się ją napisać. A dalej, że kartka po kartce z tych heroicznych dziejów i przeżyć naszego narodu, na odcinku omówionym w pracy niniejszej, była spisywana w okresie nie-

woli, w czasach największego terroru, nieznane-
go przedtem ludzkości, pod stałą groźbą rewizji
i aresztowania.

Niebezpieczeństwo z jakim tą książkę pisa-
łem niech będzie usprawiedliwieniem usterek,
jakie niewątpliwie zakradły się do niej.

Czuję się w obowiązku usprawiedliwić przed
tymi wszystkimi, których listy, wspomnienia,
lub inne wypowiedzi umieściłem w tej pracy bez
ich wiedzy — uczynilem to, sądząc, że jak dzieje
minionych lat niewoli, tak i przeżycia nasze
w tej lub innej formie są już dziś częścią historii,
a więc do nas indywidualnie nie należą.

Jedną z głównych przyczyn, która sprawiła,
że książkę tą — skończoną w maju 1944 roku —
dopiero teraz oddałem do druku, była moja
służba publiczna, absorbująca cały mój czas
i myśli. Ogrom nieszczęść, jakie spadły na nasz
naród sprawił, że uznałem za swój pierwszy
obowiązek:

zorganizować w ramach P. C. K. pomoc
szpitalną dla żołnierzy i inwalidów Wojska Pol-
skiego; ratować ludność cywilną, zwłaszcza
w pasie przv - frontowym; zapewnić pomoc
i opiekę tysiącom jeńców cudzoziemskich i by-
łym więźniom koncentracyjnych obozów; zorga-
nizować Polski Czerwony Krzyż na terenie
całego kraju i zapewnić mu odpowiednie stano-
wisko na forum międzynarodowym.

Gdy to wszystko zostało spełnione, oceniając z perspektywy oddalenia prace minionych lat, sądzę, że przyszedł po temu czas, by fakty, stanowiące niewątpliwie piękno moralne z przeżyć społeczeństwa polskiego w okresie pięciu lat okupacji utrwalić.

Męczennikom na chwałę, obecnym na przetrwanie, a przyszłości na wzór.

Nieszczęściem pokolenia żyjącego w latach ostatniej wojny było, iż musiało ono przetrwać ogrom cierpienia, doznać nieznanym przedtem okrucieństw wroga i być świadkiem kompletnego odczłowieczenia istoty ludzkiej, a z drugiej strony przeżyć chwile największego napięcia uczuć i odrodzenia się wiecznych wartości, które jedynie dać mogą okresy przełomowe w dziejach ludzkości.

Zbrodnia, hart ducha, poświęcenie i miłosierdzie — oto treść niniejszej książki.

Koncentracyjny Obóz na Majdanku, ta jedna z otchłani rozsianych na wilkim szmacie globu ziemskiego, gdzie panoszyło się władztwo germanów, był jak się zdaje, jedynym obozem w którym ponad zbrodnią wroga i heroizmem ofiar unosiła się ratująca dłoń zorganizowanego na dużą skalę miłosierdzia, niosąc ulgę, pomoc i ratunek od śmierci.

„Październik 1943 roku. Majdanek Koncentracyjny Obóz“.

„My, więźniowie, wiedzieliśmy ile przeszkód trzeba było pokonać by ta pomoc mogła do nas dotrzeć“. „Wiele tysięcy nieszczęśliwych zachowało życie“. „Wielu tysiącom dzieci Polski Czerwony Krzyż uratował ojców, żonom mężów, rodzicom dzieci“.

„Polski Czerwony Krzyż niósł pomoc wszystkim w obozach koncentracyjnych: Polakom, Rosjanom, Żydom, Czechom, Słowakom i wielu innym“.

„Nikogo nie pytał o narodowość, wyznanie, zapatrywanie polityczne. Pomagał nieszczęśliwym“.

„Gdyby można było spisać słowa modlitwy, wdzięczności i uznania uratowanych od niechybnej śmierci dla tej instytucji, powstałyby z tego wielkie tomy“.

(Wyjątki z listu b. więźnia O. K. na Majdanku, Józefa Kobylińskiego, opublikowanego w prasie warszawskiej w dniu 6 czerwca 1946 r.)

W czasach kataklizmu niosącego zagładę wszelkim wartościom moralnym, w okresie, gdy hitlerowska bestja zaczęła szaleć, równocześnie nastąpiło odrodzenie idei Człowieczeństwa.

Wprawdzie po zakończonej walce o te nieprzemijające wartości nie możemy doliczyć się w Polsce około siedmiu milionów współobywateli. Wprawdzie staliśmy się materialnymi

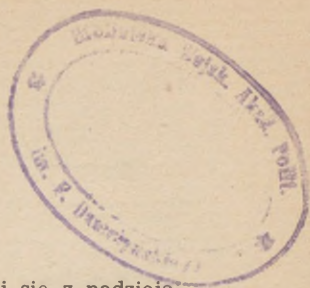
nędzarzami, jednocześnie jesteśmy jednak bogaci dumą ze spełnionego obowiązku i z dochowania wierności danych przyrzeczeń, co stanowi o wielkości naszego Narodu, zapewniając Mu należną przyszłość.

Jeżeli Naród Polski, co zdaje się nie ulegać wątpliwości, na przestrzeni sześciu lat minionej wojny, dał dowody heroicznych cnót, poniósł największe ofiary, dokonał czynów, którymi żaden inny naród nie może się poszczycić i w najtragiczniejszej dla siebie dobie, w porywie uczuć miłosierdzia niósł pomoc nie tylko swoim lecz i obywatelom innych państw, to do smutnych zjawisk należy zaliczyć fakt, że dziś w Polsce mamy miliony dzieci zagrożonych chorobami, a tysiące umiera nie otrzymując należynej skądinąd pomocy, która mogłaby je ocalić.

Wkład Narodu Polskiego w dzieło pokoju uzasadnia wiarę w lepszą przyszłość.

Wierzmy, że w urzeczywistnieniu czynnej miłości bliźniego będą uratowane polskie dzieci i powstanie z ruin i cmentarzysk męczeńska Warszawa, — te nowożytnie Termopile świata — której ludność od 1939 roku, aż do ostatnich chwil walki dała wyraz heroizmu i wierności w walce o najwyższe prawa człowieka. I będzie wzniesiona nowa stolica wysiłkiem nie tylko naszym lecz i innych zaprzyjaźnionych narodów, jako symbol idei wolności, o którą walczyła.

Oddając do rąk czytelnika niniejszą książkę, uważam, że spełni ona swoje zadanie, jeżeli stanie się jednym z przyczynków do wzbudzenia w czytelniku głębokiego przekonania, że niezłomna wiara w Ideę Miłości Bliźniego, jako szczytowy wyraz człowieczeństwa, poświęcenie, bezinteresowność i odwaga powiązana z roztropnością stanowi jeden z głównych probierzy wartości jednostki i narodu.



„Ty, który wchodzisz, żegnaj się z nadzieją...
Na odrzwiach bramy ten się napis czyta —...
Stamtąd westchnienia, płacz, lament chorałem
Biły o próżni bezgwiazdnej tajniki:
Więc, już na progu stając — zapłakałem.”
Dante: Piekło, Pieśń III.

CZĘŚĆ PIERWSZA

Rozdział I

OTCHŁAŃ

Gdzie niegdyś, „jak wieść gminna niesie“,
zawarta w pradawnych nazwach miejscowości,
obozowiska swoje rozbijali Tatarzy; gdzie
branki jasyru, starzy i młodzi w modlitwach
błagalnych ratunku szukali — tam, wśród dre-
wnianych baraków powstała największa hańba
dwudziestego wieku, hańba Germanów!

Majdan Tatarski — Kriegsgefangenenla-
ger*), obozem na Majdanku pospolicie zwany,
wrył się jak rana ropicjąca, straszna w duszę
Polaków. Warszawa, Radom, Lublin, Lwów
i Zamość — Bilgoraj, Janów, Kraśnik i Puławy

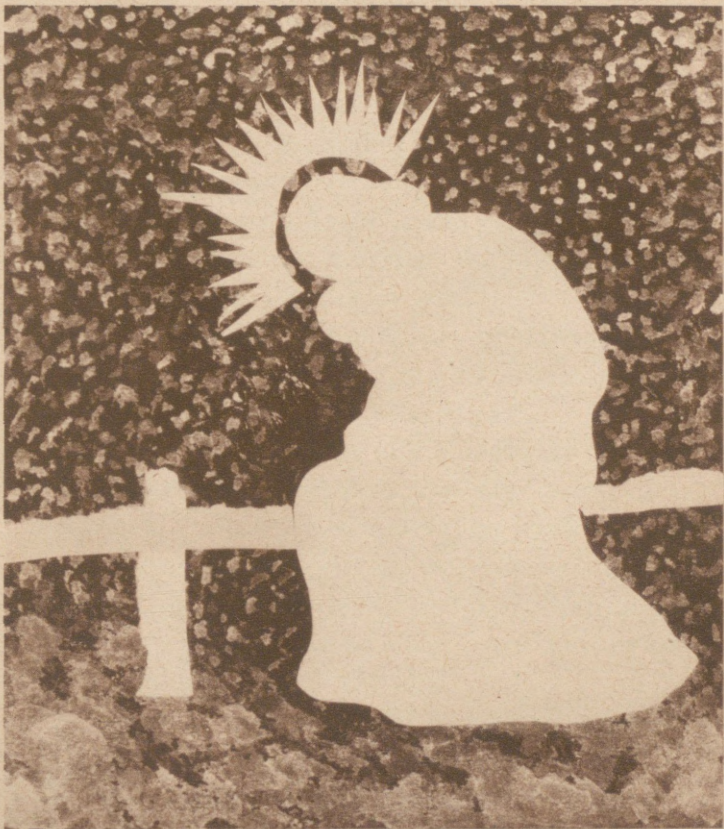
*) Od marca 1943 r. została zmieniona oficjalna nazwa
obozu na Konzentrationslager Waffen SS in Lublin.

— we krwi zboczona Lubelszczyzna cała —
Podgórze Karpat i dalej Beskidy. Wszyscy
musieli tysiącami ofiar okupić krwiożercze bar-
barzyństwo wroga.

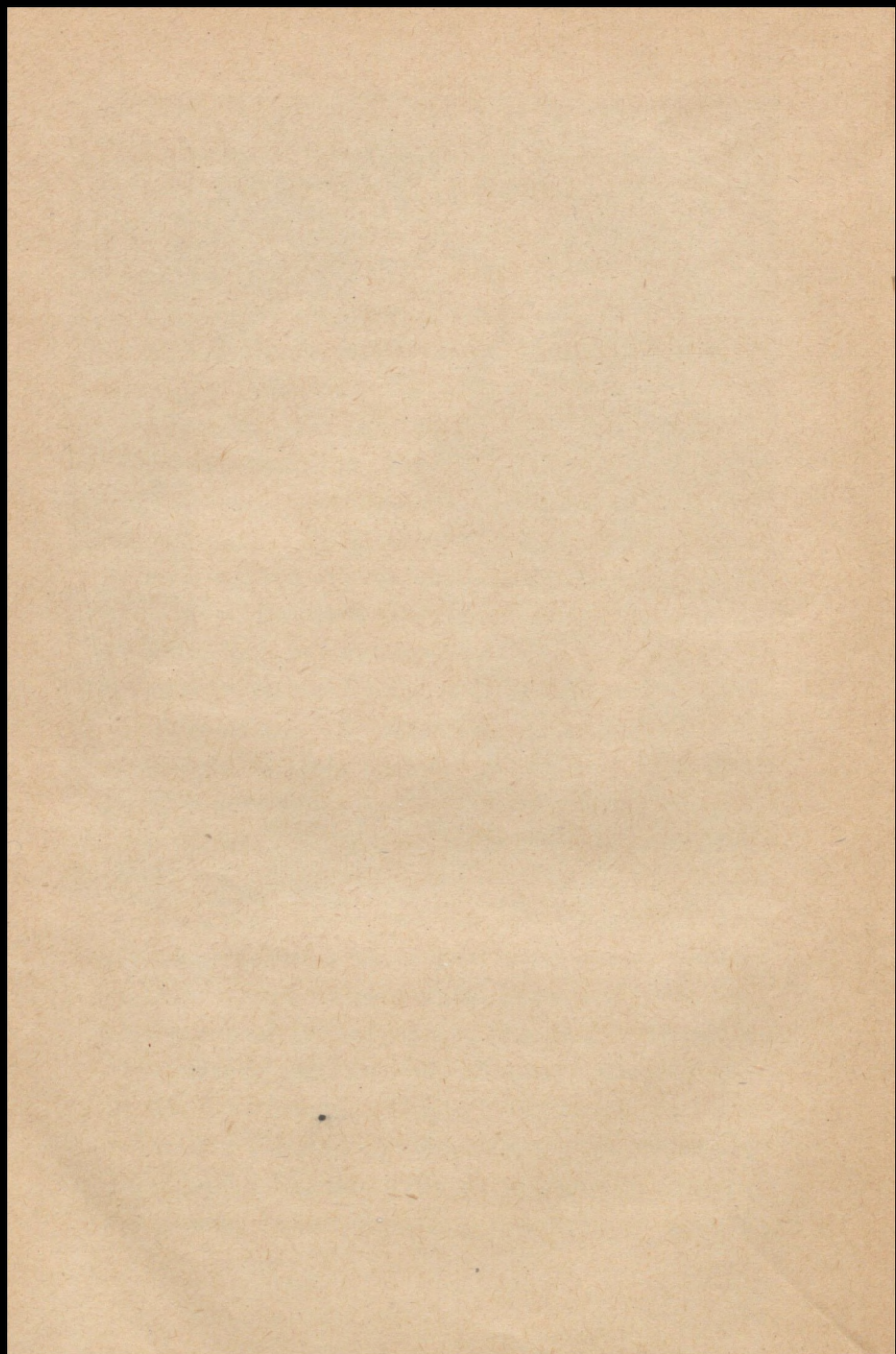
Totalizm wojenny Dżingis - Chana jest ni-
czym w obliczu totalnego barbarzyństwa hitle-
rowskich Niemiec. Ta między innymi zacho-
dzi różnica, że gdy pierwszy służył tylko do
podbicia, drugi w pokonaniu upatrywał nie-
ograniczoną swobodę... unicestwiania złama-
nego wroga. Tą jeszcze wyższość mieli Mon-
gołowie nad zwyrodnialcami Trzeciej Rzeszy,
że żyli w dziejach o siedem stuleci wcześniej,
niżli Hitler, żyjący w wieku wysokiej kultury
i zawrotnych zdobyczy cywilizacyjnych świata.

Wyzwolona z wszelkich więzów bestia
niemiecka poczęła szaleć. Katakлизм, któremu
na imię „totalna wojna“ dwudziestego wieku,
niczym orkan, w swym pochodzie niszczył
wszystko, co wielkie, szlachetne i święte.

To dzieło hitlerowskich Niemiec nie ma nic
równego sobie w historii świata; jest w swoim
rodzaju czymś największym, prosto jedynym.
Żaden umysł ludzki opromieniony genialnością
najwyższych wzlotów, nie stworzył, nie wymy-
ślił nic podobnego. Gdyby: Majdanek, Bełżec,
Sobibór i Zamość, Dębicę, Oświęcim. twierdzę
Dęblińską i Chełm, wraz ze wszystkimi innymi
miejscami kaźni zebrać i umieścić w jednej



Obrazek wykonany przez jedną z więźniarek obozu i przesłany
z życzeniami na Boże Narodzenie do Polskiego Czerwonego Krzyża
w Lublinie.



wielkiej kotlinie, to powstałoby coś, co w swej Boskiej Komedji Dante nazwał Piekłem.

Piekło męki fizycznej bez dna i piekło rozpaczy bez granic.

Do tego wszystkiego należy dodać, że to hańbiące arcydzieło Niemiec do usług swych miało wszystkie najnowsze zdobycze. Dlatego też nie był to jakiś nieudolny prymityw, lecz w systematyczne karby ujęta naukowa organizacja niemieckiego barbarzyństwa.

By mieć w przybliżeniu chociaż jaki taki obraz, zejdźmy do jednej z czeluści tego nowoczesnego piekła. Zastrzec się należy, że język ludzki, najwyższy dar i przejaw ducha, jak źle dopasowany strój, zaledwie w części będzie mógł odtworzyć ogrom potworności i cynizmu dokonanej przez Niemców zbrodni.

Majdanek, miejsce ciszy, udręczeń i śmierci, to przecież miasto — drugi niemal Lublin. Jak daleko sięgnąć można okiem, równe szeregi drewnianych baraków, obramowanych dookoła łańcuchem strzelniczych wież. Szeregi słupów i drutów kolczastych, szeregi ostrzeżeń i lamp, szeregi małych smutnych okien, szeregi — bez końca szeregi umęczonych więźniów — wreszcie szeregi równo ułożonych, skostniałych w ostatnim śmiertelnym skurczu ciał.

W tej przytłaczającej jednostajności napróżno siliłby się ten, ktoby chciał odnaleźć barak, na

którym się obóz zaczyna i barak, na którym się kończy. Tak jak napróżno chciałby ustalić dzień początku i końca męki, każdego z więźniów.

Od Majdanu Tatarskiego, od sławnej kolejowej bocznicy po przez dawne lotnisko, aż po Abramowice rozpostarł swą siedzibę koncentracyjny obóz. Pas drutów kolczastych, oświetlony w nocy co kilkanaście kroków lampami, otaczał go z zewnątrz.

Podwójny system drutów, uzupełniony przewodami wysokiego napięcia, zamykał szczelnie sześć olbrzymich pól.

Czternaście wież strzelniczych wznosiło się dookoła. Dzień i noc: Niemiec, Litewcy i Ukraińcy strażnicy byli gotowi w każdej chwili z karabinów maszynowych siać śmierć wśród wynędzniałych, zamęczonych, głodnych i stłoczonych więziennych mas.

By pozbawić więźniów nawet nadziei ewentualnej ucieczki i odciąć zupełnie od zewnętrznego świata, służbę wartowniczą uzupełniała sfera 200 specjalnie tresowanych psów.

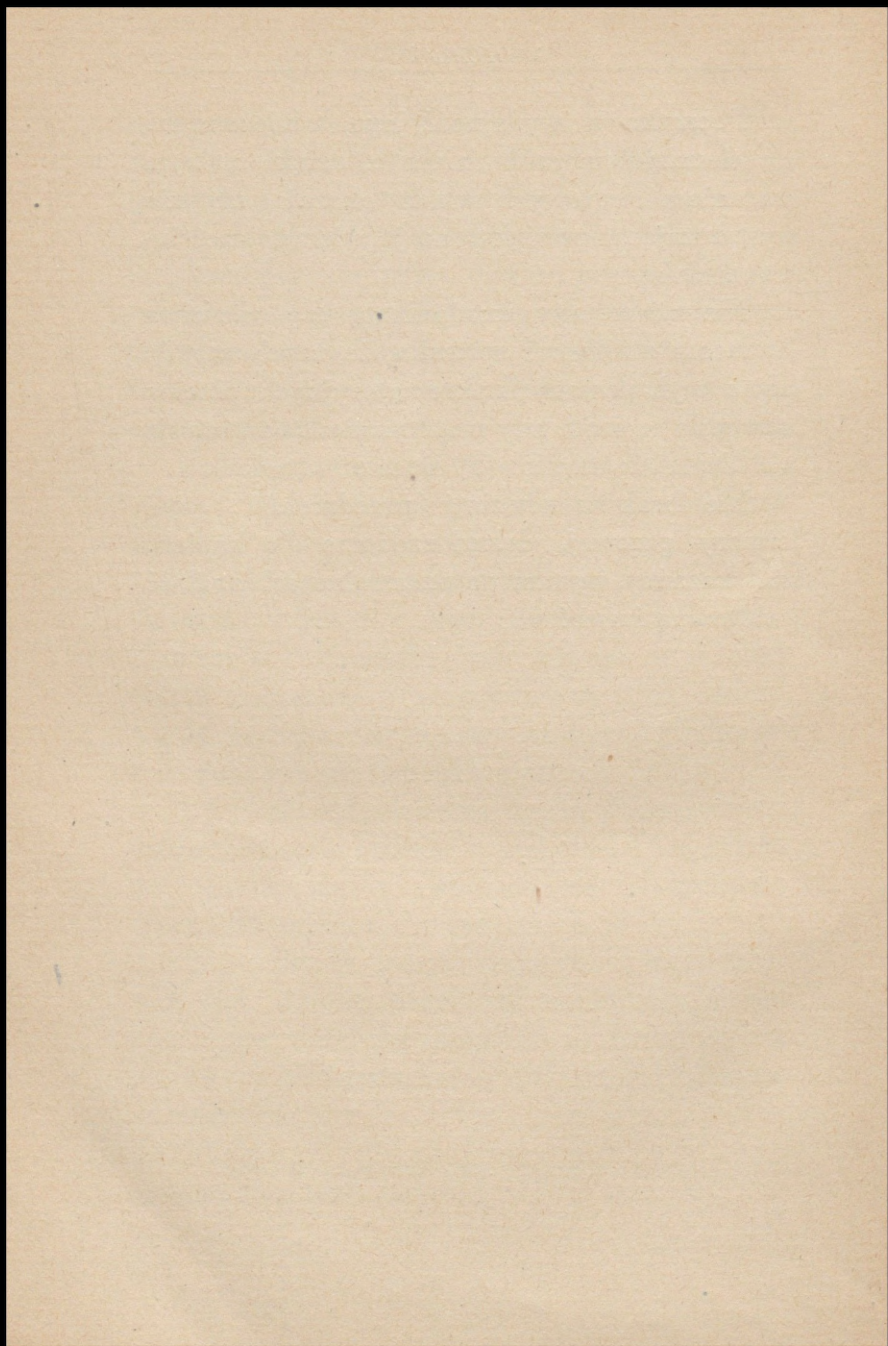
W środku, w samym sercu majdankowskich pól, stoi „ostatni przybytek obozowego ukojenia“, kres wszelkiej męczarni — krematorium — szczyt humanitarnej wynalazczości mózgów niemieckich*).

*) Nowe krematorium wybudowano na zewnątrz obozu, vis á vis V pola.

Początkowa wydajność jego, obliczona na sto dwadzieścia osób dziennie, dzięki usilnym staraniom obozowych władz okazała się nie wystarczająca; powiększono ją więc do sześciuset na dobę.

Nie wiem, czy ironia losu, czy właściwa Niemcom złośliwość sprawiła, że uruchomienie nowo wybudowanych krematoryjnych pieców nastąpiło w dniu, gdy międzynarodowa komisja zwiedzała Majdanek? (30 lipca 1943 roku).

Nie brak w obozie i „przedpiekła“, czyli kamery gazowej, dokąd rzekomo dla kąpieli, szli skazańcy, by tam po paru minutach znaleźć gwałtowną śmierć.



Rozdział II

GŁÓD

W obozie ponad wszystkim dominował głód. Głód, co skręca trzewia i zamracza zmysły, prosty, zwierzęcy głód. Sprawiał on, że wkrótce, po paru już tygodniach, z najsilniejszego mężczyzny pozostawał tylko skórą obciągnięty kościsty trup.

Nie odczuwało go oczywiście opasłe capo (nazwa włoska starszego więźnia nad barakiem) — obozowa hiena, żerująca na trupach i nieszczęściu ludzkim. Rekrutowali się ci kaci ze wszystkich narodowości i rozlicznych sfer. Podli, nikczemni, zwyrodniali, zdolni do tego tylko, aby bić i obdzierać ze wszystkiego przybyłych do obozu nieszczęśliwców.

„Widząc człowieczą godność w tej szkaradzie, tak upodloną“, trudno uwierzyć, że takie potwory mogą żyć w dwudziestym wieku.

Byłoby jednak wielką nieścistością, gdyby się pozostało przy takim li tylko określeniu obozowych katów.

Nad capowcami, którzy byli czynnikiem przede wszystkim wykonawczym, stali właści-

wi, już wyłącznie spośród Niemców rekrutujący się oprawcy. Mówiąc o nich należy zapomnieć o wszelkich cechach człowieczeństwa; dać jednak im miano zwierząt byłoby niesprawiedliwością, czymś wysoce krzywdzącym dla pozostałych, poza człowiekiem żyjących istot.

Takie typy mogły powstawać tylko w ciemnych mrokach prastarej legendarnej, germańskiej Walhalli, przybytku i wylęgarni złych, szatańskich duchów.

Nieodpowiednie pod względem jakości i ilości odżywianie było kardynalną podstawą polityki aprowizacyjnej władz obozowych. Była to jedna z wypróbowanych metod, wcześniej czy później doprowadzająca do śmiertelnego wyniku. Nawet stosunkowo lepiej żywione i traktowane kobiety, gdyby nie pomoc z zewnątrz, podzieliłyby w błyskawicznym tempie los swych współtowarzyszy. Czym były paczki dla kobiet, świadczyć mogą słowa zwolnionych, warszawskich pań: „Gdyby nie paczki i pomoc Polskiego Czerwonego Krzyża w Lublinie, czekałaby nas jedna z najstraszniejszych śmierci — śmierć głodowa“.

Jeśli kobietom było ciężko, to koszmar przeżyć na oddziałach męskich nie da się opisać. Chcąc ratować straceńców, P. C. K. wyczerpywał wszystkie siły, użył wszelkich dróg.

Bodźcem do działania były listy z „piekła“. Oto jeden z nich, pisany przez siedemnastoletnią Wandę Albrechtównę: Dnia 15 III. 43. „Mateńko! Za paczki ręce całuję. Cała „rodzina“ (kobiety) zresztą. Niech żyje P. C. K. Żebyś Ty wiedziała, co te trzy literki tutaj znaczą. Widzimy plastycznie białe pole i czerwony krzyż, — który niesie radość, a reminiscencja odwrotna... w czerwonym polu biały, królewski ptak. Paczki dochodzą doskonale. Gorzej z mężczyznami. Tam nic nie dochodzi. Padają z głodu i męki... Wydzierają sobie kawałek rzuconego im chleba. Głód jest strasznym doradcą. Nie myślcie o ratowaniu nas. Ich ratować trzeba, bo giną — a tacy będą potrzebni.

My wytrzymamy — oni nie.

Straszną jest ta ich męka. Trudno to pisać, jeszcze nie stępiłam tak, aby móc o tym spokojnie pisać.

Wszystko, na co patrzymy, nie da się opisać, ani opowiedzieć, to trzeba widzieć. Boję się, że Zygmunt nie przetrzyma, ratujcie go!“

Głodzono na śmierć, dla udręki, dla wdrożenia posłuchu i podtrzymania żelaznej dyscypliny. Głodzono dla wykonania z góry ustalonego planu unicestwienia Polaków — zwłaszcza tych „niebezpiecznych“.

W tym miejscu oddaję głos prostemu chłopu z Lubelszczyzny, przytaczając dosłownie wyjątki z jego listu bez żadnych zmian:

„Dzień 26 II. 43. O dwunastej przynieśli obiad, ale powiada capo przez tłumacza, że ci dostaną tylko jeść, co byli złapani w piątek, a co w sobotę, jak ja, to nie. Nie jadłem więc w sobotę. W niedzielę śniadania, obiadu i kolacji znowu nie dostałem. Na wszystkich twarzach było widać wielkie przygnębienie. Opowiadają współtowarzysze niedoli rzeczy ciekawe i straszne. Wciąż o trupach. Na poprzednim apelu widziano cztery.

Głód skręca kiszki. Nareszcie w poniedziałek przed południem powiadają, że będzie o dwunastej obiad dla wszystkich.

Znowu wychodzimy na podwórko i stoimy na mrozie, aż pierwsi zjedzą, to będą miski, bo dla ośmiuset ludzi w baraku misek brak. Przy obiedzie pyta jeden drugiego, jak znajdziesz kawałek mięsa, to czy czasem to nie z trupa.

I to każdy mówił z trwogą, nie na żart. Ale ja osobiście nie wiem, z czego była ta obozowa, wstrętna zupa. Było w niej wszystko to, co Pan Bóg stworzył i nie stworzył, a raczej to, co się samo stworzyło.

Półowę zupy zjadłem jako tako, ale później to mnie tak wstrząsnęło jak człowieka po wódce i zupa moja zaraz powędrowała do kuźbła. Nadszedł wieczór, która była godzina, nie wiem, dosyć, że przynieśli kolację, poszedłem i ja.

Dostałem dwa kartofle z łupiną, wielkości ptasiego jaja, i jedno kilo chleba na dziesięć osób, a na deser znowu tej zupy, ale ja nie mogłem jeść.

Na tym wikcie niemieckim, na tej głodówce, po kilku miesiącach z ośmiuset ludzi w baraku zostało zaledwie kilkudziesięciu“. (Piotr Kowalczyk z Sernik).

Czyż można w tych warunkach się dziwić, że po kilku tygodniach człowiek się stawał dowolnym narzędziem pierwotnych, zwierzęcych instynktów.

Myśli przetrwania było podporządkowane wszystko, koło niej koncentrowało się całe życie nędznej powłoki ludzkiej.

Ten spośród szczęśliwców, co otrzymał paczkę z P. C. K., albo drogą nielegalną od rodziny lub bliskich, nie wiedział właściwie, co ma z nią zrobić. Wszystkiego od razu nie mógł zjeść, o schowaniu w baraku, pozbawionym, poza pryzami, wszelkich urządzeń, nie było mowy. W dzień niósł ją ze sobą ukrytą na roboty. A w nocy w braku „bezpiecznego miejsca“ chował w spodnie owijając w odpowiednich miejscach sznurkiem. Lecz i to nie wiele pomagało. Gnani głosem przemożnym głodu współtowarzysze nożami wycinali ze spodni resztki ocalałej żywności.

Głód doprowadzał ludzi do takiego stanu, że gdy oprawcy naigrawając się, dla zabawy, doręczone przez P. C. K. paczki imienne, zamiast je doręczyć adresatom, rzucali w tłum, paczki nie dochodziły do właściwego odbiorcy.

„Wywoływano przy rozdawaniu paczek moje nazwisko“ — opowiadał mi jeden ze zwolnionych więźniów — „widziałem obie paczki, już leciały ku mnie, rzucone przez gestapowców w tłum, ale ich nie dostałem. Zanim doszły do moich rąk, rozleciały się w kawałki rozdarte przez moich głodnych towarzyszy.“

W atmosferze głodu na pierwszy plan wysuwała się siła samozachowawczego instynktu.

Oczywiście nie na wszystkich polach i nie we wszystkich barakach było tak. Tam, gdzie znalazły się jednostki panujące siłą swego ducha nad wynędzniałym i zgłodniałym tłumem, o ile do tego dopuścili oprawcy, panował ład, a otrzymywane paczki i produkty były skrupulatnie, pomiędzy wszystkich dzielone.

Do giniecia paczek głównie przyczyniali się capowcy, uprawiając handel produktami zabranymi z paczek. Sprzedawali je potem więźniom po fantastycznie wysokich cenach. Dla porównania podaję zestawienie cen panujących na „majdankowskim rynku“ i w wolnym obrocie na targu w Lublinie w dniu 22 VI. 43.:

Ceny lubelskie		i na Majdanku	
Słonina i masło	1 kg 140 zł		500 zł
Chleb	1 kg 14 zł		150 zł
Jajka	1 szt. 3 zł		20 zł
Cytryna	1 szt. 25 zł		100 zł

Jedna ze zwolnionych pań ze Lwowa w dniu 13 VIII. 1943 będąc w biurze P. C. K. oświadczyła, że za kilogram chleba dała capowcowi złote kolczyki.

Tak spekulując capowcy dorabiali się ogromnych sum, łakomiąc się przede wszystkim na złoto i inne kosztowne przedmioty.

Rodziny siedzących na Majdanku czyniły nadludzkie wysiłki, by pomóc swoim biedakom. Liczne grona kobiet warowały pod drutami i na drogach, dokąd więźniowie mogli iść do pracy, od świtu do nocy, dzień w dzień, byleby chociaż cokolwiek dać im, byleby ich jeszcze raz, po raz może ostatni, zobaczyć.

Ile spośród tych cichych bohaterek zbito, ile poszło za obozowe druty?

Nie pomagało nic, póki istniała najmniejsza chociaż szansa pomocy. Trwały na posterunkach nawet wówczas, gdy kule strażnicze nie szczędziły ich, a konając, zamglonym wzrokiem szukały jeszcze wśród przechodzących drogiej twarzy swego męczennika.

Jedna spośród tych wielu opowiadała mi: „Chciałam zanieść mężowi chleb. Pracował tuż

przy drutach. Poszliśmy we dwie niosąc sześć bochenków, by nie tylko swoim dać, ale i innym. Korzystając z nieuwagi strażnika podeszliśmy blisko — jeszcze bliżej — i dałyśmy znak, a gdy zauważono — rzuciłyśmy chleby.

Tego, co potem się stało, nigdy nie zapomnę. Ze wszystkich najbliższych rowów zaczęli więźniowie biec. I w jednej chwili nad tymi chlebami powstało kurzem spowite kłębowisko ciał.

Nadbiegli wartownicy i zaczęli bić. Nie pomogło — głód był silniejszy od bólu i razów siepaczy.

Nie wiem, kto dostał i czy dostał wogóle chleb. Byłam nieprzytomna z rozpacz. Więcej już nie pójdę, nie mam sił.“

Mówiła, a łzy beznadziejnej i strasznej rozpacz spływały powoli, jak powoli płynęły chwile męki i konania jej najbliższych w obozie.

Pewnego dnia przyprowadzono do biura Polskiego Czerwonego Krzyża jedenastoletnie dziecko — dziewczynkę, która wraz z matką przyjechała z Warszawy, by zobaczyć ojca na Majdanku.

Poszły obie pod druty. Matkę bijąc zabrano do obozu, a dziecko samo zostało na szosie. Ustaliwszy jej imię, nazwisko i adres odesłano ją do Warszawy.

Czy są potrzebne jakieś komentarze?

* * *

Po „Katyniu“ w obozie nastąpiła zmiana. Podniesiono racje żywności. Paczki przesyłane przez P. C. K. zaczęły skrupulatnie dochodzić.

Sądziliśmy — niepoprawni — w naiwności ducha, że się już zmieniło.

Nie minęło jednak parę miesięcy, a Niemcy dali na Majdanku pokazowy obraz apokaliptycznego głodu.

Spędzono w końcu czerwca i lipca tysiące wygnańców z bilgorajskich, tomaszowskich, zamojskich i janowskich wsi.

Rozpętała się orgia głodu.

Mrowie dzieci, kobiet i starców morzono głodem, bez żadnej strawy, po kilka dni. Potem dano „czarnej kawy“ i t. zw. zupę. Pod przysięgą zeznawali zwolnieni w sierpniu chłopci, że zupa była gotowana nieraz na skoszonej trawie i liściach rzepy.

Skutek? Na listę 3514 osób ustalonych przez obozowe władze do zwolnienia, pozostało przy życiu po pięciu dniach 2360. Z tego 786 w stanie ciężkim P. C. K. przewiózł do szpitali. Jak pozostali wyglądali? Oto ich obraz:

Na ciężarowych samochodach i konnych platformach jadą wynędzniali ulicami miasta. Płaczą i wciąż pytają: „Do jakiego obozu teraz nas wiozą?“ Nie wierzą, że są wolni i pod opieką bratnich serc.

Powoli stają wozy pod bramą kościelną przy ulicy Betonowej. Wszyscy im pomagają, bo sami zejść nie mają siły.

Sanitariusze P. C. K. na rękach niosą kaleki i zgrzybiałych starców, a za nimi powoli posuwają się wynędzniali, podobni do widm: kobiety, dzieci i rzadko mężczyźni w średnim wieku.

Cały ten orszak idzie powoli, krok za krokiem. Wstępują po stopniach świątyni, mijają drzwi, wchodzi — nieprzytomni, załęknieni i tyle razy bici — w główną nawę.

Nadeszła wreszcie chwila, kiedy uwierzyli. Ze skolataney duszy ludu polskiego wyrwał się szloch, uderzył potężną skargą o mury świątyni, obił się o strop i upadł łkając w największej pokorze do stóp Ukrytego.

Płynęły, zmieszane z płaczem dzieci, ciche i głośnie słowa modlitwy, a po zoranych, wynędzniałych twarzach płynęły bólu i radości łzy.

Kłęczę razem z nimi. Tłoczą się myśli, skargi i prośby. „Cóż oni zawinili? Co zawinił ten prawy, pracowity i cichy polski lud, oddany bez zastrzeżeń wierze praojców swoich?

Ten, co miłując uprawiał w pocie czoła ojczyście zagony. Ten, co polską ziemię miłuje więcej niż ukochaną matkę miłuje syn. Rwał się do wiedzy i do zbożnej pracy, w razie „potrzeby“ nie żałując krwi....

Przebacz!... Niech zginą czym prędzej przekłęci kaci...

Kwiliły jeszcze gdzieś niedzieci, sieroty po ojcach i matkach, co zostali.... Padaly modlitwy słowa ostatnie... Przyszło ukojenie... „Chodźcie do mnie wszyscy, a ja was uspokoje Chodźcie... a nakarmię was.“

Dano w kościele, tuż przy ołtarzu, tym biedakom jeść.

A coś niecoś dalej od murów świątyni, w drewnianej szopie, wprost na gołej słomie, leżą zakaźnie chorzy, leżą zagłodzeni. Czekają kolejki, aż się ich odwiezie sanitarkami P. C. K. do szpitali, gdzie już zabrakło miejsc.

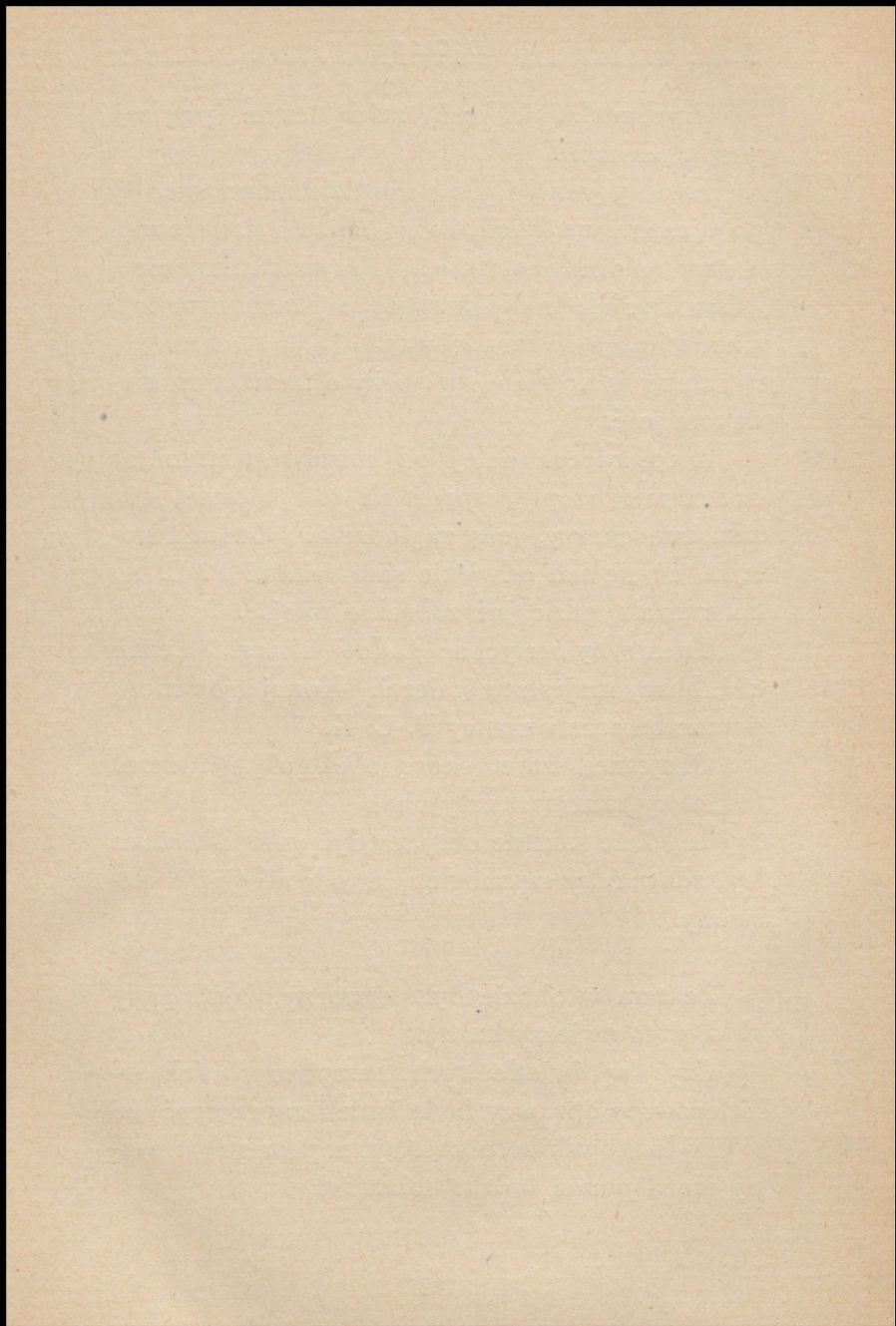
Tu nie było słyhać żadnej skargi. Leżeli cisi, bliscy majestatu śmierci. Konającym niosą pomoc lekarze i siostry P. C. K.

Obojętne, szare, skórą obciągnięte twarze. Szkielety ludzkie leżały obok siebie i gdyby nie żyjące, duże smutne oczy, i gdyby nie dziecinne łzy, zdawać by się mogło, że odeszli już w zaświaty...

* * *

Że tam w obozie był potworny, koszmarny głód, w to uwierzy każdy.

Czyż w świetle tych bezspornych faktów hitlerowscy oprawcy będą śmieli zaprzeczyć, że w majdankowskim obozie był popełniony straszny mord ponad ludzką miarę?



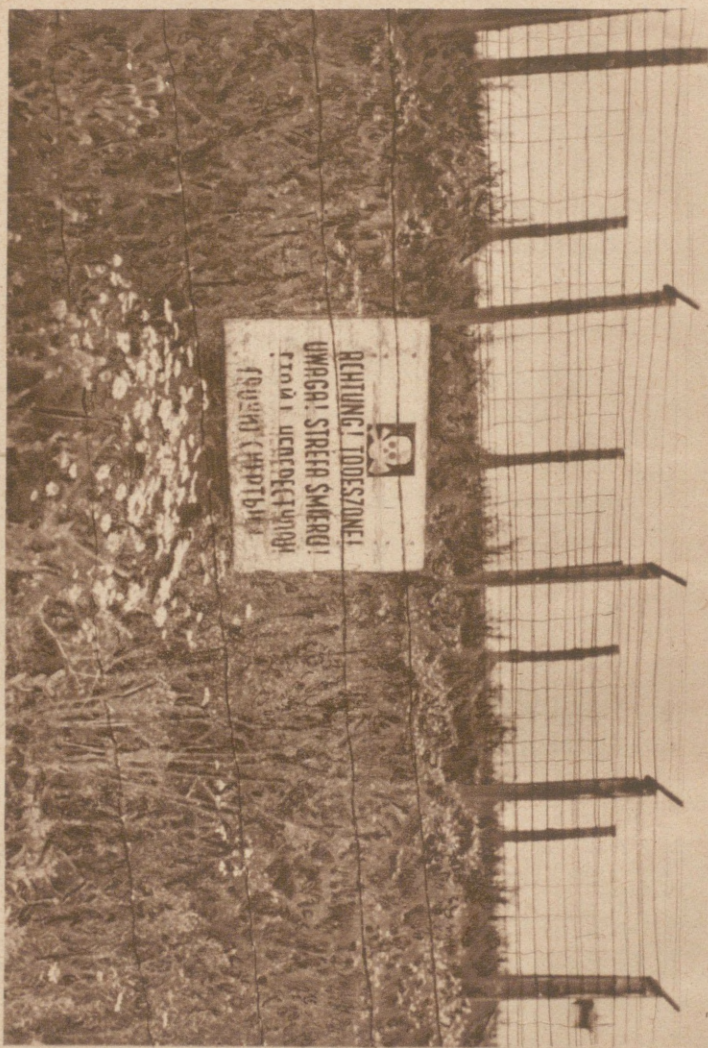
Holejnie Śmieta Bógiego Narodzenia...

Pierwsze, bracie, dla niektórych piąte -
bez domu, bez rodzin. Ldawałaby się, że
potrimy być smutne, ale nie będą takie.
Jest ktoś kto czuwa nad nami, kto ma
więcej ze światem, z domem, z najbliższymi,
kto między sercami naszymi i sercami
naszych ukochanych połączył niezg-
nie mocną, pewną nit, nitką z najszerszą
najszerszą łódką o nas.

Dziśki. Ham - nie czujemy się tu odcięte.

Dziśki. Ham - wiemy, że jesteśmy w kraju,
wśród bliskich.

Śamiasz się opłakiem przy stole wigilijnym,
myśląc o naszych najdroższych, myślisz także
myślisz jednocześnie o Zespole Cienionego Krzyża z
serdeczną wdzięcznością za trud, troskę i serce.
Majdanki - Pole I dn. 24.12.1943.



Стрела śmierci.

R o z d z i a ł I I I

C H Ł Ó D

Wynalazczość niemiecka nie pominęła nic, co by mogło pogłębić dolegliwość tkwiącą w piekielnie przez nich obmyślanej majdankowskiej karze.

Wyzyskano chłód.

Drewniane, „przewiewne,” na prędcie z cienkich desek sklecone baraki, pełne szpar i dziur, były dla Niemców wymarzonym terenem, gdzie hulał wiatr i bez żadnych przeszkód wkradał się mróz. Często śnieg prószył na źle okrytych więźniów przez okna bez szyb.

Chłód przenikał ciało, dochodził do kości i męczył, aż zdrętwiałymi członkami więzień nie mógł ruszać — przestawał czuć.

Na domiar wypędzano rozebranych do pasa więźniów do mycia na mróz. Choroby, przeziębienia, zapalenia płuc dziesiątkowały nie-szczęśliwych.

Nie dość jednak było tego zezwierzęcialym katom. Sami syci i dostatnio ubrani, wypro-

wadzali, zwłaszcza mężczyzn, do apelu na slotę, zadymkę i mróz. Ustawiano szeregi i w postawie na baczność musieli stać z odkrytymi głowami po dwie godziny, nieraz nawet osiem godzin.

Ile cierpień musieli przy tym znieść, najlepszym świadectwem mogą być słowa zaczerpnięte z cytowanego już listu lubelskiego chłopca:

Najgorsze były te apele. Rano o szóstej wychodzimy na podwórze, szeregujemy się po ośmiu w każdym rzędzie, tak, aby jeden drugiego krył. Rej wodzą cyganie. Stoimy dwie godziny na śniegu i 30° mrozie.

Co chwila pada komenda: Baczność! Czapki zdejm, to znowu spocznij — czapki włóż. A jak pokazał się capo, to wtedy ani się rusz, kto miał zauszniaki, no to jeszcze bajki, ale jak się odważył rozcierać uszy, wówczas capo zacierał pałą po głowie. Uderzył raz jednego, co stał naprzeciw mnie. Odrazu poszła z głowy krew i biedaczysko padł. Podeszedł do niego capo i tak długo bił, aż chwiejąc się podniósł się na nogi.

Innym razem przyszedł gestapowiec. Odliczył osemki — jednego brak. Powiadają mu, że jest chory, odmroził nogi i nie może stać. „Przynieść go natychmiast i to raz dwa.“

Przynieśli chorego, postawili na nogach, przeliczył — w porządku — możemy po dwóch godzinach przemarznięcia iść.

Nareszcie apel się skończył, wchodzimy do naszej stodoły — baraku, a tam chłód, bo przez dwie godziny wierzeje były otwarte na oścież.

Zaczęliśmy biegać i rozgrzewać się, tylko nasz biedak z odmrożonymi nogami leżał cicho — zimna już nie czuł.

Miał osiemnaście zaledwie lat — młody chłopaczyna. W kilka dni później zmarł.

Przygnębienie i rozpacz panowały między nami. Ciągłe i stale mówiło się o trupach i wciąż się widziało przy rannym i wieczornym apelu zamarzniete trupy.

A raz to było tak: Pamiętam, był to poniedziałek rano, pobudka, potem apel i znowu stoimy na mrozie od szóstej do ósmej. Naraz ktoś szepnął, że są trupy na dziedzińcu. Podchodzę do bramy i ja, ktoś przytknął nos tak mocno do bramy, że się otworzyła i wtedy, o zgrozo, zobaczyliśmy siedemnaście nagich trupów leżących w śniegu. Jeden, nie przysięgnę, ale zdaje mi się, jeszcze się ruszał. Podszedł „pasiakowiec,” wziął jednego umarlaka za nogi, podniósł i pociągnął.

Na samej głowie po ziemi włókl, tak, jakby jaki drewniany drąg.

Zrobiło mi się wówczas zimno i gorąco, że i nas to czeka.“

Takie obrazki były codziennym zjawiskiem w okresie zimowym.

Dla tych, co nie chcieli się podporządkować lub w ostatniej rozpaczcy śmieli stawiać beznadziejny opór — był na środku placu wykopany słup.

Takiego straceńca, rozebranego do naga, przywiązywano do narzędzia kaźni. Stał bosymi stopami w śniegu, na silnym mrozie, przez szereg godzin. Siniał, sztywniał, aż się sam powoli przemieniał w zdrętwiały słup.

Taki żywcem w nagości zamarznięty człowiek, miał być postrachem i przestrogą dla pozostałych więziennych mas.

Pomimo wszystko chłód był do zniesienia, dopóki więźniowie byli we własnych ubraniach i butach. Zmieniała się postać rzeczy, gdy po paru tygodniach przebierano ich w specjalnie na zimę uszyte pasiaki.

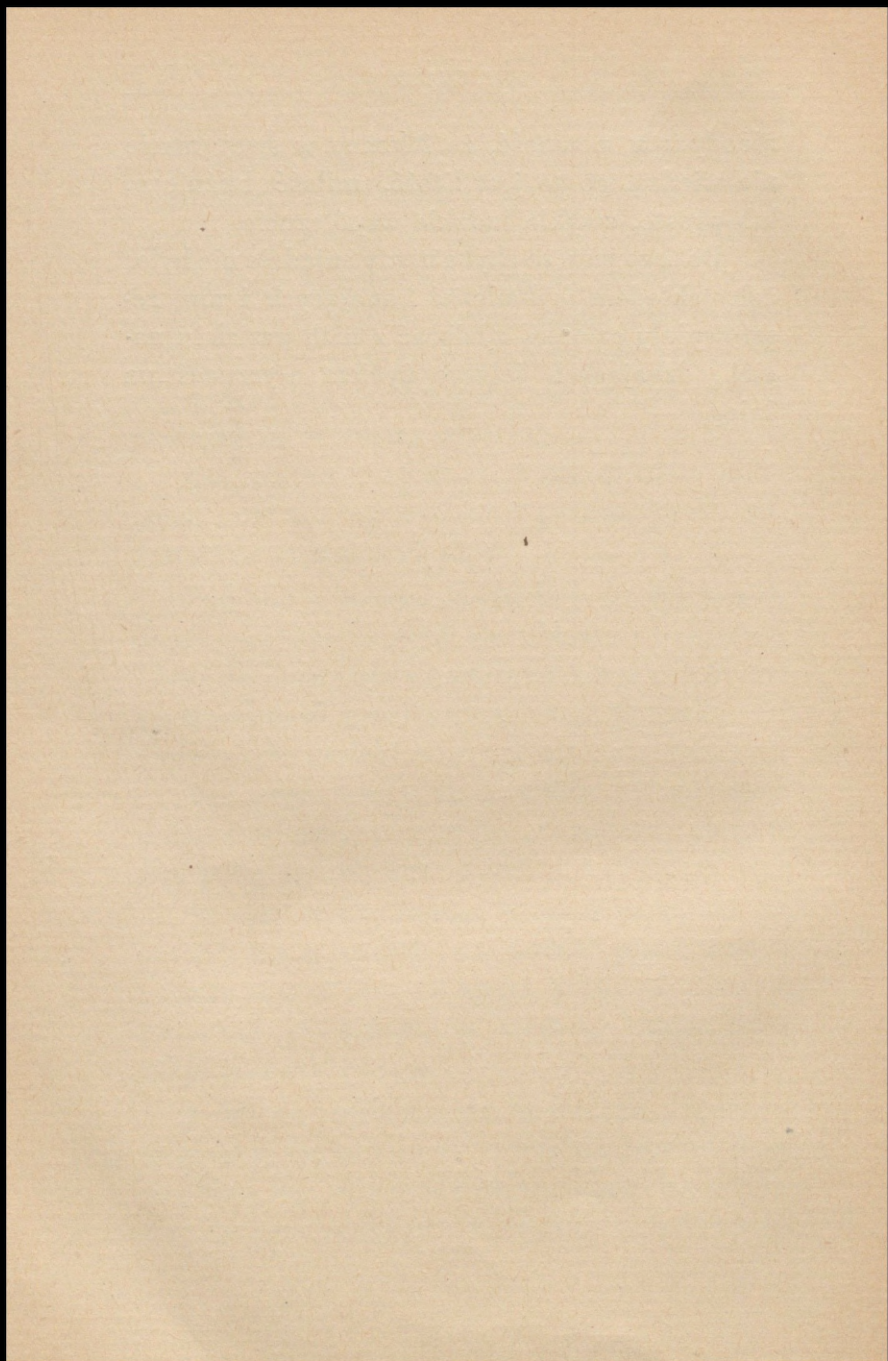
Ten przewiewny strój obliczony na utrudnienie więźniom ucieczki, dopełniał cierpienia, jakie wywoływało zimno.

W tym stroju musiał więzień pracować na otwartym, mroźnym powietrzu przez szereg godzin, stał w nim na apelu, mókł na deszczu, pracował po kolana w wodzie, kopiąc rowy majdankowskich szos.

Gdy się widziało te nieludzko, upiornie zsiniałe z zimna twarze przejeżdżających samochodami lub zrezygnowanych, idących pod batem do codziennej pracy więźniów, powstawała

nieodparta pewność, że Niemcy w swej masie nie wiedzą, co to jest litość, miłość bliźniego, lub proste, zwykłe ludzkie współczucie.

Bo tego jeszcze chyba nigdy i nigdzie nie było, żeby chłodem wykańczać konających i nim zesztyniały członki, zdzierać z nich pasiaki i nagich, drgających jeszcze życiem wyrzucać na śnieg.



Rozdział IV

CHOROBY

Gdy do warunków pobytu więźniów na Majdanku, które ukazane zostały w poprzednich rozdziałach dodamy nieopisaną ilość różnego rodzaju insektów — istne królestwo wszy, to zbędną będzie silna wyobraźnia, aby uzmysłwić sobie stan higieniczno - zdrowotny panujący w obozie.

Stłoczona masa nie mytych więźniów, po kilkuset, a nawet do tysiąca w poszczególnych barakach, była prawdziwą wylęgarnią owadów.

Przyływ i odpływ tysiącznych fal ludzkich do innych obozów w głąb Rzeszy i w zaświaty, odbywał się tak szybko, że pozostali nie byli w stanie przeprowadzić skutecznej walki z tymi pasorzytami.

„Przywieziono nam koce“ — opisuje jeden z więźniów (Piotr Kowalczyk, 23 lutego 1943) „Wśród współtowarzyszy powstał wielki ruch. Było zimno, piece nie palone, każdy chciał mieć coś ciepłego do okrycia. Rzucili się wszyscy do koców i rozebrali w mgnieniu oka. I gdy

każdy z nas w błogości ciepła zaczął drzemać — naraz rozległ się głos: „Panowie! Uwaga, czy wasze koce żywe, bo mój sam się rusza!” Wówczas dopiero przy dokładnym przejrzeniu stwierdziliśmy całe gniazda wszy. Wymarzone przez nas ciepłe koce z powrotem powędrowały na równiutko ułożone stosy.“

Każdy ze zwalnianych więźniów był tak zaszony, że w obawie przed rozniesieniem chorobotwórczych zarazków przyjmowaliśmy przybyszających do biura P. C. K. w osobnym pokoju.

Pomimo daleko posuniętych ostrożności, wszy łąziły wszędzie po przejściu zwolnionej grupy i dopiero przy pomocy specjalnych zabiegów zdołano je usunąć.

Przy desynfekcji ubrań po chorych wysiedleńcach zwolnionych z obozu w sierpniu 1943 r. z każdego okrycia, strzępu, z każdej fałdy sypały się całe roje.

W tych warunkach tyfus plamisty szalał, a świerzb zbierał swe obfite żniwo. Chorych zakaźnych nie izolowano, leżały więc pokotem całe baraki i pola.

Z chorób zakaźnych panowały nagminnie i niemal bez przerwy: tyfus brzuszny i czerwotka. Świerzb był zjawiskiem codziennym. O bardzo częstych zapaleniach płuc mowa była w poprzednim rozdziale.

Poważną pozycję wśród chorych stanowili zagłodzeni. Nieodpowiednie pod względem ilości i jakości wyżywienie wywoływało częste i różnorodne schorzenia przewodu pokarmowego oraz owrzodzenia ciała.

Pod wpływem tych dolegliwości, więźniowie zwalniani mieli zaledwie tyle sił, by wyjść poza bramy obozu. W wielu wypadkach, będąc uprzedzeni, wysyłaliśmy z P. C. K. odpowiednie pojazdy, by przewieść wynędzniałych w stanie kompletnego wyczerpania do szpitali.

Notuję dla przykładu dwa wypadki: pierwszy, gdy jeden z włodawskich chłopów, w sile wieku i o wspaniałej, atletycznej budowie, przywieziony do P. C. K. dawał zaledwie słabe oznaki życia. Do takiego stanu doszedł po czterotygodniowym zaledwie pobycie w obozie. Tylko usilnym staraniom lekarzy zawdzięcza życie.

Drugi mniej miał szczęścia; nie licząc się z siłami, a pragnąc wyjść z obozu, gdy im obwieszczono radosną wiadomość o zwolnieniu, miał zaledwie tyle sił, by dowlec się do mostu na Bystrzycy i tam skonać.

Taki stan był zwłaszcza na początku, w pierwszych miesiącach 1943 roku. Na ten okres przypada pierwsza wielka fala śmiertelności z powodu chorób.

Od dwudziestu do trzydziestu kilku zgonów wypadało wśród Polaków na jeden dzień. Skala

podniosła się dochodząc w marcu i początkach kwietnia do stu przeciętnie osób dziennie. Najwyższa cyfra śmiertelności osiągnęła stu trzydziestudwóch osób na jedną dobę.

Te przeciętne cyfry z trudem zostały zdobyte przez urzędnika P. C. K., z kartotek obozowych.

Niezależnie od tego jeszcze jeden dowód — wyjątek z listu datowanego 22. VI. 1943: „Śmiertelność $1\frac{1}{2}\%$ w stosunku dziennym. Wszy i gnidy w bieliźnie i kocach. Krematorium wszom nie może podolać, natomiast świetnie i łatwo daje sobie radę z ciężko chorymi.“ (Więzień na Majdanku W. Kołodko).

Czerwony Krzyż, chcąc za wszelką cenę ratować nieszczęśliwych, poszedł przede wszystkim drogą legalnej pomocy; nie poniechał jednak i innych, niejednokrotnie bardzo ryzykownych dróg.

Skrzynię za skrzynią leków wysyłano do obozu.

Dzięki inicjatywie, umiejętności i odwadze polskich lekarzy osadzonych w obozie, powstał w krótkim czasie szpital. Dwa samodzielne oddziały: dla mężczyzn i kobiet.

Znaleźli się wybitni specjaliści, do pracy stanęły siostry i pokaźny zastęp pomocniczych sił.

Wielu spośród nich, po wieczne czasy, należą się wyrazy czci jako chlubie samarytańskiego powołania i wzorowi do naśladownictwa przyszłym pokoleniom.

Otwarto oddziały dla zakaźnych, przeprowadzono szczepienia ochronne, dokonywano operacji nad podziw trudnych i co najważniejsze, udanych, mimo prymitywności warunków. P. C. K. i grono lekarzy, przyjaciół i współpracowników Czerwonego Krzyża, było z obozowym szpitalem w najściślejszym kontakcie.

Mimo jednak poświęcenia personelu lekarskiego i sanitarnych sił, mimo ofiarnej, pełnej samozaparcia się pracy, kolosalnym potrzebom nie sprostano. Nie było się w stanie zmienić potwornych warunków obozowego bytowania i jego katastrofalnych następstw.

Jak już w innym miejscu nadmieniałem w oparciu o niezbite dowody, u kobiet pod każdym względem, a więc i zdrowotnym o niebo całe było lepiej niż u mężczyzn.

„My wytrzymamy, oni giną!“

Względy swoje dla kobiet obozowe władze posuwały nieraz tak daleko, że ciężarne lub będące po porodzie oddawano do miejskich szpitali pod całkowitą opiekę Czerwonego Krzyża. Zabierano je przeważnie własnymi pojazdami taboru P. C. K. wprost z majdan-kowskich baraków.

Miał samemu opisywać przebieg tych wyjazdów i wędrówkę z chorymi po kurzu majdankowskich pól, głos oddam dr. Zofii Wojciechowskiej, czołowej działaczce lubelskiego P. C. K.:

„Telefon z komendy obozu do biura P. C. K., proszą, a właściwie zlecają zabranie do szpitala czterech chorych kobiet. Na 19 kwietnia 1943 roku organizujemy całą wyprawę. Powozem czerwono-krzyskim jedziemy: dr. Bobrowska, siostra Borowska, pan Jurek i ja. Pan Jurek, który jeździ stale, kilka razy w tygodniu z paczkami, prowiantem, lekami i nielegalną pocztą (grypsy) w mroczną paszczę obozowej jaskini, będzie naszym cicerone. Dla transportu chorych zamawiamy karetkę Pogotowia Ratunkowego, ponieważ wszystkie sanitarki P. C. K. w 1941 r. Niemcy zrabowali.

W Wielki Poniedziałek o godzinie jedenastej jesteśmy przy bramie. Bez większych trudności wpuszczają nas w obręb obozu. Ze wzruszeniem wjeżdżamy w piaszczystą drogę.

Pustka i cisza to pierwsze wrażenie, jakie nas ogarnia. Wiemy przecież, że to tu właśnie cierpi, żyje i umiera wiele tysięcy naszych ludzi.

Na falistym terenie nie kończące się szeregi olbrzymich baraków, puste, gołe, pełne kurzu pola i wszędzie druty kolczaste.

Pustka! Gdzie są ludzie? W przygniatającej ciszy milczymy. Zbyt silny wstrząs, by mieć ochotę do wysławiania myśli.

Jedziemy do kierownika oddziału politycznego w obozie.

Wtem mija nas oddział kobiet. Idą trójkami ubrane przeważnie w pasiaki i chustki na głowach. Twarze opalone i dziwnie zastygłe w swej obojętności. Wpatrujemy się w nie szukając znajomej twarzy. Spostrzegły patrzą na opaski z czerwonym krzyżem i w oczach ich powstaje jakiś żywszy błysk. — Mijamy Niemkę, otyłą dozorczynię z rewolwerem u pasa — padło na nas twarde, bezmyślne spojrzenie.

Jedziemy dalej; znowu puste baraki, w oddali snuje się grupa kobiet. Dojeżdżamy wreszcie do baraku władzy. Przyjmują nas uprzejmie, dają przewodnika, który nas zawiezie wprost do szpitala, na piąte pole, skąd mamy zabrać chore.

Jesteśmy zdziwieni takim załatwieniem — nie oczekiwaliśmy, że nam pozwolą dojechać tak daleko.

Znowu mijamy długie szeregi baraków. Przy oknach widać pracujących mężczyzn. Twarze wyblakłe, zdaje się bez odrobiny krwi, pochyłone nad robotą; to warsztaty szewskie. Mijamy dalej szwalnię, gdzie pracują kobiety, nawet w krótkim spojrzeniu przez okna widać wielką różnicę między barakiem pracujących mężczyzn

a kobietami. Tu twarze nieco ożywione, pełniejsze, i atmosfera przypominająca pracownię w naszym świecie. Gdy przeciwnie twarze mężczyzn to maski w nierzeczywistym teatrze.

Mijamy grupę pracujących przy drodze kobiet, patrzymy na siebie milcząco, a to przymusowe milczenie ściska gardło ze wzruszenia i hamowanego gniewu.

Nagle nadjechał na motocyklu gestapowiec, ze wściekłością każe zasunąć okienka w karetce pogotowia i pomyka dalej. Czujemy, że nie podoba się mu nasza „lustracyjna“ wizyta obozu, ale właśnie wyjeżdżamy już na piąte pole.

Stajemy przed barakiem szpitalnym. Wybiegają kobiety w pasiakach i sanitariuszki. Stoją w drzwiach. My wychodzimy z sanitarki i stoimy tak naprzeciw sobie, milczące wpatrzone w nieme, pełne wyrazu twarze. Jeśli jest wymowa oczu, to w tej chwili napiętego milczenia powiedziałyśmy sobie wiele. One nam mówiły o swoich cierpieniach i o swojej dzielności, myśmy je zapewniły o naszym z nimi współodczuwaniu i o wierze w szybki koniec ich niedoli.

Jeszcze ktoś przeciska się przez drzwi i staje na schodkach przed barakiem — to Janka Modrzewska, córka dr. Bobrowskiej.

Opalona, w pomarańczowym sweterku, patrzy na matkę i stoi jak zakłęta. Patrzą na siebie z odległości nie większej jak pięć kroków

— tak blisko i tak zarazem nieskończenie daleko. Walczą w nich dwie siły. I ta, która ciągnie je ku sobie, by paść w ramiona, i ta, co każe stać tak nieruchomo z całym pozornym spokojem, kiedy serce płacze.

Nadjeżdża motocyklem wściekły gestapowiec. Krzyki, rozkazy, wymachiwania pejczem; nadbiega dozorczyńni w szarym mundurze. Nas zapakował do powozu, każąc odjechać nieco dalej; do sanitarki wprowadzają chore.

Prędko, prędko! już, już!... Krzyczy gardłowym głosem przedstawiciel majdankowskiej władzy.

Jeszcze jedno spojrzenie na grupę stojącą na schodach, na barak, na dalekie, bezkresne pola, na biegnące dziewczynki, które pędzą, żeby zobaczyć wolnych ludzi i karetkę.

Dr. Bobrowska żegna krzyżem córkę, uśmiecha się do niej — uśmiechają się obie... i za chwilę odjeżdżamy.

Odjeżdżamy z piątego pola unosząc obraz grupy milczących kobiet w szarych sukniach, w pasiakach i białych szpitalnych fartuchach. W środku jedyna barwna plama, na tle szarzysty pól — pomarańczowy sweter Janki Modrzewskiej. Znad tego sweterka uśmiecha się dzielnie do odjeżdżającej matki, nie wiedząc, że tym uśmiechem żegna ją na zawsze...

Jedziemy powoli, mijając pracujące i maszerujące kobiety. Jedne z nich patrzą obojętnym,

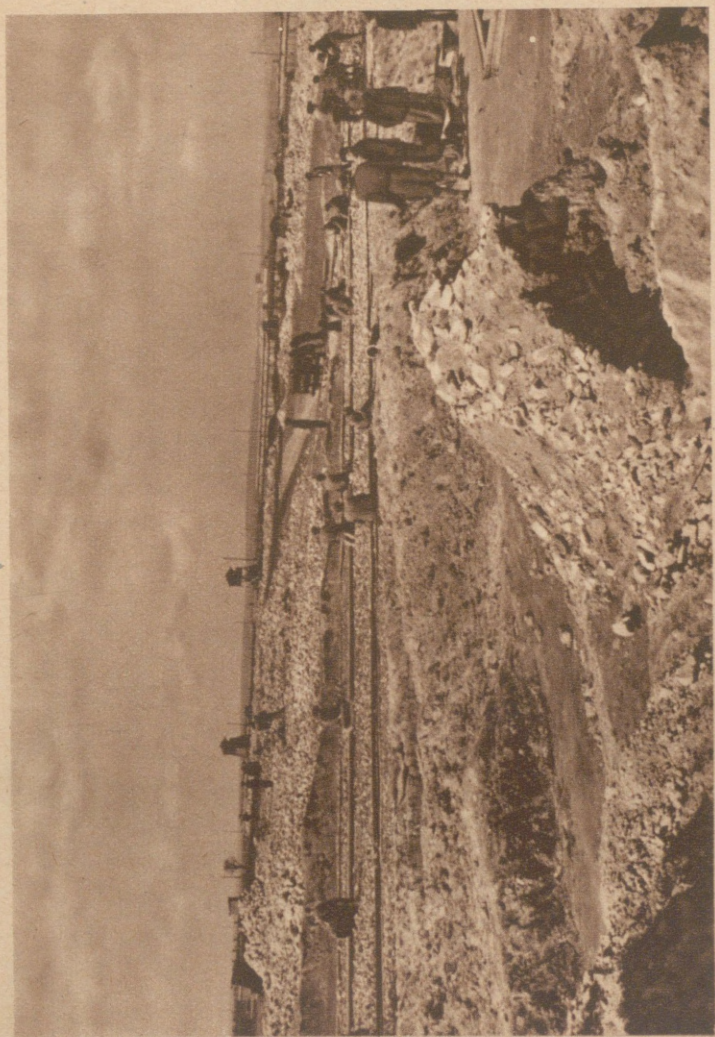
smutnym wzrokiem, inne, przeważnie młodsze, uśmiechają się, kiwają ku nam dyskretnie głowami i mówią półgłosem: „Dziękujemy, dziękujemy, Czerwonemu Krzyżowi. Dowidzenia!“ I my się uśmiechamy, chociaż chciałoby się krzyczeć, wołać, albo chociaż po kobiecemu szlochać... Teraz nie wolno. Niech tylko tyle widzą zimne, nienawistne oczy otyłej strażniczki, niemki.

Jeszcze raz mijamy szwalnię i smutne okna szewskich warsztatów i wreszcie jesteśmy pod bramą.

Wyjeżdża z nami jakiś oficer, zresztą pijany, mówiący nieco po polsku, by zobaczyć gdzie i jak umieścimy chore.

Chore to cztery kobiety, z których dwie jadą z urodzonemi na Majdanku niemowlętami, dwie inne oczekują w tych dniach rozwiązania. Tylko jedna z nich jest Polką, schwytana w łapance gdzieś pod Warszawą. Trzy inne to kobieciny ze wsi, spod Smoleńska, które przywieziono na Majdanek z obozu na Łotwie.

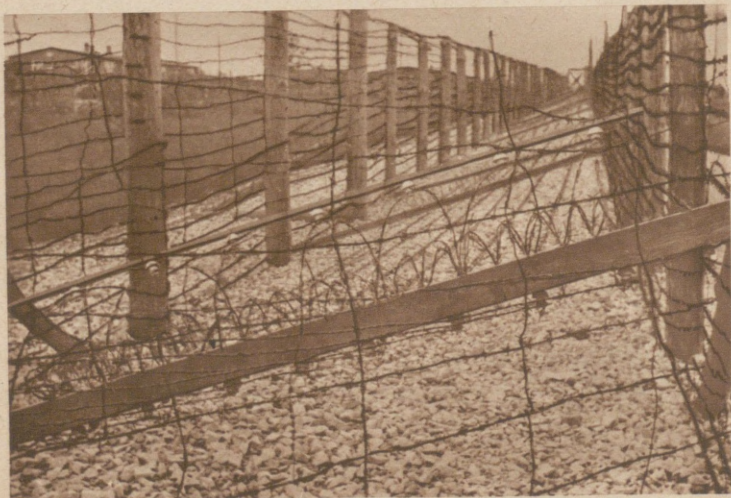
Karetka z chorymi odjeżdża do szpitala Szarytek, my jedziemy do komendanta obozu, aby pozwolił więźniom w Wielki Piątek przystąpić do Stołu Pańskiego. Ogólnego rozgrzeszenia w obliczu śmierci udzieliłby miejscowy więzień - ksiądz rozdając wszystkim Przenajświętszy Sakrament.



Pierwsze fundamenty pod przyszły oboz śmierci — rok 1941.



Bezkresne przestrzenie budującego się Majdanka kosztem tysięcy istnień ludzkich.



Podwójny system drutów, uzupełniony przewodami wysokiego napięcia...

Komenda więzienia na Zamku lubelskim pozwoliła, może i tu się uda? Ludzie obozowi są spragnieni, jak z listów od nich wiemy, ostatniej religijnej pociechy. Od czasu do czasu przesyłano wprawdzie pokryjomu nie wielką ilość komunikantów; czyż jednak na tyle tysięcy może to wystarczyć?

Wchodzimy do baraku komendanta. Tłumacz przedstawia sprawę. Patrzą na nas przekrwione, zimne oczy młodego adjutanta. Wiemy już w tej chwili, że z misji naszej nic nie będzie.

Każe nam czekać, porozumie się z komendantem, wiemy jednak, że sprawa przegrana i spokojnie żegnamy się gdy wraca z odpowiedzią oczywiście odmowną.

Wracamy do miasta. Cała wyprawa trwała około dwóch godzin. Jesteśmy wyczerpane więcej niżli po dziesięciu nocach ciężkiej służby. A przed moimi oczami stają gołe nóżki biegnącej majdankowskiej dziatwy, przekrwione oczy adjutanta... to znowu blade, smutne, męskie twarze...“

Gdy chodzi o stan zdrowotny więźniów i zniwo szalejących na Majdanku chorób, to obraz będzie niepełny, jeżeli nie dodamy krótkiego zestawienia dotyczącego lipca i sierpnia 1943 roku.

Są rzeczy w obozie majdankowskim, o których nikt i nigdy się nie dowie, tak umiejętnie

je ukryto i zatarto ślady, co mogłyby zaświadczyć, i tylko przypadkowe zestawienie cyfr i faktów jest w stanie rzucić światło odsłaniając rąbek tajemnicy.

Ile z tysięcznych rzesz wygnańców Lubelszczyzny, ofiar pacyfikacyjnych planów sławnego Globocnika, zapadło na choroby, ile zmarło?

Któż się dowie; kartotek nie było. Jeśli jednak z listy 3514 osób, spośród żyjących wysiedlonych, przeznaczonych przez władze obozowe do zwolnienia, po kilku zaledwie dniach (5 do 6 dni) wyszło 2360, a o pozostałych oficjalne niemieckie czynniki SS wyraźnie oświadczyły, że nie żyją, to wniosek jest prosty.

Orgia głodu, choroby, a zwłaszcza czerwotka, o czym niewątpliwie wiemy, zabrały 1154 osoby w ciągu pięciu dni.

Koszmarne! Ale to nie koniec.

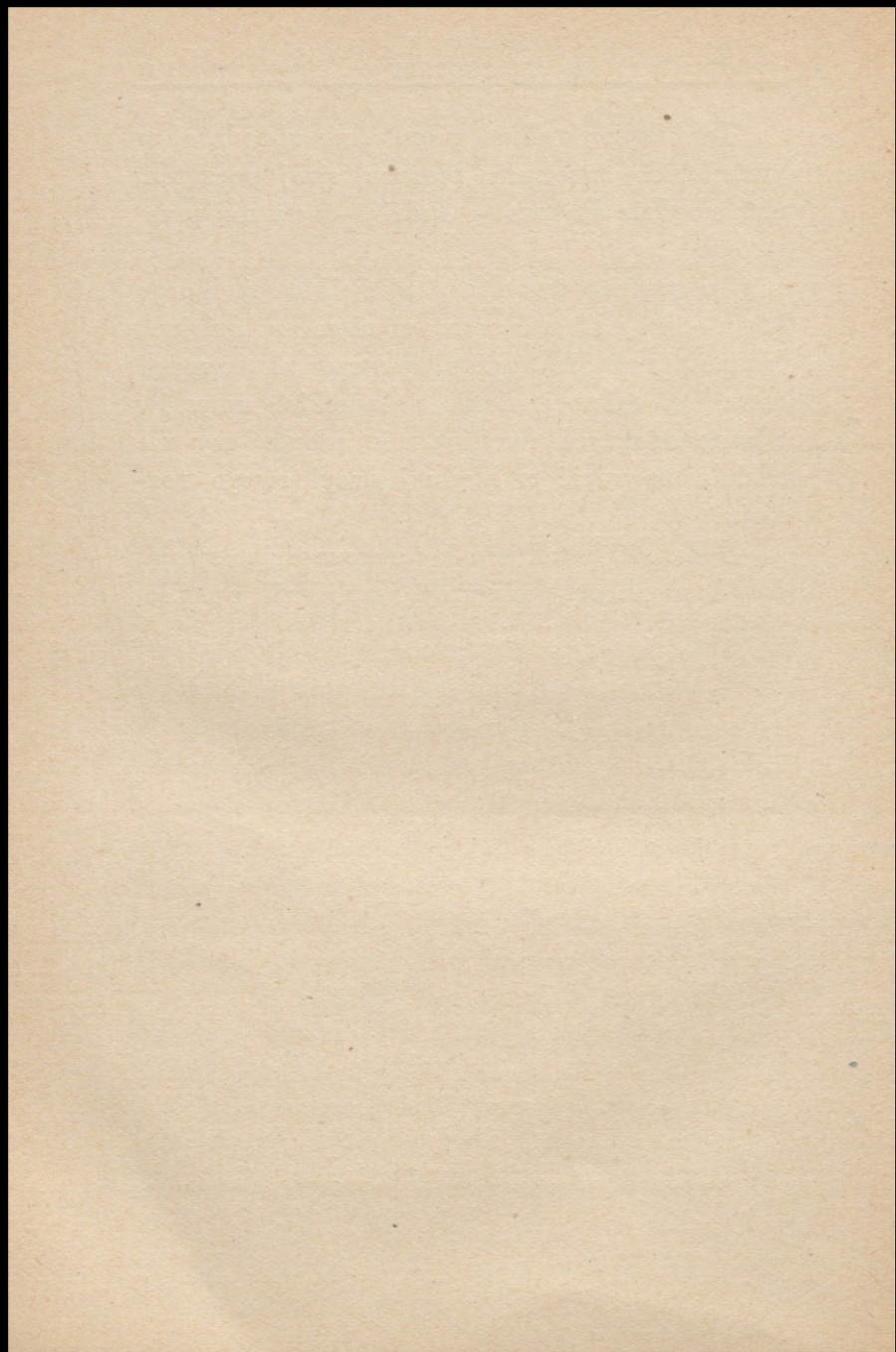
Ile w takim razie zmarło przed zwolnieniem w ciągu sześciotygodniowego pobytu wysiedlonych w obozie? Ile zginęło z wywiezionych do Rzeszy, a ile zmarło spośród tych, co poszli na wolność, rozsiani po szpitalach, gminach i wsiach ziemi lubelskiej, skoro w jednym tylko dniu w szpitalu Jana Bożego w Lublinie, było zgonów 34?

Żadna fantazja ludzka nie może w bezsilności swojej odmalować tego, co okryło wieczną hańbą nikczemnych hitlerowskich oprawców.

Ta bezprzykładna niemiecka zbrodnia, w szatańskich mrokach biorąca swój początek, niech będzie dla nas — ludzi — ostatnią przestrogą.

Bo czyż to wszystko, w światowej biorąc skali, nie jest smutnym cieniem w dziejach ludzkości, która mimo pouczeń i licznych ostrzeżeń, mimo jawienia się wielkich umysłów i jasnovidzących duchów, nie mogła, czy nie chciała zawrócić z błędnej drogi swego rozwoju?

Nadszedł kataklizm i potwornością swoją, dotąd nieznaną, wierzymy, wzbudzi opamiętanie.



Rozdział V

KATUSZE

Zanim wstąpimy na dno koszmarnych przeżyć ostatniej męki i nikczemnego zbeszczeszczenia istoty ludzkiej, przejdźmy się tymczasem dalszym „krużgankiem“ i zobaczmy „nowych skazańców i nowe katusze.“

Wśród wielu SS-owskich i capowskich cerberów, z których każdy, jak powiedział Dante:
„Warczy i szczeka i jak pies się ąsa...

Wzrok toczy krwawy, czarne kudły wstrząsa,
Kłab ma wydęty, szponiaste ręce;

Drze pazurami i targa i kasa“. — *)
jeden był najgorszy; karzeł, degenerat, piętnastoletni żyd — rzekomo syn bankiera.

Ten zwyrodnialec na rozkaz oprawców zabił od tyłu uderzeniem pałką w głowę własnego ojca przed krematorium, a matkę powiesił. Za „sprawne wykonanie“ mianowano go capowcem i komendantem polskiego baraku.

„Zamknęła się brama, wchodzimy do obozu“ — opowiadał jeden ze zwolnionych wię-

*) Boska Komedia — Piekło — Pieśń VI.

źniów — „dokąd nas przywieziono wprost z zamkowej wieży lubelskiego więzienia. Taki był tam tłok, że czterdziestu więźniów co dwie godziny stało, gdy inni leżeli na chłodnym cementcie. Nie uszliśmy jeszcze kilku kroków po szosie majdankowskiej, a już Niemcy krzyczą: *Capo! Capo!...* i widzę, jak do nas biegnie jakaś pokraka, człowiek nie człowiek, i co za strój! Czerwone spodnie, w czerwone pasy sweter, na pokracznym ciele kozuch bez rękawów z czarnych baranów i długie buty. Twarz czerwona — istny diabeł. I bez żadnej przyczyny począł nas kopać, wymyślać i bić długim batem. Jak się później okazało, zwyrodniały ten karzeł był komendantem naszego baraku.“ (Ustęp z listu Piotra Kowalczyka z dnia 15. II. 1943).

Już z tego można wnioskować, co się potem działo.

Bat świstał stale, od rana do nocy, z byle powodu, a ściśle mówiąc po to właśnie bito, aby ktoś nie wytrzymał i dając pozory krnąbrności czy buntu, stworzył podstawę do „mocniejszych wystąpień.“

Należy nadmienić, że każdy z cerberów miał swoje ulubione „chwytty.“ I tak znany nam już pokraczny capo, będąc małego wzrostu, kazał Polakom schylać się do siebie i bił ręką czy pejczem z całych sił po twarzy. Przy tym urągał,

pluł i stale krzyczał: „Polski, k.... wasza mać, już nie ma!”

Prócz bestii ludzkich w rodzaju opisanych, hodowano na Majdanku specjalnie tresowane psy, by utrudnić więźniom ucieczkę. A gdy więźniowie szli w kolumnach, lub byli przy pracy, psy warowały przy nich pod czujnym okiem swych na modłę ludzką stworzonych „psubraci.”

Na oczach kobiet czatujących przy drutach, by zobaczyć swych najbliższych, strażnicy urządzali taką „poglądową lekcję-zabawę”: Jeden z nich wołał więźnia pracującego w rowie, by szedł do niego, a drugi po chwili szczuł psami idącego. Biedny skazaniec nie wiedząc, co się święci, wpadał w pułapkę. Psy gryzły ze wszystkich stron — uciec nie dawały. Ofiara wila się z bólu, krzyczała i w rozpaczliwych skokach, w podartych strzępach, zdyszana, u kresu sił, wpadała do rowu.

A tymczasem sfera SS-owskich cerberów rechotała z uciechy z udanej zabawy i śmiała się śmiechem wyjców aż do łez.

Psy były tak świetnie tresowane, że robiły wszystko niemal na skinienie. Do rzeczy codziennych należał obrazek, polegający na tym, że gdy oprawca bił więźnia z jednej strony, to pies szarpał gryząc z drugiej. Celował w tej metodzie kom. Tuman.

Idziemy jednak dalej, „przyśpieszywszy kroku“ do tych, co pracują przy obozowych kanałach.

Bito więźniów stale, bez żadnej żenady, nie ukrywając. Pewnego dnia wrócił z Majdanka, jak zwykle odwiózłszy ponad tysiąc paczek p. Jurek, urzędnik P. C. K. Wszedł do gabinetu błdy.

„Panie Prezesie! dłużej nie wytrzymam. Dziś katowano zbiorowo Polaków na moich oczach i naszych trzech furmanów.“

Słuchałem. — „Były kanalie, jak gdyby nigdy nic.“ Za co?

Jeden z więźniów, dość już wyczerpany, na chwilę przerwał pracę chcąc trochę odpocząć. Na to gestapowiec rycząc, jak to jest w ich zwyczaju, najpierw obił nieszczęśliwca, a potem zaczęła się sankcja zbiorowa.

Ustawiono wszystkich pracujących na tym odcinku więźniów w długi rząd. Po kolei podchodził każdy do metrowej średnicy kanalizacyjnej rury i kładł się na nią na brzuch. Dwóch łotrów trzymało nieszczęśliwca, jeden za nogi, a drugi głowę, cisnąc między kolanami, trzeci zaś szpicrutą bił w plecy i wypiętą część ciała.

Każdemu wymierzono skrupulatnie odpowiednią porcję batów.

Wytrzymali! — i byłby na tym koniec, gdyby się ostatni ze skazańców nie rozplakał. Wów-

czas rozkazujący cerber w swej plugawej „zajusze“ wściekł się, widząc tego biedaczyny łyzy.

„Bić na nowo! Po kolei wszystkich!“

Padła komenda.

I znowu bat świstał miarowymi razy w zupełnej ciszy.

Nikt nie jęknął, nie zaszlochał. — Wytrzymali — chociaż bolało, bo oprawcy bili nie żalując sił.

Ta już dwukrotna wytrzymałość więźniów wydała się głównemu cerberowi dziwną. Kazał sprawdzić ślady razów — i cóż się ku nieszczeniściu więźniów okazało...

Każdy pod pasiakiem przed chłodem i biciem, dla ochrony, był owinięty w cienki koc.

Zabrano koce i wszystkich „winnych“ dla przykładu, a pozostałych dla postrachu, po zsiniałych plecach, tym razem już bez żadnej osłony, zaczęto po raz trzeci bić.“

Twardzi i silni woźnice P. C. K. o zahartowanych w codziennym znoju pracy nerwach, nie byli w stanie wytrzymać i prosili, by ich już więcej do tego piekła nie posyłano.

Tak mijały więźniom osadzonym na Majdanku długo, powolnie i beznadziejnie wlokące się dni potwornej męki.

Kto po długim pobycie wychodził nietknięty, ten był podziwu godnym unikatem. Nie

zawsze jednak finał był szczęśliwy dla bitego skazańca.

Dla przykładu podam jedną z jakże licznych śmiertelnych w skutkach katuszy.

Było to w miesiącu czerwcu, niestety nie zanotowałem w swoim pamiętniku dnia. Złapano kilku capowców w stanie kompletnego opilstwa. W czasie dochodzenia, mającego na celu ustalenie, skąd dostali wódkę, wskazali oni trzech Polaków, jako rzekomych „dostawców“, a tym samym ponoszących winę za złamanie dyscypliny.

Wymierzono kary skazujące: adwokata Noska z Warszawy na stodwadzieścia kijów, a pozostałych dwóch na „odcierpienie“ po trzydzieści.

Ś. p. adwokat Nosek, będąc najzupełniej niewinnym, nie przeżył tej potwornej kary. Zbito go tak kijami, że odchodziły od pleców i pośladków kawałki rozbitego ciała. Zmarł w strasznych męczarniach, pomimo usilnych zabiegów i ratunku polskich lekarzy.

Na bicie, katowanie i mordownię nie było żadnej miary.

Tak zwana kara była w najlepszym wypadku niewspółmierna do popełnionej winy. Zresztą w kolosalnej ilości wypadków nie trudzono się nawet, by ustalić winę i szukać winowajcy. Odpowiedzialność była zwykle zbiorowa.

Nie trzeba być prawnikiem i rozumieć norm prawnych, obowiązujących we wszystkich no-

woczesnych ustawodawstwach, opartych na zasadzie indywidualnej odpowiedzialności, by określić postępowanie majdankowskich oprawców mianem „barbarzyństwa.“

Cóż jest w stanie powiedzieć już nie prawnik, ale przeciętnie myślący człowiek, mający wrodzone sobie poczucie sprawiedliwości, gdyby dano mu do oceny następujące fakty:

Tuż obok Majdanka, na polach folwarku zorganizowanego przez komendę obozową z zabranych chłopom pól, pracowali codziennie więźniowie.

Pewnego razu — było to w miesiącu lipcu 1943 r. — dwunastu więźniów było zatrudnionych przy zrywaniu grochu. Kilku z nich, a może nawet wszyscy (tego nikt z obozowych strażników nie ustalał), ośmieliło się jeść groch. Zobaczywszy to dozorujący Niemiec, zabił po kolei wszystkich, jednego po drugim, bijąc motyką po głowie.

Czy taki bestialski czyn, można zmieścić w jakiegokolwiek bądź kategorii ludzkiego myślenia?

A oto dalszy obrazek:

Gdy wypędzono z rodzinnych siedzib (czerwiec i lipiec 1943) biłgorajskich i zamojskich chłopów, wywożąc ich następnie transportami do czterech w Lubelszczyźnie rozmieszczonych obozów (Majdanek, Zamość, Zwierzyniec i Budzyń), nie troszczono się, by rodziny były w całości.

Zabierano każdego tam, gdzie kto w chwili branki się znajdował. W tych warunkach było na porządku dziennym, że dzieci ginęły. Matki w rozpaczę odchodziły od zmysłów szukając swoich maleństw.

Po jednym z majdankowskich pól, od baraku do baraku, biegła zrozpaczona staruszka, szukając zaginionej wnuczki, a nie znalazłszy, po kilku dniach straciła zmysły.

Słyszało się wciąż powtarzane przez nią w opętańczym wołaniu imię drogiego dziecka.

Zdenerwowało to wreszcie majdankowskich katów. Zastosowano „wypróbowany sposób” na uspokojenie.

Zaczęto staruszkę bić, by milczała.

Bito umysłowo chorą — bito kobietę. — bito siwą staruszkę.

Pod wpływem jej nieustających wołań bili tym zajadlej... Bili w zwierzęcym zapamiętaniu, długo... Bili już milczącą... Bili łotrzy nawet wówczas, kiedy już skoła... (Piszę na podstawie opowiadania naocznego świadka, zwolnionego z Majdanka — Wandy Wysockiej, urzędniczki P. C. K. w Lublinie).

Kto chce wiedzieć, co to są katusze, ten niech by pobyl nie tygodnie, jak oni, ale kilka dni wśród biłgorajskich wygnańców osadzonych na Majdanku.

Stłoczono takie ilości ludzi w poszczególnych barakach, że się dosłownie dusili, a z rana wynoszono zwykle po kilka trupów, ci zaś, co zostali, ocalenie swoje uważali za cud.

Wobec napływu coraz to nowych transportów, tysiączne rzesze stały na otwartym polu. Stały tam niejednokrotnie w złą pogodę — na chłodnym i ciągle siekącym deszczu — dzień i noc.

Dla odmiany, gdy były wielkie upały, kazano chłopom pracować ciężko przy trzydziestu kilku stopniach, z odkrytą głową.

Metoda dla oprawców niemieckich była obojętna, różnicy żadnej nie sprawiał rodzaj kary; chodziło bowiem tylko o to, by jak najszybciej i najliczniej „unieszkodliwić“ — „zlikwidować“ więźniów.

Pewnego razu na jednym z pól wygnano wszystkich więźniów i przybyłych wygnańców do rannego apelu. Przy sprawdzaniu okazało się, że jeden z więźniów zgubił tabliczkę z numerkiem (obozowy paszport). Zaczęto szukać.

Apel wówczas trwał od godziny siódmej, z bardzo krótkimi przerwami na posiłek, do godziny 22 m. 30. Ludzie mdleli i konali na placu.

Dla dopełnienia udręki ustawiono na środku podnoszącego się terenowego wzniesienia taczkę i na widoku publicznym kobiety, mężczyźni i dzieci w tak zaimprovizowaną ubikację musieli załatwiać swoje fizjologiczne potrzeby.

Wskutek panującej biegunki i zakazu oddalania się do nielepiej pod względem higienicznym wyglądających latryn przed taczkami stały kolejki.

To wszystko odbywało się przy akompaniamencie krzyków, obelg, ciągłego pospiechu i stałego bicia.

* * *

Wieszano z byle powodu, na specjalnie skonstruowanych szubienicach, umieszczonych po jednej na każdym polu.

Na wysokim słupie u góry z jednej strony była umieszczona poprzeczka z kółkiem, dokąd na stryczku podciągano powieszzonego skazańca, by był jak najwyżej, świadcząc swym widokiem, że banda niemieckich szatanów czuwa nad obozem. Wisiał taki męczennik, kołysany wiatrem, dla postrachu pozostałych, kilkanaście godzin.

Za co wieszano?

O to władzom obozowym, powołanym do jak najszybszego likwidowania majdankowskich mieszkańców, nie było trudno.

Raz wieszano za to, że więzień z głodu „skradł” dodatkowy kawałek chleba. Innym razem siedł na szubienicę „winowajca,” u którego znaleziono „gryps” — nielegalny list, a ponieważ tego rodzaju „przestępców” było wielu, to też nie brakowało złoczyńcom niemieckim

materiału ludzkiego do ciągłego dekorowania obozowych pól wiszącymi na szubienicach wadłami zeszywniałych ludzkich ciał.

Zwolniony we wrześniu 1943 r. z majdan-kowskiego „piekła“ więzień, artysta - rzeźbiarz Boniecki, człowiek umiejący patrzeć i notować w swej pamięci fakty, ze spokojem człowieka, który przeszedł wiele, roztaczał przed moimi oczyma w wielogodzinnych rozmowach plastyczny obraz koszmarnych chwil.

Potwierdził to wszystko, co tu opisałem, dodał wiele, wyświecił niejedną niejasny i niezrozumiały dla mnie fakt.

„Jaki ma przebieg życie więźniów - mężczyzn na Majdanku?“ — takie pytanie zadałem mojemu rozmówcy.

„Miał podawać wiele faktów, opowiem, co się działo w jednym z ostatnich dni mojego pobytu w obozie.“

Mówił spokojnie, cicho, z namysłem, przyzwyczajony do stałego więziennego milczenia i ostrożności.

„Niedziela, dnia 12 września 1943 roku“ — ciągnął dalej — ostatnia niedziela mojego pobytu w obozie.

Na naszym polu kilku jeńców rosyjskich usiłowało zbiec. Po złapaniu trzech zarządzono apel trwający cztery i pół godziny. Dwóch na

oczach naszych zatłuczono kijami, a trzeciego przywiązano do słupa.

Ponieważ takiego samosądu dokonały czynniki niższe bez porozumienia z „górami” — to też czym prędzej, aby zatrzeć ślady, w obawie przed „gniewem” przełożonych oprawców oba trupy powieszono w baraku na cienkich sznurkach, mających imitować „dobrowolną ucieczkę od życia.” Ostrzeżono odpowiednio wszystkich towarzyszy rzekomych samobójców i dla pewności milczenia naocznych świadków capowcy bili masowo po barakach. By zagłuszyć krzyki, orkiestra grała w jednym z baraków skoczne melodie z niemieckiego repertuaru.

Lekarzom i blokowym powiedziano, że zmarli jeńcy nie chcieli żyć.

Specjalna zaś komisja po „dokładnie” przeprowadzonym śledztwie stwierdziła, że denaci zmarli na zapalenie płuc. Taki oficjalny raport poszedł do komendy i dalszych przełożonych obozów.

Po odegraniu tej „tragi-komedii” współuczestnicy dokonanej zbrodni, odpowiednio podchmieleni, nago tańczyli w swoim baraku przez całą noc, krzykami siejąc zgrozę wśród zaleknionej więziennej „braci.”

Do takich i tego rodzaju często powtarzających się scen — snuł myśl dalej mój interlokutor — proszę dodać: brak wody na poszczegół-



Więźniowie w pasiakach nowoczesnej „Wieży Babel”.



Wszędzie i zawsze w obrębie obozu czuwała straż.



Jedna z wielu strażniczych wież.

nych polach, brak snu (więźniowie po ciężkiej pracy sypiali, według oficjalnego rozkładu godzin, zaledwie od godziny 22-ej do 4-ej), uciążliwe apele, zimno, choroby — nieodłączne towarzyszek takich warunków obozowych, i ponad wszystko głód, a wówczas zagadka piorunującej śmiertelności stanie się każdemu jasną.

Idąc myślą w ślad za tymi słowami, kryjącymi w sobie bezdenny ogrom tragedii ludzkiej, spytałem po chwili: Jakiż był dalszy los przywiązanego do słupa?

„Abstrahując od danego wypadku, zdaniem moim, był to najstraszniejszy rodzaj śmierci, na jaki obozowe władze umiały się zdobyć. Skazaniec przywiązany nago do słupa, bez jedzenia i picia, konał powoli. W końcu taką wychudzoną postać, o kształcie kościotrupa, gnijącą w wydzielinach własnych, dobijano strzałem w głowę, poczem wywożono do „cuchnących dołów.“ Męka konania w zależności od siły organizmu trwała nieraz do tygodnia. Zimą męczarnie skracał mróz.“

Dla dalszego zobrazowania życia za kolczastymi drutami Majdanka przytaczam w całości „felieton“ opracowany przez Wandę Albrechtównę, która przebywała w obozie od 17 stycznia 1943 r. do ostatniej chwili jego istnienia, poczem została wywieziona do Oświęcimia.

„Dzień na Majdanku.“

Jest szaro jeszcze; męskie pola, jedno po drugim, dzwonią swą codzienną pobudkę.

Uderzenia gongów stają się coraz mocniejsze, wyraźniejsze. Nareszcie już zupełnie wyraźnie dzwoni nasz gong — raz, dwa, trzy, liczę mimo woli. Ponuro brzmi ten nasz poranny budzik. Zaczyna się dzień. Boże! Ileż takich ranków już było, ile nas jeszcze czeka?!

W barakach już jasno, ale każda, jak może tak jeszcze zwleka ze wstawaniem. Przecież dopiero po czwartej! Ze słodkiego odrętwienia wyrывa nas ostry głos gospodarczej: „K a w a! brać prędeż, zaraz apel.“ W głosie jej brzmi święte oburzenie dla takiego niezrozumienia sprawy. „Codzień ta sama historia — spóźnianie“ kończy z trzaskiem zamykając kotły.

„Apel... apel... apel! Wychodzić zaraz na apel, prędko, wszystkie bloki już stoją, tylko nasz jak zwykle jeszcze nie“.

Gong wali bez przerwy aż uszy bolą...

Powoli, zaspane jeszcze towarzystwo wysypuje się z bezpiecznych głębin baraku. Pasiaste wojsko ustawia się w szeregi.

„Wiesz, co jest moim największym marzeniem“ — zwierza się młodziutka pasiaczka swej sąsiadce. „Raz chociaż dobrze się wyspać. Spać całutki dzień, oczywiście z przerwami na jedzenie.“

„Cicho, idzie“! (to znaczy oberaufseherin — komendantka). Rozmowy milkną. Apel się zaczyna. Nigdy chyba nie zapomnę słowa „Achtung“.

Oznacza ono ukazanie się Niemki, czy Niemca, a z nim razem wrzasków, wymysłów, uwag, często bolesnych uderzeń pejcem, czy trzcina.

Na apelu blokowa krzyczy „Achtung“ z chwilą zbliżania się Niemki odbierającej apel. I tak samo jak rano gong, tak teraz „Achtung! Achtung! Achtung!“

Z początku ciche, dalekie, wzmagają się bardziej i bardziej, Niemka już jest blisko. Już przy bloku sąsiednim. Idzie teraz do nas. „Achtung!... Block III soll...“

Odeszła, a z nią razem to niezmiennie towarzyszące jej słówko — „Achtung“. Po chwili zjeżdża na rowerze do kancelarii.

Idą pasiaczki piątkami, maszerują jak na defiladzie — raz, dwa, trzy, cztery... lewa, lewa, lewa! „Równać szeregi, idziecie jak diady“ — krzyczy capo.

W szeregach nie ma teraz ciszy jak na apelu. Każdy ma przecież coś do powiedzenia. Rosjanki toczą ożywione rozmowy. Skarżą się, że „połuczili niemnożko — tylko chleba“, że pewnie je okradają, że „bolnym rebionkam w bolnicy niczewo kuszat“ nie dajut“ itd. Polki oświadczają, że są śpiące i już zmęczone.

Pole wyludniło się. Gdzie niegdzie snują się pasiate postacie. Czasem mignie biała postać pielęgniarki. O, tam idzie Niemka! Trzeba uprzedzić w bloku. Wszystko jest ospale, porusza się leniwie, jakby z musu. Nawet Niemka ospale wali trzcina jakąś biedną winowajczynię. Policjantka stara się ustawić nową kolumnę pracy z resztek Żydówek, kryjących się po barakach i za barakami. Jest przy tym dużo krzyku, płaczu i wymysłów, ale koniec końców kolumna złożona z pięćdziesięciu osób jest gotowa do rozpoczęcia pracy — zbierania słomek z pola. Praca dobra dla filozofa, ale normalnego człowieka doprowadza do szału.

Wtem gdzieś z za baraku z krzykiem wybiega kilkoro dzieci. Są to cyganięta. Bawią się w wojsko. Ich wodzem jest siedmioletni Henio — „partyzant“. Dziecko znalezione w lesie (widać był bardzo groźny, skoro przyprowadzili go aż do obozu). Do dzieci zbliża się Niemka i przygląda się im z zainteresowaniem. „Dzieci za tańczcie“ — proponuje ktoś. Dwoje dzieci, jak wyuczone małpiątka, objąwszy się, zaczyna się popisywać.

Przez chwilę mam wrażenie, że jestem w cyrku. Trudno oczy od nich oderwać, tak „nieobozowo“ wyglądają.

Dziewczynka, jasna blondynka, o dużych niebieskich oczach, niczym nie przypomina cy-

ganki. Za to chłopak posiadał chyba wszystkie cechy swojej rasy.

Tańczą z wdziękiem ciekawie rozglądając się dokoła, co za swój taniec dostaną. Zmanierowane dzieciaki o sprycie dorosłych ludzi.

Uwagę moją przyciąga teraz co innego.

Przez pola sunie tak zwane Schusskommando. Co za barwny widok. Greczynki — poubierane w pstre łachy ciągną wóz z... nieczystościami, uprzyjemniając sobie pracę śpiewem.

Z daleka widok efektowny, lecz z bliska! Postacie wychudzone do ostatecznych granic, na których ledwie trzymają się kolorowe suknie. Twarze sine z zimna. Nie przyzwyczajone do naszego klimatu. Spod szmat zastępujących chustki na głowę patrzą na mnie oczy tragiczne. Głodne oczy żebraka. Wóz zatrzymał się na chwilę. Kilka Greczynek gorączkowo czegoś szuka w zakamarkach wozu. Jest nareszcie!

Drżące z chciwości ręce chwytają wstrętną, brudną brukiew. Jedzą łapczywie. I to są ludzie! Przypominają raczej zwierzęta. A jednak nie mogę zdobyć się na litość. Patrzę na nie jak na obraz, ale nie jak na ludzi. Tu nie można bać się we wrażliwość. Trzeba ją głęboko schować, a okazać tylko zimną obojętność. W przeciwnym razie człowiek by zwariował.

Naszym szczęściem jest to, że nie potrafimy tak reagować na niektóre rzeczy, jakbyśmy reagowały w normalnych warunkach.

Na przykład: — czy normalny człowiek z wolności mógłby spokojnie jeść kolację lub cieszyć się z otrzymanej paczki w chwili, gdy tuż koło niego odbywa się „selekcja“ — przygotowywanie „kontyngentu“ ludzkiego do „gazkarni“, albo śmiać się z jakiegoś dowcipu, gdy godzinę temu publicznie powiesili Żydówkę i samemu się na to patrzyło.

Godzina dwunasta. „Kommanda“ wracają z pracy.

Szybko, szybko, bo niecała godzina na zjedzenie obiadu. W barakach gwar, ruch, zamieszanie.

„Druga grupa po obiad, druga grupa prędej!“

„Och, znów kapusta“ — ktoś smętnie wzdycha. „A może wolisz „badyle“ albo „plujkę“, co?“ — „Trzecia grupa po obiad“ — nawołuje dalej gospodarza.

„Boże, co za makabra ten wieczny pośpiech.“ Ciągłe się tylko słyszy: Szybciej, prędej, ale za to oni ze zwolnieniem wcale się nie spieszą.

„O, już gong na apel“... „Arbeitsapel!“ — krzyczy zachrypniętym głosem policjantka. Teraz już nie ma wspólnego apelu. Poszczególne

kolumny pracy po dokładnym przeliczeniu maszerują do swych robót, prowadzone przez „Aufseherin“ (Niemkę) i capo.

I znów pole pustoszeje.

„Wiesz, paczki przyjechały“ — mówi mi koleżanka. „Jest dla mnie paczka?“ pytam z zainteresowaniem. „Masz nawet trzy. albo cztery“. „Są jakieś wiadomości ze świata?“ — indaguję dalej. „Nie, zupełnie nie wiem. O Mussolinim i Francji też potwierdzenia nie ma. W ogóle znów stagnacja.“

Wracam do baraku wróżąc sobie na guzikach swetra: „Skończy się przed zimą czy nie“. Wróżba wypadła pomyślnie, więc już spokojnie zabieram się do pracy.

„Apel meldować“ — słyszę przeraźliwy głos lauffra. „Co, już piąta godzina?“ Boże, jak ten czas szybko leci.

Podchodzę do okna. Z daleka widać szosę. Taka zwykła sobie szosa, wysadzana drzewami. Jadą po niej samochody, autobusy, to znów ktoś szybko śmignie na rowerze. Od czasu do czasu można zobaczyć i kobiety z wózkami dziecinnymi. Jakie to wszystko dalekie, prawie nierealne. Więc jednak wszystko idzie normalnym trybem.

„Apel, apel, szybko!“ Raptownie zbudzona ze swych rozmyślań usiłuję wrócić do obozu i jego życia. I znów pasiaste wojsko jak rano czeka z niecierpliwością na koniec apelu.

Patrzymy na Lublin. Jak inny jest o każdej porze dnia. Nie wiem, czy to wina oświetlenia, czy po prostu naszej wyobraźni, ale mimo że obserwuję ten sam widok od tak dawna, nie znam go właściwie. Zawsze odkrywam w nim coś nowego, czego jeszcze nie widziałam.

No, nareszcie: „Ap...!” Koniec apelu. Biegniemy, jak stado koni, kto pierwszy do baraku. Teraz tak zwana kolacja...

No, minął „spokojnie” jeszcze jeden dzień. A każdy dzień zbliża nas ku wolności!”

Wrzesień — 1943 — *Majdanek*.

Tak wyglądał przeciętnie dzień na męskich i kobiecych polach.

Zanim zakończymy tę naszą wędrówkę ilustrującą rodzaj majdankowskich katuszy, wybranych dla przykładu z nieprzerwanego ich łańcucha, wstąpmy na chwilę nad brzeg obozowej strzelnicy i spójrzmy w dół.

To, co zobaczymy, będzie nie do wiary, a jednak zeznał to naoczny świadek.

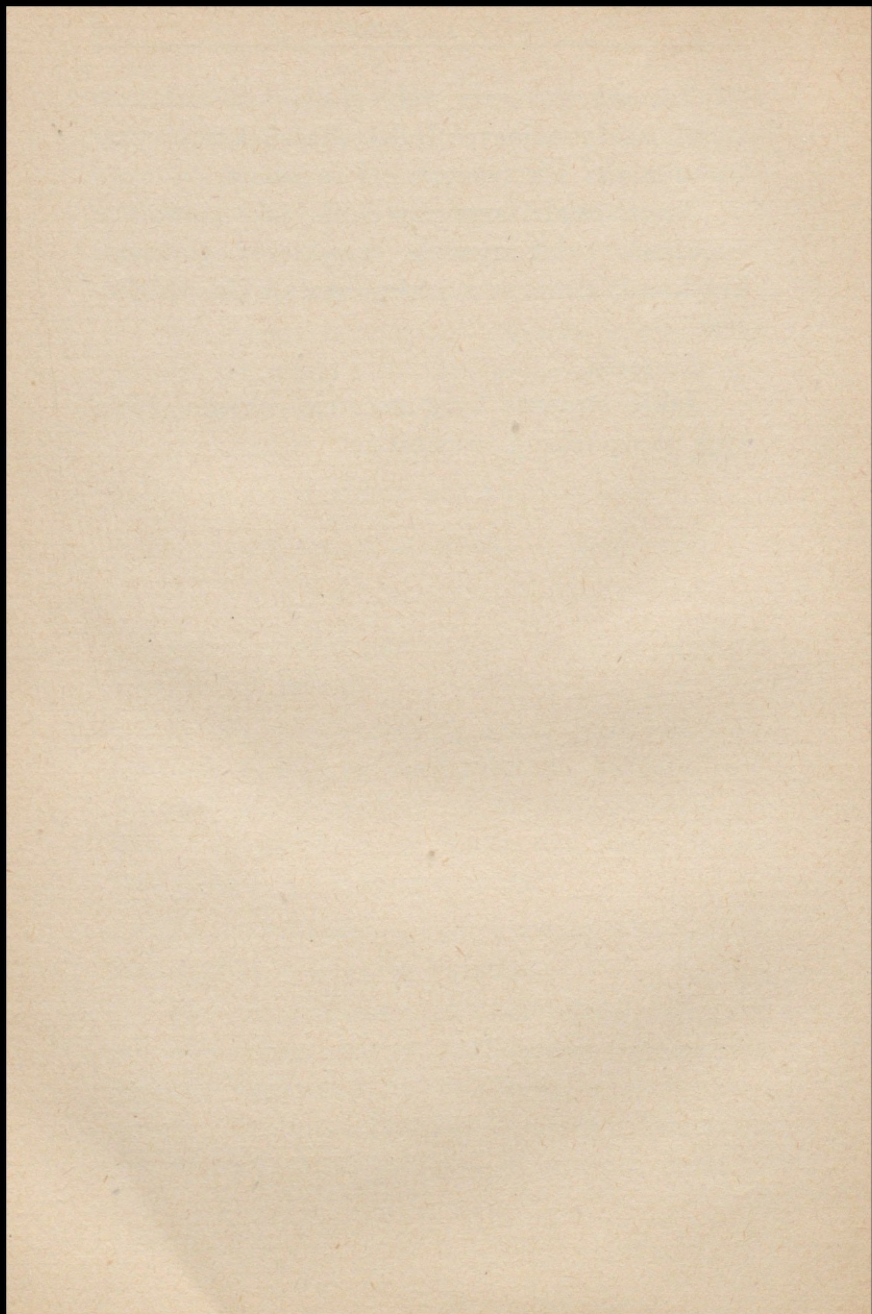
Tire-aux-pigeons, tak należałoby określić ujrzaną scenę, gdyby ruchomymi celami dla wprawy oprawców nie byli żywi ludzie — skazańcy. A więc... Tire-aux-hommes. Strzelano, ćwicząc się, do stojących i biegnących ludzi.

Zamiast do tarcz lub glinianych rzutków strzelano do stojących ludzi; dla większej wprawy ganiano ich tworząc cel ruchomy.

Niech osądzi sam czytelnik, jak nazwać te ćwiczenia dokonywane zwykle z głośnymi krzykami, a nieraz z jakimś szatańskim chichotem.

I znowu...

Jakie straszne były ostatnie chwile życia tych skazańców-męczenników.



Rozdział VI

HART DUCHA

Myłilby się ten, kto by mniemał, że polscy więźniowie na Majdanku prosili o litość.

Wiedzieli, jak wielką, bezcenną wartość posiada ich ofiara, zdawali sobie sprawę, że większość spośród nich zginie w ciągłym łańcuchu męczarni; w cierpieniu jednak tym i śmierci tkwiła ich moc, świadomość, że giną za wielką sprawę, stwarzała tę potężną siłę, którą byli w stanie przeciwstawić sile i okrucieństwu hitlerowskiej „bestii“.

Obiektywizm nakazuje wspominać i o innych faktach. Były odstępstwa, były załamania, ale gdzież ich nie ma, zwłaszcza, gdy się żyje w warunkach „dantejskiego piekła“.

Niech się jednak nikt nie waży rzucać kamieniem na upadających. Oceniając psyche tych ludzi, zwłaszcza w momencie krytycznym, należy dobrze sobie uprzytamniać gehennę cierpień, jaką oni przeszli.

Ogólnie biorąc, każdy niemal więzień, zanim przybył na Majdanek, doświadczył wiele

z bogatych przeżyć, którymi wojna totalna obdarzyła Polskę. Będąc na wolności każdy Polak był świadkiem przelewanej hekatombi krwi. W jego oczach ginęli najbliżsi, cierpienie było udziałem wszystkich.

Pewnego dnia, czy pewnej nocy, porwano również i jego — obojętne gdzie — w domu czy na ulicy. Rozpacz pozostałej lub „asystującej” rodziny dopełniała kielicha goryczy. Złamany szedł na badania, potem do więzienia...

Tam rozmaicie bywało...

W Lublinie poddawano go różnym najbardziej wymyślnym torturom w Gestapo — „pod zegarem“.) Jednym spośród wielu sposobów wydobywania „dobrowolnych zeznań” była tak zwana „wanna“, którą dla przykładu opisuję.

„Podejrzanego“ wieszano do góry nogami na sznurku owiniętym dokoła stóp w ten sposób, że przy pomocy bloku, umieszczonego pod sufitem, denata można było podnosić, utrzymując jego głowę na odpowiedniej wysokości. Gdy ta wstępna akcja była już skończona, a delikwent pomimo to nie chciał się przyznać lub potwierdzić sugerowanych mu zeznań, wówczas opuszczając na linie jego ciało, zanurzano głowę w wannie napelnionej wodą.

*) Gmach, gdzie się mieściło Gestapo, nazywano „pod zegarem“.

Tego rodzaju eksperyment powtarzano wiele razy. Duszącego się więźnia ostrożnie wyciągano z wody, pytając, czy już jest „gotów“ do składania zeznań. W wypadku odmownej odpowiedzi eksperyment powtarzano. Tortura taka trwała zwykle do utraty przytomności, chyba że chcąc uniknąć dalszych cierpień więzień godził się na wszystko, co mu podsuwano.

Po takich i temu podobnych dotkliwych torturach „podejrzany“ przechodził na stały pobyt do więzienia, po czym w większości wypadków łądował na Majdanku.

Przybywał w tych warunkach do obozu nędzny strzęp, łachman człowieka.

Jeśli nowożytnie prawo, biorąc pod uwagę stan duchowy sprawcy, jego poczytalność, staje na stanowisku, że „nie podlega karze, kto w chwili czynu, z powodu zakłócenia czynności psychicznej, nie mógł... pokierować swym postępowaniem“; (art. 17 § 1 K. K. polskiego), to cóż można mówić o majdankowskich „nie-przestępcach“, o ludziach idei, doprowadzonych torturami i warunkami obozowego bytowania do stanu kompletnej w większości wypadków niepoczytalności.

Współczesnym społeczeństwom nie są znane normy, w których świetle fakt „załamania“ lub „słabości“ męczenników majdanowskich można byłoby poczytywać im jako winę.

Nie znajdzie się chyba nikt, kto by ośmielił się ich kiedykolwiek krytykować i sądzić...

Jeśli o tym mówię, to tylko, by podkreślić z całym naciskiem, że tego rodzaju znikome, sporadyczne wypadki były zaledwie nikłą rysą na skale niezłomności i męczeńskiego hartu ducha Polaków.

Kobiety lepiej na ogół znosiły pobyt w obozie, nie tylko dlatego, że miały bez porównania — o całe niebo — lepsze warunki bytu (ich tak nie bito, nie głodzono w tym stopniu, co mężczyzn, nie poniewierano, a odsetek śmiertelności „naturalnej“ i „niespodziewanej“ w porównaniu do męskich pól był znikomy), lecz przede wszystkim dlatego, iż właściwa kobietom miękkość w obcowaniu wytwarzała z więźniarek całość zespoloną przez jedną wolę.

W tym tkwiła ich siła.

Zwartość u mężczyzn była mniejsza. Głodni i męczeni, patrząc codziennie na liczne zgony towarzyszy, wiedzieli, że zginą. Śmierć nad nimi czyhała każdej chwili. Ocalenie, życie na wolności było dla nich czymś nierealnym, dalekim jakimś mitem, nieziszczalnym cudem.

Beznadziejny koszmar tych przeżyć wywoływał u złamanych głodem, słabych wolą zamknięcie się w sobie, odosabniał psychicznie, zdając każdego na pastwę jego własnych, zrezygowanych, smutnych rozmyślań.

Wielorakość bestialskich metod i ciągłość męczarni, stosowanych w obozie, była właśnie obliczona na to, by złamać więźniów psychicznie, po czym droga w zaświaty była niedaleka...

Tak mijały dni męczarni, a dla niektórych tygodnie, miesiące i lata... Nie wierząc w ocalenie zegnali najbliższych.

W licznych listach (grypsach), które miałem w rękę, snuła się jak czerwono-krwawa nić męczeństwa — myśl jedna: umrzeć własną śmiercią... Lękali się, by nie byli żywcem spaleni.

W bezgranicznej rozpaczycy jedna z pań z Warszawy (nazwiska celowo nie podaję) czytała mi list swojego męża, w którym zegnając ją i błogosławiąc syna, miał tylko dwie prośby:

„Dziecko wychowaj na godnego Polaka i módl się wraz ze mną, o to ciebie proszę, bym umarł własną śmiercią.“

Złamana strasznym bólem, z przerażeniem w oczach mówiła, że zgodnie z prośbą i ostatnią wolą męża modliła się w kościele.

Wymawiając te słowa w rozterce pytała: „Czy o to można prosić? Czy dobrze robię? — bo przecież to wszystko jest takie straszne... prosić o śmierć dla swego męża. Ale przecież on tak chce, to jest jego wola!...“

Mówiła szeptem, z rozpaczliwym lękiem, łkając, skulona i taka jakaś mała, przytłoczona ogromem swojego nieszczęścia.

Ta jej z najtajniejszych skarbów duszy płynąca błagalna modlitwa, modlitwa samozaparcia, wraz z modlitwami milionów Polek, czyż nie jest jeszcze jedną, całopalną żertwą, wyrazem najwyższego, bohaterskiego wzlotu polskiego ducha?

Ileż matek z krwawiącym sercem musiało czytać takie słowa:

„Dziękuję Ci, Mateńko, że tak mnie tu pielęgujesz, dzięki czemu dotąd żyję, ale mimo to proszę Cię o jedno, abyś się modliła, tak jak ja się modłę codziennie, abym zmarł s w o j ą śmiercią, albowiem wiem, że wyjdę stąd jako dymek przez komin i nie przyjdzie mi nawet spocząć w porządnej, litewskiej ziemi“. (List więźnia Gruźewskiego — zmarł jak wielu innych).

Pod wpływem nieludzkich metod traktowania, stałych fizycznych i moralnych katuszy częste były wśród więźniów objawy obłąkania, nie mając nawet zwichniętej równowagi psychicznej byli oni w większości tak oteźpiali, iż tracali świadomość, gdzie się znajdują i co się z nimi dzieje.

Dla więźnia, który doszedł do takiego stanu, ratunku nie było...

Jednakże ci właśnie w godzinę śmierci dawali niejednokrotnie dowód najwyższego bohaterstwa.



Praca, do której SS-mani używali więźniów spośród przedstawicieli nauki i sztuki.



Jedna z ulic koncentracyjnego obozu.



Pas drutów kolczastych i wież.

Kiedy w marcu 1943 roku po spędzonych na trzecie pole: inwalidów, chorych, niedołączonych, a między nimi i zdrowych, do tak zwanego „baraku z wybiegami“ przyjechały samochody, by wieźć ich do gazkamery — na „wykończenie“ — poszli na śmierć jak żołnierze, nieulękli, niczym pierwsi chrześcijanie, z podniesionym czołem.

Z dziewięćdziesięciu piersi tych męczenników-bohaterów jadących na zagładę — długimi ulicami Majdanka — rozległa się potężna pieśń: „Jeszcze Polska nie zginęła...”

Padaly okrzyki: „Niech żyje Najjaśniejsza...” i długo jeszcze potem niosło echo od baraku do baraku, kołując do serc współtowarzyszy, zastygłych w przerażeniu, ostatnie słowa naszej modlitwy:

„...Ojczyznę, wolność racz nam wrócić, Panie!”

Tak umierali katowani mężczyźni w majestacie bezimiennego bohaterstwa.

I na tym samym trzecim polu pozostali towarzysze wzniesli ku czci tych poległych i tysięcy innych pomnik.

Na trzech betonowych stopniach wznosi się strzelista kolumna, u góry zakończona urną i wieńcem z laurowych liści. Trzy zrywające się do lotu orły trzymają u jej szczytu straż. Straż

nad prochami spalonych więźniów-męczenników.*)

Pomnik ten wzniesli koledzy kolegom, a patrząc w przyszłość, sami sobie...

W obliczu ogromu cierpień milkną wszelkie słowa, bezsilne, by wyrazić podziw i cześć już nie jednostek, lecz całego narodu dla tych, co padli, ceną życia salwując honor narodu.

Szlakiem męczenników szli nie tylko zahartowani w boju żołnierze — szły kobiety, starcy i nawet dzieci.

Cytuję raz jeszcze, podając dalsze trzy listy Wandy Albrechtówny.

„5. II. 1943. Mateńko moja najmiłsza! Taką radość serce chwyta i pędzi do gardła, że rady sobie dać nie mogę. Odnalazłaś mnie!...

Nie martw się o mnie, ja jestem mocna, muszę wytrwać. Muszę, muszę...! Nie proszę o przebaczenie, bo wiesz, że inaczej nie mogło być. Przecież jestem z Waszej krwi — Tatusia i Twojej. Boli tylko i męczy myśl o Was —

*) Niemcy z właściwą sobie pedanterią postanowili upiększyć majdankowski obóz: kwietnikami, rzeźbami i wszelkiego rodzaju innymi akcesoriami, by na zewnątrz dać wyraz wyższości kultury „herrenvolku“. Tę właśnie okoliczność wyzyskali polscy artyści-więźniowie i wznieśli opisany pomnik na trzecim polu, umieszczając wewnątrz kolumny u jego podnóża, w tajemnicy przed Niemcami, prochy poległych towarzyszy.

ogarnia niepokój i lęk. Boli myśl, że cierpisz Ty, Matus.

Ale nie żałuję tego, co uczyniłam. Wcale nie żałuję. Dziwny był ten wyjazd z Warszawy, z „Pawiaka” — a teraz cieszymy się z tej zmiany. Widzimy słońce. Widzimy niebo — więcej i dotykalnie czujemy Boga i Ojczyznę nad sobą i w sobie. Trochę głodno i chłodno, ale to „zaprawa” na przyszłość.

13. II. 1943. Dziękuję za ostatni list. Tyle sprawił radości, wniósł tyle słońca w nasze szare życie!

Myślicie o nas, pamiętacie, kochacie...! Krzyczeć się chce z radości. Więc jednak to nie są ofiary niepotrzebne! Wiecie to i „nie macie za złe!” A my tutaj, w tym przedziwnym miejscu, w tej twardej szkole życia — uczymy się.

Uczymy się twardej, nieustępliwej mocy. Zimnego prawa odwetu. Nie słowami tylko. Wrócimy inne. Wrócimy, aby dać z siebie to, co tu zdobywamy.

Przeorane serca i dusze...! Nie ten krzykliwy, tak zwany patriotyzm, ale nowe serca pełne mocy i hartu. Każda z nas to żołnierz. Honor dla nas to nie słowa, to wielka, przeogromna treść. A ten najcudowniejszy wyraz Ojczyzna nie może i nie będzie „używany” i „nadużywany.”

O Tej, co nie zginęła, nie prowadzimy rozmów, a patrząc na siebie oczyma duszy, prowa-

dzimy długie, milczące rozmowy. I to podczas ciężkich momentów, kiedy bat gdzieś świszcze, albo zakrwawioną widzimy twarz czy głowę.

O, jak my wtedy patrzymy na siebie. Niepotrzebne nam propagandowe wykłady. Mamy profesorów, mamy najwyższą wszechnicę. Uczymy się za Was i dla Was. I nigdy nie czujemy tak tej przeogromnej miłości dla wszystkiego, co nasze, jak właśnie wtedy.

8. III. 1943 ...Dziwny to świat — ten obóz. I pomyśleć, że to ludzie ludziom stworzyli! Zatraca się chwilami granica poczucia zła i dobra. Zatraca, aby po chwili powrócić w zdwojonej potędze.

Najstraszniejsze jest to poczucie bezradności i bezbronności. Ćwiczę się w umiejętności przystosowania się do warunków i doszłam już nawet do pewnej perfekcji. Po prostu gwizdę na tych hyclów...

Pamiętasz w Gdyni, jak hycel chciał złapać Bobiego (piesek)? Pamiętasz, jak Tatuś chywił hycła za kark i odrzucił w krzaki?

Tak będzie i teraz...! Tak musi być! Tylko hitlerowski hycel już się nie podniesie.

Są tu Tatusia towarzysze, przyjaciele i uczniowie, często z daleka widuję ich..."

Dowody takiego hartu ducha dało dorosłe dziecko — godne nosić nazwisko swego bohaterskiego ojca-żołnierza.

* * *

W lipcowe dżdżyste dni wpędzano transport za transportem — wysiedlony polski lud. Szła fala za falą w bramy obozu, a gdy się zebrało ich ponad szesnaście tysięcy, zabrakło miejsc.

W przesiąkniętym piachu, po kolana w wodzie stały niektóre transporty pod otwartym, zachmurzonym niebem. Ścisk był trudny do opisania, w barakach i na polu. Głowa przy głowie.

Dziesiątkowani chorobami i morzeni głodem o litość nie żebali, lecz wierni swemu Bogu modlili się zbiorowo o rannej zorzy i w szarych godzinach wieczornego zmroku.

Wbrew wszelkim zakazom klękali jedni koło drugich, z dziećmi po społu, nucąc przepiękną pieśń „Pod Twoją obronę“.

„Pieśń zrazu głucha i stłumiona rosła coraz bardziej. Głosy męskie, kobiece i dziecinne łączyły się w jeden zgodny chór. Całe więzienie poczęło w ciszy świtania śpiewać jak harfa. Lecz nie były to głosy żalości, ni rozpacz...“

Te słowa twórcy „Quo vadis“ najlepiej mogą oddać piękno i podniosłość modlitewnej chwili.

Niemieli oprawcy, jak mi jeden ze świadków opowiadał, nie śmiąc przerwać uniesienia. Zapewne dziwili się, skąd taka moc tkwi w duszy naszego polskiego ludu.

Cała martyrologia Majdanka i morze przełanej, ofiarnej krwi jest przecież jednym wielkim tryumfem dobra nad złem i światłości nad ciemnotą barbarzyństwa.

Szły jasne duchy w dalekie zaświaty, męczeństwem i krwią własną pisząc chwalebny testament przyszłym pokoleniom.

Testament męczeńskiego, lecz w swym nierozzerwalnym łańcuchu pokoleń nieśmiertelnego polskiego narodu.

Wiecznym symbolem majdankowskiego hartu ducha niech będą głęboko wryte w dusze słowa śp. Janiny Modrzewskiej, podyktowane na łożu śmierci otaczającej ją więziennej braci:

„To wszystko nic, moje życie jest jednym z tych miliona, które kładziemy w ofierze sprawie naszej, to wszystko nic, bo wieście, że z prochów naszych powstanie Najjaśniejsza.

Nie martwcie się moim losem, w płaczu nad wielkim cmentarzem; wy, co żyjecie, pamiętajcie, że przyjdzie chwila waszego wyzwolenia i wolności.

Nie sądźcie, żeśmy umarli beczynninie — myśmy na początku łańcucha ofiar, wy może nieco dalej w kolejności, ale nie bójcie się tego, bo sprawa, o którą walczymy, jest największa i najpiękniejsza...” (Majdanek - szpital, w maju 1943 r.)

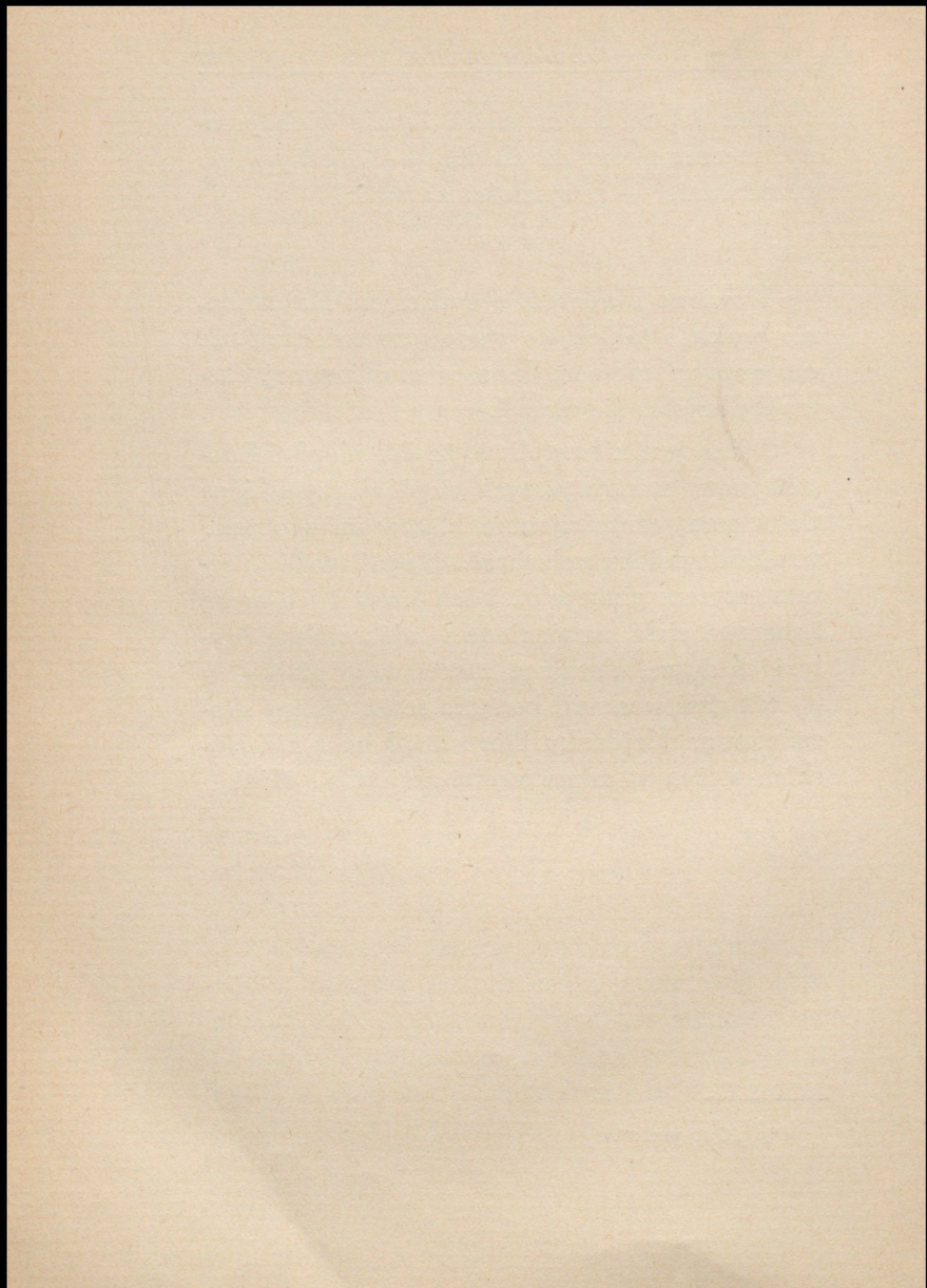
Ten Jej testament niech będzie wiekopomny: męczennikom na chwałę — obecnym na przetrwanie — przyszłości na wzór!

* * *

Mówiono z uporem o cudach na Majdanku, nie brakło i takich, co stanowczo twierdzili, że umęczonym rzeszom ludu w modlitewnej ekstazie Chrystus się ukazał.

Jedno jest niewątpliwe, że jak niegdyś Apostoł Piotr z najwyższych rzędów rzymskiego Colosseum chrześcijanom klęczącym z oczami wzniesionymi ku velarium... błogosławił i „żegnał krzyżem ginących... i ich krew i ich mękę i martwe ciała, zamienione w niekształtne bryły, i ich dusze, ulatujące z krwawego piasku“*) — tak dziś w chwili konania setek tysięcy skazańców na Majdanku błogosławił im z niebiańskich wyżyn w całym swoim majestacie Bóg!

*) „Quo vadis“.



Rozdział VII

OSTATNIA WĘDRÓWKA

Zstąpmy z kolei na samo dno udreki. W tym miejscu umysł ludzki nie jest w stanie zrozumieć tego, co się działo tam, na samym dnie odmętu obozowego piekła. Bezsilną jest wszelka wyobraźnia, a język niemiej nie mając określić, by odtworzyć straszny obraz.

„Jakim prawem żyją ludzie dłużej niż dwa tygodnie?“ — tymi słowy witał z wściekłością szef bezpieczeństwa Tuman komendant trzeciego pola, nie szczędząc mu wymówek za kunktatorstwo w „wykańczaniu“ Polaków. (Świadek Boniecki).

Oburzał się, bo nie żałowano przecież w dodawaniu do jedzenia saletry i siarki w nadmiernych ilościach (stwierdzono analizą), by wywołać chroniczną biegunkę. Presumować nawet można, że po prostu truto jakąś powoli działającą trucizną, skoro więźniowie po paru tygodniach zaledwie puchli i chodząc — nagle padali, zsiniali, z pianą na ustach i w drgawkach konali.

Pienila się władza obozowa w swej „nikczemnej zajusze“, wydając rozkazy bicia na

śmierć specjalnie do tego celu przygotowanymi pejczami.

Zbity gwoździami z kawałków skóry pejcz wynosił w długości półtora metra, w średnicy mając szerokość na płask leżącego pudełka zapalek (określenie świadka Bonieckiego).

Kilkanaście uderzeń takim „batem“ odbijało wnętrzności, po dalszych — od kości odchodziło ciało.

A przecież pamiętać należy, że bito tym śmiertelnośnym narzędziem stale i masowo. Osiemdziesięciu na raz lub piętkami po kolei, umieszczając ich na specjalnie do tego celu sporządzonych ławach.

Nogi więźnia wkładano w drewniane otwory, pochylając ciało ku przodowi. Jeden z oprawców chwycił za ręce i trzymał mocno, a drugi okutym batem bił.

Takie obrazki to rzecz była stała — mięso ludzkie bez żadnej przesady fruwało w powietrzu.

Łamano kości, miażdżono przelyki, stając na nich i skacząc leżącym więźniom po klatce piersiowej lub grdyce. Dziesiątkami wieszano bez żadnej przyczyny na pięciu szubienicach majdankowskich pól.

Wierni wykonawcy „wyższych zarządzeń“ — majdankowskie capo szalało w swym sadyzmie.

Na trzecim polu tzw. feldcapo powiesił jednej tylko nocy siedemnastu mężczyzn. Topił Żydów w sztucznej sadzawce, wybrawszy do tego pierwszego lepszego z brzegu, co mu pod rękę trafił. Robił to w ten sposób, że gdy nieszczęsna ofiara po przymusowym zanurzeniu wychylała głowę, by nabrać powietrza, tłukł kijem po głowie, aż delikwent straciwszy przytomność tonął.

Zimą zamrażano setkami, kładąc chorych szeregami na mrozie pod ścianami baraków, a gdy który podnosił głowę — dobijano kijem.

W ten sposób „odchodziło“ dziennie ze szpitala, zwanego rewirem, do czterdziestu osób, a z każdego pola od dziesięciu do piętnastu. Razem więc, licząc pięć pól, umierało dziennie „normalną“ śmiercią ponad sto osób.

Ile umarło na Majdanku ludzi przez cały czas jego istnienia, oto pytanie, które zapewne zaciekawili wielu.

„Najstarsi mieszkańcy“ Majdanka, w których oczach działo się to wszystko, twierdzą z całą pewnością, że majdankowski obóz pochłoniął w czasie swego istnienia co najmniej milion ofiar. W tym samych Polaków kilkaset tysięcy.

Ustalenie cyfr dokładnych jest rzeczą niemożliwą — tak umiejętnie zacierano ślady zbrodni. Należy pamiętać, że w lecie i jesienią 1943 r., a następnie w pierwszych tygodniach

1944 r. przywożono z Oświęcimia, Oranienburga, Buchenwaldu, Ravensbrück i z innych koncentracyjnych obozów w Rzeszy skazańców na „wykończenie“ do Lublina.

Stąd w niemieckiej gwarze obozowych władz Majdanek zwano obozem śmierci: Tod-lager.

By osiągnąć tak potwornie wielkie cyfry zgonów, musieli Niemcy, nie niechając podanych wyżej środków, sięgnąć po nowe, „bardziej wydajne“ — naukowe już metody hitlerowskiego barbarzyństwa.

Palono więc masowo w krematorium, dobijając uprzednio skazańców kijami. Częste były wypadki, iż chorych palono żywcem.

Ponieważ i ten rodzaj zagłady był zbyt powolny — dziennie bowiem, jak już wspomniałem, stare krematorium mogło spalić sto dwadzieścia osób, a nowe, o pięciu piecach zaledwie sześćset — przystąpiono do gazowania.

Duszono masowo...!

W marcu 1943 r. zawieziono kilku samochodami polskich inwalidów, chorych i zdrowych, w liczbie dziewięćdziesięciu, i zagazowano.

Truto gazami polskie dzieci w lipcu 1943 r., po czym palono je w krępieckim lesie. Polacy stale wchodzili w pewnym odsetku w skład kon-

tyngentów przeznaczonych na gazowe uśmiercenie.

Dalej truto gazem masowo jeńców, Żydów i inne narodowości.

Partia przeznaczona do „gazkamery“ wchodziła do tzw. łaźni, stanowiącej przedsięwzięcie komory gazowej. Tam się skazańcy rozbierali i nagich gnano dalej przez mały korytarz do wielkiej komnaty o niskim suficie, przypominającej raczej piwnicę. Tu stłaczano więźniów do takiego stopnia, że stał jeden obok drugiego, ramię przy ramieniu, pierś w pierś, ściśnięci, by się nie mogli ruszyć. Po czym zamykano żelazne drzwi, oblepiano je gliną i przez dwa otwory w suficie, skonstruowane ze specjalnymi zakrętkami, wsypywano do wnętrza kryształki z odpowiednich puszek.

Kryształki przy zetknięciu z powietrzem i pod wpływem ciepła z natłoczonych ludzkich ciał zamieniały się w gaz dokonując dzieła zniszczenia.

Gaz ten, jak twierdzą naoczni świadkowie, działał rozkładowo na mięśnie ludzkie, porażając przede wszystkim płuca.

Po otwarciu żelaznej bramy potworny był widok pokurczonych nagich trupów w postawie stojącej, z oczami na wierzchu orbit i z boleśnie otwartymi w śmiertelnym skurczu ustami.

W drugiej, bardziej nowocześnie urządzonej kamerze gazowej gaz puszczano przez otwory w ścianie z balonów przywiezionych na samochodach. Początkowo, za każdym razem, gaz przywożono z Warszawy, następnie jednak w lipcu 1943 r. sprowadzono do Lublina, do składnicy obozowej dziesiątki tysięcy litrów, tworząc większe zapasy, do celów znanych tylko władzom obozowym.

Dla skazanych na „gazkamerę“ ratunku nie było.

Gdy pewnego razu z transportu trzystu Żydów, jedna, w przedśionku kamery gazowej, chcąc uciec schowała się pod zwaly zrzuconej odzieży, wywleczono ją i capo oddał winną „niepoddania się rozkazom“ w ręce SS-mana.

Ten najpierw gnał ją okładając pejcem (sam jechał na rowerze) na strzelnicę — i tam ją zabił. Chwalił się potem przed swymi kolegami, opowiadając im szczegóły. Nieszczęsna ofiara, chcąc uniknąć śmierci, rzuciła mu się do nóg — nie dawała strzelić — błagała o litość.

I musiał ranną przycisnąć do ziemi nogą i tak leżącą — kobietę — dobić ostatnim strzałem.

Opowiadał to wszystko w takiej formie i z taką dumą, jak gdyby dokonywał jakiegoś wielkiego czynu. (Świadek Boniecki).

Polacy przebywali tę krótką drogę ku wieczności, jak opisałem, z podniesionym czołem,

a wiedząc, że nie ma ratunku, ginęli śpiewając pieśń tryumfu.

Inni... różnie bywało.

Dalsza wędrówka trupów szła częściowo, w małym jednak stopniu, przez krematorium — gros zaś wywożono do krępieckiego lasu lub do „cuchnących dolów“ w obrębie Majdanka.

Po Katyniu, by zatrzeć ślady potwornej zbrodni mordowania jeńców, poczęto ich ciała palić na specjalnych żelaznych rusztach, tysiącami na raz, w krępieckim lesie, położonym na dwunastym kilometrze od Lublina przy szosie idącej w kierunku Zamościa.

Po spaleniu tych widomych dowodów zbrodni poczęto co dzień wozić ciężarowymi autami trupy zagazowanych i zmarłych własną śmiercią z obozu do Krępca. Dla przykładu podaję, że w dniach 13 i 14 lipca 1943 r. odeszło tam sto — po brzegi wypełnionych zwłokami ludzkimi — ciężarowych aut z przyczepkami.

Opis takiego stosu-ogniska podaję na podstawie relacji dwóch naocznych świadków — zwolnionych więźniów, z których jeden zmuszony był sam ładować trupy.

Należy przypuszczać, że zwolnienie go po wykonaniu tak „dyskredytującej“ pracy było rzeczą przypadku, jakiegoś grubego „niedopatrzania“, bo trudno przypuścić, by zacierając

tak skwapliwie ślady swych czynów, chcieli Niemcy mieć przy życiu naocznego świadka.

U spodu w tzw. „cuchnącym dole“ było urządzone palenisko, pokryte rusztem z żelaznych kolejowych szyn. Na to szła warstwa drzewa, po czym układano trupy, oblewano ropą i czekano na nowy „transport“, za czym po ułożeniu nowych ciał, gdy się zebrała większa ilość, oblewano cały stos raz jeszcze ropą i podpalano.

W lesie krępieckim były trzy takie ogniska.

O rozmiarach stosu może świadczyć fakt, że przygotowanie jednego z nich trwało przeciętnie ponad cztery dni. Od cuchnącego zapachu rozkładających się ciał więźniowie na Majdanku przewali je „cuchnącymi dołami“. Nie mniej długo stos taki musiał płonąć.

Chcąc się przekonać, w dniu 19 lipca 1943 roku pojechałem pod las. Już z odległości kilku kilometrów było widać ponad wierzchołkami wysokopiennego lasu unoszące się kłęby gęstego dymu.

Przewalały się jego wydęte zwały, miejscami o żółtym zabarwieniu, i kładły się ciężkimi smugami u podnóża drzew — pelzły po okolicznych polach, siejąc trupią spalenizną dookoła zgrozę.

W nocy, na odmianę, widniejące płomienie ognia buchały ponad drzewa — wznosiły się



Praca nad wykończeniem obozu śmierci wre.



Berlińskie towarzystwo twórców obozu śmierci.



Rzędy słupów i drutów kolczastych.

ku niebu, oświetlając mroczne miejsce potwornej kąpieli, stanowiącej kres „ostatniej wędrówki“.

Widok stosu z bliska przechodził wszelkie ludzkie pojęcie — jak opowiadał mi naoczny świadek.

Płonęły na raz trzy kolosalnych rozmiarów stosy. Trzy słupy ognia ziały żarem. Powietrze było tak przesycone zaduchami pożeranych ogniem trupów, że pracujący w tym „piekle“ więźniowie mdleli.

Ułożone na rusztowaniach zwłoki pod wpływem gorąca zaczynały się ruszać na skutek skurczu mięśni. Wykręcały się tułowia, kurczyły nogi, unosiły się ku górze raz po raz ramiona nagie, wychudłe, niczym piszczelki sterując ku niebu.

Broniły się niejako „od kąsań zawsze żrącego płomienia“, a może były niemym protestem, wzywającym kary.

Widok ten tracił chwilami wszelkie pozory rzeczywistości, zamieniał się w jakiś straszny sen, w jakiś potworny majak obłąkanego umysłu.

I pomyśleć, że taki koszmar stworzyli ludzie ludziom — w dwudziestym wieku.

Te trzy nienasycone, upiorne pochodnie płonęły przez szereg miesięcy, aż w końcu lipca 1943 roku zlikwidowano je, przenosząc na Majdanek, gdzie obok krematorium zaczęły

działać pożerając nowe, coraz to bardziej liczne ofiary.

Spieszyło się oprawcom, więc w zwyrodniałczym obłąkaniu doszli do tego, że na palące się i „ruchome“ stosy wpędzali żywych ludzi wprost z nadchodzących transportów. (Świadek Boniecki).

Na ten widok krew stygła w żyłach...

Z popiołu zbieranego z tych palenisk i krematoryjnych pieców usypano na Majdanku wał wielkości jednego ogromnego baraku na tysiąc ludzi. Jeżeli się weźmie pod uwagę, że ze spalonego ciała ludzkiego pozostaje około $\frac{3}{4}$ kg popiołu, to można sobie wyobrazić, ilu ludzi musiało spłonąć.

. Nie dość na tym.

Chcąc pohańbić godność ludzką do ostatnich granic, Niemcy, by zatrzeć i te resztki śladów zbrodni, kazali więźniom przesypywać popiół na przemian z guanem zwierzęcym i guanem ludzkim, a potem wywozić na pole jako nawóz.

Chociaż krew wsiąkła w rolę, popiół częściowo wiatr rozwał, a z dymem uleciały resztki cielesnej powłoki ludzkiej — świadectwo popełnionej zbrodni jednakże pozostało — ku wiecznej hańbie niemieckiego narodu.

* * *

Gdy patrzy się obecnie na całość potwornego dzieła, na całość dokonanej przez Niemców na Majdanku zbrodni, udowodnionej hekatombą przelanej krwi niewinnych ofiar, dokumentami na piśmie i tysięczną rzeszą świadków: robotników, księży, profesorów, artystów, inżynierów, chłopów — dorosłych, starców, dzieci — powstaje nieodparta myśl, że to wszystko oprawcom nie może ujść płazem.

Sprawiedliwości musi stać się zadość. Przede wszystkim dlatego, by uchronić na przyszłość życie społeczeństw i całą ludzkość przed powtórzeniem się podobnej plagi. A następnie, jeśli nawet przyjmiemy, że kara w swej istocie poza wszystkimi ubocznymi celami jest czystą odpłatą i niczym więcej — to krzyk pomordowanych ponad milion ofiar (na Majdanku) wymaga tym surowszego jej zastosowania.

Powaga roztrząsanej sprawy i majestat męczeństwa przemawia za tym, by nie była ona bezmyślnym odruchem, nieopanowanym „gniewem ludu“ — bo w takiej postaci będzie tylko przejawem chybiającym celu.

Z całym spokojem niech na szali sprawiedliwości odważona będzie wina, a patrząc na niehumanitarne skutki zbrodni, na drugiej szali kara niech obejmie w swej współmiernej odpłacie nie tylko bezpośrednich sprawców zbrodni — lecz cały naród niemiecki, zarówno dziecko w kołysce, jak i nad grobem stojącego starca.

Kara i pokuta musi być zbiorowa, jak zbiorową była męczarnia i bestialski mord.

Inną jest sprawa naszego przebaczenia, jako zagadnienie postawione w świetle wyższych norm moralnych i boskiego prawa.

Zadajmy sobie pytanie: Czy my Polacy możemy oprawcom niemieckim przebaczyć?

Pytanie trudne, może nawet zbędne...

Bo czyż jest serce ludzkie, czy jest taki umysł, który byłby w stanie przebaczyć mord niewinnych dzieci? Czy można przebaczyć stosowany głód, mękę i katusze, znęcanie się nad bezbronnymi, gazowanie i palenie żywcem ludzi? Czy można przebaczyć najbardziej nikczemne zbezczeszczenie istoty ludzkiej, którą w Drugiej Osobie w szczególny sposób wyróżnił Bóg?

Czy można przebaczyć — oto zagadnienie, które rozstrzygnąć nie popełniwszy błędu jest rzeczą trudną...!

Odrzucając wszelkie frazesy, fałsz i obłudę, wydaje mi się jedynie słusznym stwierdzić, że ta sprawa nie należy do nas, żyjących.

Ostatnie słowo należy do tych, co odeszli... do męczenników...

A zatem?

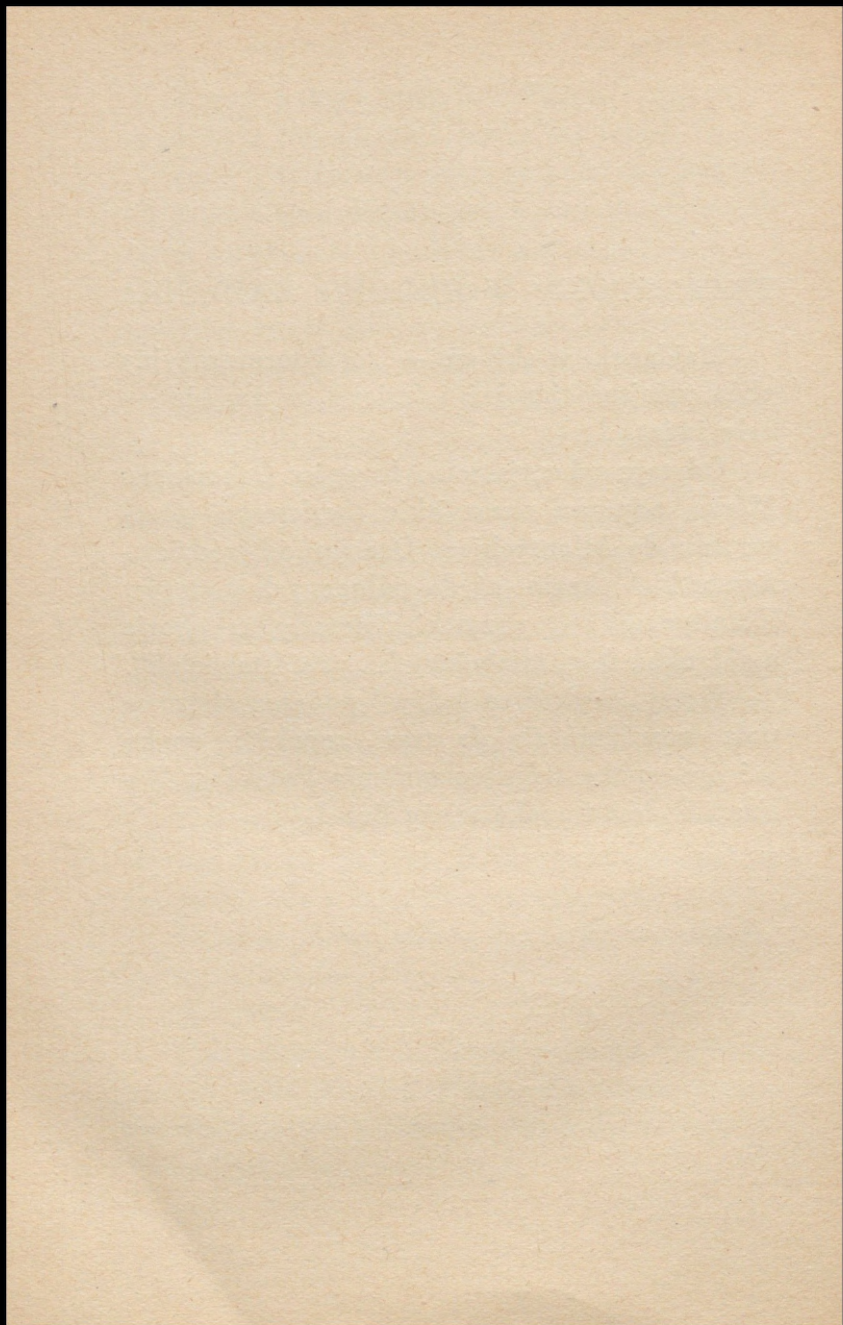
Fiat voluntas Tua, Deus! — Niech się stanie według woli Twojej, Panie, a z prochów męczenników niech powstanie nowe dzieło przebudowy świata...

TRZY „EPOKI“ W HISTORII MAJDANKA

Majdanek w skrócie — to koncentracyjny obóz, miejsce cierpień i śmierci, w zarysie — cały świat.

Od tajg syberyjskich i brzegów Ochockiego Morza poprzez eurazyjskie bezkresne przestrzenie do Atlantyckiego Oceanu; od śródziemnomorskich krain aż do północnych brzegów Skandynawii — wszystkie narody w obozie majdankowskim miały swych „przedstawicieli“.

W tej „wędrownicy ludów“ poprzez obozowe pola rozróżnić się da trzy „epoki“: epokę jeńców, epokę trójporozumienia Polaków, Rosjan i Żydów i epokę wieży Babel.



Rozdział VIII

„EPOKA“ JEŃCÓW

W połowie 1941 roku lotem błyskawicy rozszedła się w Lublinie trwożliwa wieść:

„Niemcy na polach Majdanka budują obóz.“
„Na pewno dla nas znowu coś nowego wymyślił zwyrodnialec, obersturmführer Globocnik - generalny kat Lubelszczyzny.“

W tym okresie Majdanek nosił oficjalną nazwę — „Kriegsgefangenenlager Waffen SS in Lublin“.

Ze wschodniego teatru działań wojennych zaczęto niemal zaraz po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej. zwozić licznych jeńców. Transport za transportem wygłodniałych jeńców (przez cały czas drogi nie karmiono ich), składający się z różnych narodowości — byli między nimi jeńcy polscy i osoby cywilne narodowości polskiej, pozostałe w tragicznych wypadkach 1939 roku na terenie Związku Sowieckiego — wpędzano za druty.

W październiku (1941 r.) było ich około 5 000, w listopadzie przy życiu pozostało tylko

1 500, a w lutym 1942 zaledwie mała garstka pięćdziesięciu pięciu wygłodniałych przedstawicieli walczącej armii nieprzyjacielskiej uzasadniało oficjalną nazwę obozu: Kriegsgefangenenlager.

Wszyscy oni wraz z chłopami polskimi, osadzonymi niemal równocześnie z żołnierzami w obozie jeńców za niedostarczenie żywnościowego kontyngentu, zginęli w krępieckim lesie.

Była to niemiecka metoda walki z epidemią tyfusu plamistego, który wybuchł w obozie.

„Zmarło — pisze dr Jan Nowak, jeden z więźniów na Majdanku, w liście z dn. 5. II. 1944 r. — w pierwszym okresie na Majdanku wielu chłopów polskich na tyfus plamisty, po prostu w gorączce brano ich, tak jak i jeńców rosyjskich, do lasu i rozstrzeliwano.

Była to wypróbowana i jakże uproszczona ówczesna metoda walki z epidemią — chorobą, której się Niemcy panicznie bali.

Gdy ja przyjechałem do obozu w lutym 1942 roku, chłopów polskich było jeszcze pięciuset, a z rosyjskich jeńców pozostało zaledwie pięćdziesięciu pięciu ludzi“.

Polski Czerwony Krzyż, wychodząc z założenia, że jednym z głównych jego zadań, stosownie do § 1 p. 1 lit. a statutu P. C. K. oraz art. 77 i 78 Konwencji Genewskiej z dnia 27. VII. 1929 (o traktowaniu jeńców wojen-

nych) jest opieka nad jeńcami wojennymi bez różnicy przynależności państwowej, poczynił wszelkie starania, zmierzające do niesienia pomocy jeńcom na Majdanku.

Niestety zabiegi te rozbiły się o nieprawdopodobny, wprost barbarzyński opór dowództwa obozu, mieszczącego się wówczas w Lublinie przy ul. Ogrodowej nr. 12.

Wbrew wszelkim przepisom międzynarodowego prawa i wyraźnemu zarządzeniu niemieckich władz wojskowych z dnia 6. II. 1942 r. (Nr. dz. Ia 1364/42; dotyczy zwolnienia jeńców sowieckich polskiej narodowości), SS-owska komenda obozowa oddziału SS do jeńców nas nie dopuściła.

Odmówiono kategorycznie przedstawicielom P. C. K. prawa roztoczenia opieki nad jeńcami osadzonymi na Majdanku i zwolnienia jeńców narodowości polskiej.

Twierdzono z całym cynizmem, że jeńcom nie brakuje niczego i że Polaków wśród jeńców na Majdanku nie ma — pomimo wręcz przeciwnych zapewnień z naszej strony, opartych na niezbitej pewności, iż w obozie przebywa co najmniej kilkuset jeńców narodowości polskiej.

Przedstawiciele P. C. K. i okoliczni mieszkańcy miasta Lublina rozmawiali z Polakami-jeńcami znajdującymi się za obozowymi drutami. Wszyscy jeńcy bez różnicy narodowości,

wiedząc jaki koniec ich czeka, błagali o ratunek.

Pomimo odmowy nie ustawialiśmy w staraniach, chcąc dotrzeć do jeńców za wszelką cenę. Niestety uzyskaliśmy tylko tyle, że w dowód „łaski“ zezwolono Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi zawieźć kilka razy chleb na Majdank i na tym się skończyła „ludzka“, prawem międzynarodowym zagwarantowana opieka nad jeńcami, do której zobowiązali się przez swych przedstawicieli w licznych konwencjach władcy niemieckiego narodu.

Tak postępowali Niemcy zarówno z Polakami, członkami pokonanego państwa polskiego, jak i z żołnierzami Związku Sowieckiego.

Po prostu wierni swym „humanitarnym“ metodom działania wymordowali wszystkich, a następnie, aby zatrzeć ślady potwornej zbrodni, w lecie 1943 r. wydobywali ich zniekształcone ciała ze wspólnych mogił i palili na opisanych już stosach w krępieckim lesie.

Mordowali chorych — żołnierzy — jeńców... Jak gdyby na urągowisko wśród wielu podpisów, jakie widnieją pod konwencją genewską z dnia 27. VII. 1929 roku, na pierwszym miejscu figuruje podpis Jego Ekscelencji Edmunda Rohmberga, doktora prawa, ministra w stanie rozporządzalności, pełnomocnika Prezydenta Rzeszy Niemieckiej.

Wysokie układające się strony „w... równym stopniu ożywione pragnieniem *zmniejszenia, o ile tylko od nich zależy*, cierpień nieodłącznych od wojny, i chcąc w tym celu *udoskonalić i uzupełnić* zawarte w Genewie w dniu 23 sierpnia 1864 r. i 6 lipca 1906 r. postanowienia o pomocy jeńcom rannym i chorym żołnierzom armii czynnych...” jak opiewa wstęp konwencji genewskiej „...zgodzili się na to, co następuje:

O rannych i chorych.

Art. 1. Wojskowe i inne osoby, przydzielone do armii oficjalnie, o ile zostaną ranne lub będą chore, winny być uszanowane i znajdować opiekę we wszelkich okolicznościach; winny być one traktowane humanitarnie i pielęgnowane bez różnicy narodowości przez tę ze stron walczących, w której mocy będą.

Art. 2. Ranni i chorzy armii, zagarnięci przez drugą stronę walczącą, stają się jeńcami wojennymi z zastrzeżeniem praw do opieki, jaka na mocy poprzedniego artykułu ma im być udzielana, i podlegają ogólnym przepisom prawa międzynarodowego, dotyczącym jeńców wojennych.

Strony walczące będą miały możliwość, dla dobra jeńców rannych i chorych, ułożyć poza istniejącymi zobowiązaniami postanowienia, które uznają za wskazane.“

Zwyrodnialcy hitlerowskich Niemiec, jak nadarzająca się rzeczywistość wojenna wyka-

zała, byli istotnie „ożywieni pragnieniem zmniejszenia cierpień“ i dlatego też skracając przez nich samych wywołane męczarnie w błyskawicznym tempie likwidowali rozstrzeliwując tych, do pieczy nad którymi zobowiązali się publicznie, w uroczystej formie międzynarodowego przyrzeczenia.

Można być więcej niż pewnym, że strona niemiecka nie uczyniła i nie uczyni zadość przepisom zawartym w art. 4 wspomnianej konwencji, mocą których:

„Walczący zakomunikują sobie wzajemnie w jak najkrótszym czasie nazwiska rannych, chorych i zabitych zebranych lub odszukanych, jak również wszystkie dane, służące dla ich rozpoznania.“

„Sporządzają oni i prześlą sobie akty zgonu“.

„Czuwać będą nadto, aby zabici byli pochowani ze czcią oraz tak, aby ich groby były ochraniać i aby mogły być zawsze odszukane.“

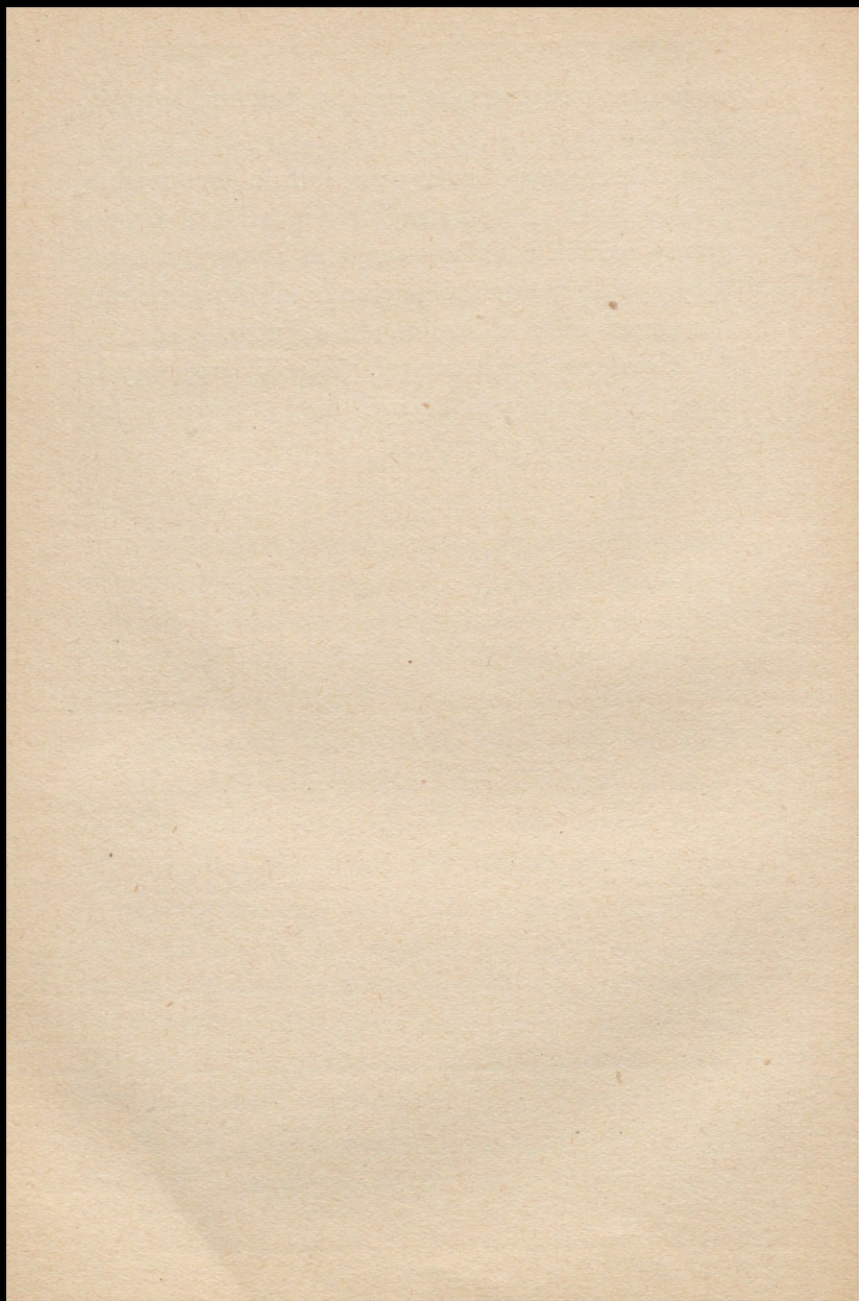
Tych, co mogą mieć najmniejsze wątpliwości co do braku czci mającej być okazaną przez stronę niemiecką konającym nieprzyjacielskim żołnierzom, tych pozwalam sobie odesłać do jednego z poprzednich rozdziałów pod tytułem: „Ostatnia wędrówka“.

Należy przypuszczać, że jedynie „trąba archaniola“ powołując wszystkich, obudzi z wiecz-

nego snu rozproszone prochy pomordowanych jeńców.

„Niemieccy obrońcy zachodnio-europejskiej kultury“ tak wiele z krzykliwym hałasem propagandy mówili o sobie — nędzni kłamcy, nie mający cywilnej odwagi przyznać się do popełnienia przez nich nikczemnych czynów.

Mordercy bezbronnych jeńców wojennych, chorych i rannych, budzić mogą tylko jedno uczucie — p o g a r d ę.



Rozdział IX

„EPOKA“ TRÓJPOROZUMIENIA...: POLAKÓW, ROSJAN I ŻYDÓW

Okres pierwszy w historii Majdanka ze względu na charakter i rozmiary dokonanej zbrodni był potworny. Stanowił on jednak nikłe preludium do koszmarnego w swym sadyzmie dzieła, które po nim nastąpiło.

Zbiorowe i indywidualne mordy dały niemieckim oprawcom obfity plon — były makabrycznym żniwem śmierci dla ich zwyrodniałych instynktów.

Dwa słupy graniczne znaczą ten okres.

Jeden to kwiecień 1942 roku, a drugi, pamiętny dla mieszkańców miasta Lublina listopad następnego 1943 roku.

„28. IV. przyszedł w roku 1942 pierwszy transport Żydów słowackich, za którym posyłały się dalsze, tak, że w połowie maja było już około dziewięciu tysięcy słowackich Żydów.

Gwar i życie panowały na Majdanku. Gdy w maju uciekł jeden ze słowackich Żydów i szczęśliwie dotarł do Słowacji, tam nie wie-

rzono w to, co opowiadał o Majdanku. Mówił nam to Żyd, który w czerwcu, dalszym transportem ze Słowacji tutaj przyjechał.

Majdanek stał się wówczas obozem czysto żydowskim, my (Polacy), około pięćdziesięciu, a później stu trzydziestu nie-Żydów, stanowiliśmy grupę funkcjonariuszów uprzywilejowanych prawem karnym lagru. Żydzi byli poza wszelkim prawem.

Piszę ten krótki zarys wstępny, by uzasadnić brzmienie pieśni, którą jeden z Żydów skomponował. Ta żydowska pieśń rozbrzmiewała na Majdanku kilka miesięcy, warto ją zachować dla dziejów majdankowskiego obozu-kaźni; znalazłem ją w starych szpargałach.“

Wyjątek z listu dra Nowaka

Czyniąc zadość życzeniu autora przytaczam pieśń w całości.

Judenlied des K. G. L. — Lublin

1. Aus ganz Europa kommen
Wir Juden nach Lublin,
Viel Arbeit gibt's zu leisten
Und das ist der Beginn.
Um diese Pflicht zu meistern,
Vergiss Vergangenheit,
Denn in der Pflichterfassung
Siegt die Gemeinsamkeit.

Refrain: Drum rüstig an die Arbeit,
Ein jeder halte mit.



Fundament pod jeszcze jeden barak.



Łaźnia i komory gazowe.



..równe szeregi drewnianych baraków....



Baraki gotowe do przyjęcia nowych tysięcy transportów.

Gemeinsam wollen wir schaffen
Im gleichen Arbeitsschritt.

2. Nicht alle wollen begreifen
Wozu in Reih'n wir stehen.
Dann müssen wir sie zwingen
Das alles zu verstehen.
Die neue Zeit soll alle,
Uns alle stets belehren,
Das wir nunmehr der Arbeit,
Der Arbeit angehören.

Refrain: Drum rüstig...

3. Von wo wir uns gefunden,
Aus Prag, aus Pest, aus Wien,
Zur Arbeit sind wir Juden
Aus Pressburg, Brünn, Berlin.
Vom Morgen bis zum Abend
Erfüll'n wir unsere Pflicht,
Das andere für uns schaffen,
Das gibt es einfach nicht.

Refrain: Drum rüstig...

4. Was wir gewesen waren,
Das ist für uns vorbei.
Ob Kaufmann oder Doktor,
Das ist uns einerlei.
Börsianer, Dichter, Schuster,
Beamter ob Jurist,
Hier gilt nur der als Muster,
Der Erster bei der Arbeit ist.

Refrain: Drum rüstig...

Ileż smutku zawiera każde słowo, ile bez nadziei tkwi w każdym wierszu i każdej strofice tej pieśni skazańców żydowskich „...aus Prag, aus Pest, aus Wien...”

Autor tego w swoim rodzaju arcydzieła jakżeż głęboko sięgnął w zrozumienie „nowych czasów” — w kilku słowach obrazując tragizm dziejowy swego narodu.

Polski Czerwony Krzyż w Lublinie na skutek surowego zakazu władz niemieckich nie miał z Żydami osadzonymi na Majdanku żadnego kontaktu. Pomimo oficjalnego wystąpienia nie zezwolono P. C. K. na dostarczanie chorym Żydom nawet leków.

Wyjątek stanowił obóz pracy przy ul. Lipowej, gdzie przebywali jeńcy żydowscy pochodzący z armii polskiej, i obóz cywilów żydowskich: kobiet, mężczyzn, starców i dzieci, mieszkający się na dawnym lotnisku Lubelskiej Wytwórni Samolotów.

Skromna ilość leków tam wysyłanych przez P. C. K. stanowiła jedyny, jakże znikomy kontakt z ginącym w naszych oczach światem żydowskim.

Ten przymusowy, przez hitlerowskich Niemców narzucony stan rzeczy uniemożliwił nam zebranie materiałów, które by pozwoliły opracować historię kaźni żydowskiej kilkuset tysięcy nieszczęśliwców na polach majdankowskiego

obożu, z tych też względów niniejsza praca nie zawiera oddzielnego rozdziału o Żydach.

Nie należy jednak wątpić, że przyszli historycy-szperacze dziejów ludzkości, których czujnemu oku i przenikliwości badawczej nie nie ujdzie — uwiecznią tę bezprzykładną chyba w dziejach świata zbrodnię, ten zbiorowy mord, w duszy zatwardziałego nawet człowieka mogący wzbudzić jedynie głębokie współczucie dla tragicznych przeżyć wybranego narodu.

„Poza wyżej przytoczoną „pieśnią pracy“ była jeszcze druga pieśń ginących Żydów, ułożona przez polskiego Żyda, pod tytułem: „O joj Majdanek, unsere Leben und Tod...“ Niestety tekst zaginął — pochodziła z lutego 1943 roku, gdy setki Żydów dziennie szły do krematorium na żywo...“

Wyjątek z listu dra Jana Nowaka.

To niepodzielnie żydowskie królestwo śmierci nie trwało jednak długo, „już bowiem pod koniec 1942 roku zaczęły napływać transporty Polaków, którzy z kolei wynieśli największy odsetek“ naturalnych i gwałtownych zgonów majdankowskiej kaźni. „Rozpoczął się okres drugi w dziejach Majdanka, okres — polsko-żydowsko-rosyjski“.

Wyjeżdżając z Oświęcimia do Lublina — pisze dalej dr Nowak — doznawałem ulgi, że

pracując w obozie żydowskim nie będę miał stale przed oczyma ginących rodaków; to niestety trwało bardzo krótko. Jesienią 1942 roku oraz wiosną i latem następnego liczne i coraz liczniejsze transporty polskich skazańców wchodziły i wychodziły z obrębu obozowych drutów. Największe nasilenie trwało poczynając od stycznia 1943 do lipca, w tym miesiącu osiagając swój kulminacyjny punkt.

Opis martyrologii polskiej podałem w innych rozdziałach niniejszej pracy, pragnąc w miarę możliwości odtworzyć koszmar „piekła XX w.“, które wraz z przedstawicielami innych narodów dane było nam Polakom przeżyć i oglądać.

Z miast polskich Warszawa, Lwów, Radom itd., w konwulsyjnych drgawkach pacyfikacyjnego mordu pogrążona cała Lubelszczyzna przypuściły w tym okresie do obozu majdankowskiego „szturm“.

Szeregi, szeregi, bez końca, niczym nieprzerwana wstęga, miarowym krokiem wynędzniałych skazańców szły w czeluście tej hitlerowsko-szatańskiej jaskini po to, aby niebawem szlakiem umarłych odejść w zaświaty lub w licznych transportach jechać do „raju“ trzeciej Rzeszy.

Pod datą 1 lipca tegoż roku w notatkach mojego pamiętnika, telegraficznym stylem zapisane, cytam krótkie słowa:

„Wywieziono dziś z Majdanka dwa tysiące Polaków — przybyły natomiast w dniach 2 i 3 lipca nowe transporty, po kilkadziesiąt wagonów każdy. Od wtorku ubiegłego tygodnia wiozą bez przerwy. W jednym tylko dniu było cztery transporty, przeważnie dzieci, kobiet i starców“.

Uchwyciwszy jeden moment zdołaliśmy w przybliżeniu ustalić, iż na Majdanku znajduje się samych tylko wygnańców z południowej Lubelszczyzny około 16 000 — wówczas, gdy w tymże czasie w obozie przejściowym przy ul. Krochmalnej za drutami przebywało dwanaście tysięcy.

Osiemdziesiąt tysięcy polskiego ludu ruszono z pieleszy domowych, lokując w czterech „lagrach“ ziemi lubelskiej: na Majdanku, w Zamościu, Zwierzyńcu i Budzynie.

Gros zginęło na miejscu, część zwolniono — takich szczęśliwców było zaledwie kilka tysięcy — resztę wywieziono w nieznane...

Dokąd? Przeważnie do obozów koncentracyjnych w Rzeszy. Stamtąd od czasu do czasu, jak z Buchenwaldu, Ravensbrücku i Oświęcimia, dochodziły tylko głuche wieści.

Obfita natomiast była korespondencja od tych, co poszli do przymusowej pracy, powiększając wydatnie milionowe rzesze obcych „nie wolników“ zmuszonych do czynnego współ-

udziału przy budowaniu przez hitlerowców, pod ich knutem, nowego porządku rzeczy.

Z tymi czerwcowymi i lipcowymi wielkimi falami przypływu i odpływu mas ludzkich można jedynie porównać styczeń i luty tegoż roku, kiedy to z Warszawy i Lwowa po „udanych“ łapankach ulicznych, po wyciąganiu z domów i wywożeniu z więzień przybyło na Majdanek kilkadziesiąt tysięcy Polaków.

Po kilku tygodniach ci, co pozostali z tych transportów, przyodziani w więzienne pasiaki, stanowili już zatęp stałych mieszkańców obozu.

Z tego właśnie czasu pochodzi wiersz z obozu, przysłany przez śp. Janinę Modrzewską, jeszcze jeden wymowny dokument rozumu i serca.

Wyniosła postawa,
Choć brzydki ich strój,
Na nogach niezdarne chodaki.
To bracia i siostry,
To mąż może twój,
Pasiaki, pasiaki, pasiaki.

Od świata koleczasty
Oddziela nas drut,
Strażnice i wachy i bramy,
Lecz wkrótce wolności
Dopelni się cud.
Tej chwili z otuchą czekamy.

Dziś wielkiej nauki
Nastąpił nam czas —
Że dola dla wszystkich jednaka,
Niech żadne niechęci
Nie dzielą tu nas:
My wszystkie więźniarki w pasiakach...

W tych słowach obok smutku czuje się tętno jakiejś niepojętej siły, owianej głęboką wiarą w cud, na który „z otuchą czekamy...“ Nie masz w nich ani żdźbła rozpacz. W solidarności, źródło swoje biorącej stąd, „że dola dla wszystkich jednaka“, tkwiła moc polskich więźniów, dająca im siłę przetrwania chwil „wielkiej nauki...“ Nauki, co dźwignie i zespoli nie tylko nas, dla których walka i cierpienie są od kolebki dziecięcej chlebem powszednim — lecz i cały świat skolatany płataniną fałszywych dróg, po których w dziwnym zaślepieniu dotychczas kroczył.

Ponad wszystko jednak w tym wierszu dominuje „wyniosła postawa“ — choć nędzny więzienny ich strój...

Nieugięta „wyniosłość“ pokoleń, które nie pogodziły się nigdy z faktem i nie uznały w historycznym biegu wypadków narzuconego im przez zaborców jarzma niewoli — mogła jedynie wydać tych bohaterów-męczenników, na fidiaszową miarę rylcem nieśmiertelnego ducha narodu rzeźbionych.

Nieraz w nadmiarze nagromadzona ilość
przeżyć szarego więziennego dnia szukała dróg
ujścia w inną ujętych formę. Wówczas, prze-
ważnie w szeregach kobiecych, ukradkiem przy
pracy nucono majdankowską pieśń na smętną
nutę „Góralu, czy ci nie żal...”

Pasiaczko, czy ci nie żal,
Porzucić miasto rodzone,
Odjeżdżać w nieznaną dal
Bydlęcym ciemnym wagonem.

Refren: Pasiaczko, czy ci nie żal
Odjeżdżać w nieznaną dal.

Pasiaczko, czy ci nie żal
Porzucać swą miłą celę,
Gestapo i udziwienie,
Wałówki, grypsy, apele.

Refren: Pasiaczko, czy ci nie żal...

Pasiaczko, jak się tu czujesz,
Czy barak dobrze szorujesz,
Czy wszy starannie wybierasz,
Na tyfus czy nie umierasz?

Refren: Pasiaczko, czy ci nie żal...

Pasiaczko, czy ci nie żal
Błotnistry rzucać Majdanek,
„Kibelek” w gwiazdzistą noc
I apel w zimny poranek.

Refren: Pasiaczko, czy ci nie żal...

(Janina Modrzewska)

W piosence tej przebija przede wszystkim to, czego każdy z więźniów najwięcej się obawiał — zmiany ustalonych już warunków prymitywnego bytowania, na odjazd w „nieznaną dal“, o której nigdy nikt nie wiedział, dokąd może go on zaprowadzić.

Okres drugi był najobfitszym miotem śmierci na całej przestrzeni Majdanka.

Najpierw zlikwidowano w ciągu paru dni getto żydowskie, liczące, biorąc cyfry przedwojenne, ponad czterdzieści tysięcy głów. Padły następnie w głodowej męce dziesiątki tysięcy chłopów polskich.

Z matematyczną ścisłością dawały baraki i pola swój codzienny „kontyngent“ i wreszcie przyszedł pamiętny dzień listopadowy 1943 r.

W poniedziałek 1 listopada wypędzono z obozu tysiąc sześćset więźniów i kazano kopać po zewnętrznej stronie drutów, naprzeciw piątego i szóstego pola, ogromne rowy — dwa metry w szerokość i dwa i pół w głąb.

Kopano dwa dni.

Roboty te wywołały u załęcznionych i tak już majdankowskich więźniów zdenerwowanie, graniczące z paniką.

Wszyscy z zapartym oddechem czekali.

Co będzie z nami? — zewsząd padały pytania.

I wreszcie przyszedł dzień 3 listopada — środa.

Wjechało do obozu sto kilkadziesiąt samochodów pełnych SS-mannów — z Zamościa, Chełma, Dębicy, Warszawy — i zaczęło się piekło.

Przeniesiono uprzednio szpital wraz z chorymi i wszystkimi więźniami z piątego pola na czwarte, Żydów zaś spędzano partiami ze wszystkich pól na opróżnione piąte pole.

Po stu więźniów żydowskich wprowadzano do ostatniego baraku, który stał z brzegu, i tam kazano im w szybkim tempie rozbierać się — po czym pędzono biegiem, grupę za grupą, w niekończącym się pochodzie nagich ciał — przez szpaler ustawionych w dwa szeregi SS-manów w kierunku wykopanych dołów.

Druty kolczaste otaczające obóz w tym miejscu zawczasu przecięto.

Ofiarom kazano skakać do wykopanych rowów, kłaść się warstwami jedna na drugą, po czym zabijano masowo z maszynowej broni.

Dla zagłuszenia strzałów i rozpaczliwych, opętańczych krzyków, w ciągu całego dnia bez przerwy, przez megafony, umieszczone na dwóch autach sprowadzonych specjalnie z „Abteilung Propaganda“ z dystryktu Lublin — na dawano skoczne melodie.

Te wesole dźwięki pogłębiały jeszcze makabryczność chwili.

W dniu tym „wykończono“ na Majdanku dwadzieścia jeden tysięcy Żydów — kobiet i mężczyzn. Z tego na jeńców z armii polskiej przypadło okragło tysięcy.

I znowu w barbarzyński sposób zdeptano tradycją i normami międzynarodowego prawa zagwarantowaną nietykalność jeńców wojennych.

Przy sposobności w identyczny sposób „zlikwidowano“ — ot tak, na dokładkę — kilkudziesięciu chorych Polaków. Niezależnie od tego wielu Polaków padło w powstałej panice i zamieszaniu przy wyłapywaniu chowających się Żydów.

Przy życiu z wielotysięcznej masy żydowskiej pozostawiono zaledwie kobiet trzysta i jedną i trzystu jedenastu mężczyzn.)

Resztki niedobitków „kończono“ jeszcze przy sztucznym świetle reflektorów.

Aby wykonawcy bestialskiego mordu mogli nerwowo wytrzymać, co piętnaście minut luzującym się oddziałom siepaczy robiono specjalne zastrzyki.

*) Nie widząc ratunku, wielu spośród Żydów podcinało sobie żyły, w samobójstwie szukając „własnej“ śmierci.

Działy się wówczas na Majdanku sceny krew mrożące w żyłach.

Jeden z SS-manów, biorących udział w traceniu tych Żydów, w stanie pijanym skarżył się, że stracił stu Żydów i dostał tylko dziesięć marek. „Pracowałem za czterech katów, a dostałem tylko po dziesięć fenigów od głowy“. (Świądek Żmigród 2. III. 1944).

Po wykonaniu haniebnego dzieła egzekucyjne oddziały w szyku paradnym udały się pod gmach dystryktu, gdzie przy dźwiękach orkiestry, po złożonym raporcie, pan gubernator raczył „odważnym“ tchórzom wyrazić najwyższe słowa partyjnego uznania.

Ogółem w ciągu tych kilku dni listopadowych na terenie samej Lubelszczyzny wymordowano następujące ilości Żydów: na Majdanku 21 000, w Trawnikach 10 000 czterystu spalono żywcem w Puławach i 15 000 wystrzelano w Poniatowej pod Opolem.

Za uciekającymi Żydami z obozu w Poniatowej urządzono olbrzymich rozmiarów obławę, w której udział wzięło kilka pułków SS-ów, wszystkich złapanych „uciekiniarów“ rozstrzelowano.

Aby w miarę możliwości, przynajmniej chociaż z grubsza, nie opuścić nic, wróćmy raz jeszcze do dziwnych nieraz tajemnic Majdanka.

Niemало głowiliśmy się nad tym, w jakim celu z potwornej rzezi żydowskiej w dn. 3 listopada pozostawiono przy życiu 301 kobiet i 311 mężczyzn.

Na dręczące nas pytanie przyszła niebawem odpowiedź. W kilka dni po koszmarnym fakcie wysłano sześćdziesięciu pięciu jeńców polskich narodowości żydowskiej z Majdanka do Trawnika, gdzie ich zatrudniono przy paleniu zwłok pomordowanych współbraci na wielkich stosach.

Gdy makabryczne to dzieło dobiegło końca, z pracującego zespołu rozstrzelano pięćdziesięciu — wydając pozostałym rozkaz ich spalenia.

Kolega żołnierz palił żołnierza, a gdy i ta praca się skończyła, pięciu spośród nich kazano spalić pozostałych, których po wybraniu natychmiast rozstrzelano.

Pięciu jeńców — widm nie ludzi — ślaniających się paliło swoich towarzyszy, a gdy ich ciała jeszcze nie zetlały, rozstrzelano następnych czterech, polecając ostatniej ofierze dopilnować fizycznego procesu palenia.

Temu ostatniemu przypadło w udziale doczekać się „najwyższych honorów, oprawcy sami bowiem musieli nie tylko zastrzelić go, lecz i spalić ciało.

W tym okresie palono w przyspieszonym, wprost zawrotnym tempie trupy na Majdanku. Nieraz, kiedy wiatr powiał trupimi wyziewami od strony obozu, przejście szosą lub najbliższymi ulicami miasta było rzeczą niemal niemożliwą.

W „epoce“ drugiej istnienia Majdanka pomoc okazywana przez Polski Czerwony Krzyż szła na wielką skalę, i to różnymi drogami, zdobywając powoli, krok za krokiem, coraz to nowe „przywileje“ nieszczęśliwym skazańcom losu.

Szczegółowy opis tej akcji dają w innym rozdziale pracy niniejszej, pod tytułem: „Obóz na Majdanku symbolem solidarności polskiej“.

Kładę w nim specjalny nacisk na kolosalny w tych pracach udział społeczeństwa polskiego.

Unikając powtarzań, celowo pomijam opis roli Polskiego Czerwonego Krzyża w Lublinie w realizowaniu akcji, zakreślonej na poważną skalę, której celem było zwolnienie z Majdanka wysiedlonych latem 1943 roku przy pacyfikacji chłopów z biłgorajskiego, zamojskiego i kraśnickiego powiatu.

Ten rozdział znalazł ujęcie w innej części zbiorowego dzieła.

„Data 3 listopada 1943 roku usunęła z naszego trójjprzymierza element żydowski.

W tym momencie weszliśmy w dalszą fazę dziejów Majdanka.“

Wyjątek z listu dra J. Nowaka.

Rozdział X

„EPOKA“ WIEŻY BABEL

Bez najmniejszej przesady okres ten można nazwać „dogorywającą“ wieżą Babel.

Bo czyż można znaleźć na to różnojęzyczne zbiorowisko inne poza biblijnym określenie, gdy na przestrzeni zaledwie kilkunastu kilometrów kwadratowych dwadzieścia kilka narodowości znalazło, prawem wojennym ustalone, miejsce przymusowego pobytu.

Należy z góry nadmienić, że cyfra ta jest daleka od rzeczywistego stanu rzeczy. W tym rachunku bowiem przedstawiciele Związku Sowieckiego stanowią jednostkę, pomimo że w obrębie swego drugiego pola posiadają we własnym zakresie różnonarodową wielojęzyczność — odpowiednik bogatego folkloru olbrzymich bezkresnych eurazyjskich przestrzeni.

„Mamy tu teraz istotnie „wieżę Babel“ — przy badaniu ostatniego transportu doliczyłam się trzynastu narodowości.“*)

*) Wyjątek z listu p. W. Perzanowskiej, Polki, naczelnego lekarza, więźnia na rewirze kobiecym, z dn. 17. II. 1944.

„A teraz szereg ważnych spraw: 1. Przyszedł w dniu 5 bm. transport z Ravensbrück — 800 osób, w tym sto czterdzieści Polek, reszta Niemki, ale dużo Francuzek, Norweżek, Holenderek, Belgijek itd...”

Z listu Aliny Pleszczyńskiej z dn. 10. II. 44.

Likwidacja Żydów w listopadzie stała się do pewnego stopnia punktem zwrotnym w dziejach Majdanka.

Niemcy, wierni właściwym sobie metodom działania, złagodzili kurs nie tylko w stosunku do Polaków, lecz i innych narodowości.

„W grudniu 1943 pierwsze transporty chorych z Rzeszy. Obóz wykończenia Żydów i innych zamienia się powoli na szpital wykończenia, bo na przykład z tysięcznego transportu z Buchenwaldu po jednym miesiącu pobytu na Majdanku pozostało tylko około pięćset chorych. Trzeba zresztą bezstronnie przyznać, że ci chorzy przybywają w bardzo ciężkim stanie i *pozwala się im tu łaskawie umierać.*”

Wyjątek z listu dra J. Nowaka

Chcąc się naocznie przekonać o nowych warunkach bytu, uzyskać bezpośrednie dane z ust ludzi obiektywnych i omówić z „mieszkańcami” przymusowego odosobnienia ich bołaczki, pragnienia, troski i potrzeby, w dniu 28 grudnia 1943 roku udałem się na Majdanek.



Kwietniki i rzeźby w obozie śmierci miały świadczyć o wyższość kultury Herrenvolku.



Nawet w tak małym basenie potrafiło feld capo z trzeciego pola topić więźniów.



Straż orłów nad prochami spalonych bohaterów
więźniów-męczenników.

Pojechałem nie w charakterze oficjalnym prezesa Polskiego Czerwonego Krzyża na okręg lubelski, lecz „prywatnie“, bez żadnych przepustek.

By nie być zbyt skrupowanym, wyzyskałem inne drogi, którymi stale niesiono nieoficjalną pomoc nieszczęśliwym.

Ten pięciogodzinny pobyt na Majdanku, wśród swoich i obcych pozostawił na zawsze w mej duszy niezatarte wspomnienia.

Ogromne, czarne kłęby dymu, niczym pióropusz otaczające komin czynnego krematorium widniały z daleka. Gryząco-mdły zapach gorejących ciał ludzkich był zda się „wszechobecny“ wciskał się w nozdrza, klął w oczy, przesiąkał każdą najmniejszą nawet cząstkę ubrania, ponurym swym świadectwem potwierdzając naczelne zadanie obozu.

Na próżno siliłby się ten, kto chciałby to wrażenie od siebie odsunąć — zapomnieć...

(I pomyśleć tylko, że pod pręgierzem takich makabrycznych wrażeń niektórzy z „mieszkańców“ obozu żyją dzień za dniem już od kilka lat).

Zawsze byłem, jestem i będę z najwyższym podziwem dla wytrzymałości ich nerwów i jakiejś żelaznej siły organizmów.

Gdy na to zwracałem im uwagę — mówili, że to przede wszystkim zasługa P. C. K. w Lubli-

nie, reprezentującego pomoc, opiekę, zbiorową wolę i wielkie serce polskiego społeczeństwa.

Z jakąż radością patrzyłem, gdy otworzyły się na oścież górne okna baraków i dziesiątki wyciągniętych rąk witało mię radośnie swym niemym skinieniem.

Lecz cóż się to stało? — Naraz, w okamgnieniu ręce znikły. Szukam przyczyny. Aha! — to baczne spojrzenie „wiecznie“ czuwającego wartownika na wieży zmroziło radość i zapal. Oto drugi dowodny szczegół obozowej rzeczywistości.

Jak mi mówili „uprzedzeni“ więźniowie — nie spali całą noc z drżeniem oczekując widzenia i długiej rozmowy z kimś ze świata — z wolności.

Po nieoficjalnym a dokładnym sprawdzeniu techniki przyjmowania i wydawania paczek więźniom udałem się tam, gdzie obstawiony przez „odpowiednie straże“ mogłem spokojnie odbywać rozmowy z przedstawicielami niektórych pól.

Serdeczne powitanie i długie gawędy mimo ponurości miejsca miały w sobie wielki urok.

Jednego nie mogłem zwalczyć w duszach moich rozmówców, to uczucia lęku. Pomimo zapewnień, że nic ich tu złego spotkać nie może w tej chwili, że są bezpieczni — czego mieli dowody — każdy głośniejszy dźwięk rozmowy

SS-mana lub SS-manki, ponury głos obersturmführera Thumana wywoływał w ich oczach widmo przerażenia, zgrozę.

Kiedy po parogodzinnym poszukiwaniu na polach całego obozu jednej z więźniarek, z którą musiałem się widzieć — nareszcie weszła, pierwsze jej pytanie brzmiało: „Jak mam usprawiedliwić przy powrocie moją nieobecność?“

Żadne grypsy, najlepsze nawet pośrednie informacje nie dały mi tyle, ile ten bezpośredni kontakt i jak również inne podobne w różnych okolicznościach prowadzone rozmowy z przedstawicielami więziennego świata.

Każdy czy każda z moich rozmówców mówił telegraficznym stylem, cichym głosem, szybko, szybko, by czegoś nie uronić ze skarbnicy przeżyć; by najwierniej oddać myśl, warunki obozowego pobytu, potrzeby, nadzieje, tęsknoty... wreszcie prośby, powtórzenia ich słów najdroższym — dalekim, a więzią serca jakże bliskim, tam na wolności.

Musiałem już wracać. Patrzyłem jednak jeszcze długo na twarze mijanych, na ich pracę, na tryb smutnego życia, na przekłete z dala widniejące szubienice i na tak od nich niedaleko, na polach stojące choinki — symbol pojednania i mimo woli przypominały mi się cytowane już słowa J. Modrzewskiej:

„Dziś wielkiej nauki nastąpił nam czas,
Że dola dla wszystkich jednaka...”

W tym dniu szarym, jak inne, w zwykłej kolei rzeczy i tym razem rozstrzelano na Majdanku sześćdziesięciu więźniów, przywiezionych z Zamku*), biorąc na dokładkę spośród miejscowych pensjonariuszy dwóch pierwszych lepszych z brzegu.

I dla was „pasiaków“, tam za drutami, i dla nas tu, na tak zwanej rzekomej wolności, przez generalnego gubernatora Franka na użytek zagraniczny szumnie wychwalanej, „...dola dla wszystkich jednaka.“

Nie od rzeczy będzie podać jeszcze jeden dokument, który ze względu na bezstronność autora doniosłe ma znaczenie w gromadzeniu bezcennego materiału, stanowiącego przyczynek do historii majdankowskiego koncentracyjnego obozu.

„Ogólne wiadomości postaram się napisać jak najobiektywniej, bez koloryzowania ani in plus, ani in minus.

W ubiegłym tygodniu przemianowano wszystkich polskich i rosyjskich schutzhäftlingów na: Polnische i Russische Zivilarbeiter. Jakże to ma znaczenie prawne, nie wiem. Położenia faktycznego to zupełnie nie zmieniło.

*) Więzienie lubelskie, mieści się w dawnym zamku królewskim z XIV w.

W dniu tym cały obóz liczył ponad siedem tysięcy więźniów. W tym 3 000 Polaków, 2 262 Rosjan, potem szli: Niemcy, Czesi, Francuzi, Ukraińcy i inni. Do obozu naszego jako filie należą cztery obozy żydowskie: Radom, Blizin, Puczyń i...*) mające razem sześć tysięcy Żydów.

W sobotę przywieziono do nas 200 Żydów, obsługę krematorium w Oświęcimiu — już nie żyją. Wczoraj wzięto nagle na przesłuchanie i potem nagle stracono syna generała Paszkowskiego, będącego tu pod nazwiskiem Tarasiewicza. Od czasu do czasu takie wypadki mają tu miejsce. Jednak nie często.

Obok naszego krematorium urządzono Palmiry, egzekucje są dość częste — przeciętnie około jeden raz tygodniowo.“**)

Jak widać z tych wywodów, formalne zarządzenia nic nie zmieniły.

Panuje w obozie jedynie ożywiony, charakterystyczny ruch.

„Z Niemiec przywieziono do nas chorych — przeważnie gruźlica, a od nas wywożą zdrowych.

Ostatnie transporty do nas: z Sachsenhausen w grudniu 1 000, z Dachau w tymże czasie 1 000, Buchenwald w styczniu dostarczył 1 000

*) W oryginale listu nazwa nieczytelna.

**) List Żmigroda z dnia 2. III. 1944.

— w lutym 800; Oświęcim w grudniu 160, Ravensbrück w lutym 800.

Między tymi chorymi Polacy przeciętnie stanowili około 20%; na przykład z Buchenwald w lutym na 800 — Polaków 140, z Ravensbrück na 800 — Polek 140.

Chorzy, przeważnie gruźlica; Polacy dzięki paczkom ogólnie nieco lepiej się przedstawiali niż inne narodowości.

Na specjalną uwagę zasługuje Buchenwald, dostarczyciel ludzi do zakładu Dosa pod ziemią. Raz tylko na tydzień ludzie wychodzą na powietrze, co powoduje, że po trzech miesiącach prawie są już wykończeni na płuca wyziewami siarki — przeważnie gruźlica.

Zakłady te mieszczą się pod ziemią - górą, położoną około 90 do 100 kilometrów od Buchenwaldu — najbliższa miejscowość Neugamel.

U stóp góry rzeczka z nowowypudowaną fabryką. Wysoki komin i baraki. Całość montownia: torpedy, działa, tanki itp. i nie robi wrażenia wytwórni.“*)

Jeśli chodzi o inne obozy, będące wytwórniami chorych, skąd przywozi się ich, o ironio, do majdankowskiego „szpitala“, należy wymienić: Ravensbrück — komplikacje po wiewiskacjach i gruźlica, Oświęcim — malaria, Dachau

*) Wyjątki z listu Żmigroda z dnia 2. III. 1944.

i Sachsenhausen — gruzlica, Flossenbug — są-
dząc po ostatnim transporcie — 300 przybyłych
z kamieniołomów więźniów niewidomych na
skutek pyłu kamiennego raniącego rogówkę.

Na przełomie drugiej i trzeciej „epoki“
w życiu Majdanka Polski Czerwony Krzyż
w Lublinie, chcąc za „wszelką“ cenę ratować
więźniów, wystąpił w tej sprawie z oficjalnym
pismem do szefa lubelskiego dystryktu, gu-
bernatora dra Wendlera.

W obliczeniach swoich braliśmy pod uwagę
z jednej strony tendencje Niemców do zła-
godzenia politycznego kursu w Generalnym Gu-
bernatorstwie, by wyzyskać dla swoich celów pol-
sko-sowiecki zatarg graniczny, oczywiście jak
zwykle i tym razem bezskutecznie; z drugiej
zaś fakt, iż na czele dystryktu stanął czło-
wiek nowy, prawnik, szwagier Himmlera, ma-
jący po usunięciu kata, Globocnika, specjal-
ne, teoretycznie biorąc, nieograniczone upraw-
nienia.

Być może czytelnika razić będzie forma cy-
towanego listu. Należy jednak zważyć okolicz-
ności, w jakich się pisało, oraz to, że list ten
był skierowany drogą oficjalną do urzędujące-
go gubernatora w okupowanym kraju, w imie-
niu P. C. K. Prezes tej jedynej instytucji w kra-
ju, istniejącej na podstawie polskiego i między-

narodowego prawa, uznał za konieczne zastosować taką ściśle urzędową formę.

Ostatnim legendarnym groszem, który w tym kierunku przechylił szalę, były liczne, pełne rozpacz listy: żon, dzieci i matek, błagających o ratowanie najbliższych.

Dla otarcia łez tych nieszczęśliwych wszystko należało zrobić, a w dopuszczalnych granicach wiele można było poświęcić.

Wypadkową splotu tych wszystkich momentów jest następujący w pełnym brzmieniu cytowany list.

L.: 3646/43 M.

Do

Pana Gubernatora Dra Wendlera
Szefa Dystryktu Lubelskiego
w Lublinie

Pisząc ten list pragnę przede wszystkim wyjaśnić przesłanki, którymi powodowany uznałem się za usprawiedliwionego do skierowania niniejszej prośby.

Szeroko w kołach społeczeństwa lubelskiego rozeszły się słowa P. Gubernatora, wypowiedziane w związku z zarządzonymi przez Niego zmianami, że „nie słowa czczych przyrzeczeń, lecz czyny w ich dotrzymaniu będą świadczyć o moich rządach.“ W ślad za tym oświadczeniem czyny, które nastąpiły (zwolnienie rol-

ników i księży z obozu na Majdanku i otwarcie kościołów), stały się wyrazem głębokiej myśli kierowniczej.

Niewątpliwie ten stan rzeczy sprawił w części, iż od dłuższego już czasu zaczęły napływać do Polskiego Czerwonego Krzyża w Lublinie listy od rodzin, których członkowie zostali pozbawieni wolności, z błagalną prośbą o pomoc w ich uwolnieniu.

Te dwa pokrótce wyłuszczone fakty, wartością swoją wkraczające w orbitę wiecznej i wszystkim wspólnej Idei Czerwonego Krzyża, pod którego szczytnym znakiem doznaje wszechstronnej pomocy każdy: dziecko czy żołnierz, kobieta czy mężczyzna — bez względu na to, w jakiej części świata się znajdują — stanowią tę jedyną podstawę moralną, o skromnych rozmiarach, w oparciu o którą zdecydowałem się poprzeć prośby licznych rodzin odwołując się niniejszym do P. Gubernatora.

Czyniąc zadość błagalnym prośbom tych rodzin, mam zaszczyt prosić P. Gubernatora, aby korzystając ze swego wysokiego stanowiska o szczególnych uprawnieniach, raczył spowodować zwolnienie z obozu na Majdanku i z innych więzień Lubelszczyzny:

1. Starców, których sędziwy wiek krok ten by usprawiedliwił;

2. Zniechęconych z powodu przebytej choroby;
3. Chorych, przeznaczonych na zwolnienie, którym stan zdrowia uniemożliwiał dotychczas wyjście na wolność. Tymi ozdrowieńcami zająłby się P. C. K. w Lublinie;
4. Chorych, którym jedynie zmiana otoczenia i troskliwa opieka lekarska specjalistów mogłyby przywrócić zdrowie i życie utrzymać. Opiekę nad tymi chorymi również roztoczyłby P. C. K.
5. Kobiet, które mają zostać matkami, lub pozostawiły w domu małe dzieci. Oddawanie ciężarnych kobiet przez władze obozowe na Majdanku do miejskich szpitali pod opiekę P. C. K. miało już miejsce;
6. Młodocianych, znajdujących się — zgodnie z ogólnie obowiązującymi przepisami prawa — w chwili popełnienia zarzucenych im czynów w wieku całkowitej lub częściowej nieodpowiedzialności;
7. Lekarzy, których wiedza i zdobyte doświadczenie mogłyby oddać nieocenione usługi przy zwalczaniu panujących epidemii chorób zakaźnych;
8. Wreszcie tych wszystkich, którym okres odbytej kary pozwoliłby na przyspieszenie terminu ich zwolnienia.

Odwołując się do P. Gubernatora w imię Czerwonego Krzyża, mam głębokie przeświadczenie, że po rozważeniu treści prośby i intencji, która mną kierowała, uzna mnie P. Gubernator za wytłumaczonego

Lublin, dn. 19 października 1943 r.

Prezes Polskiego Czerwonego Krzyża
na Okręg Lubelski

(—) *Ludwik Christians*

List ten został w zalakowanej kopercie z godłem P. C. K. doręczony do rąk własnych gubernatora z pominięciem wszelkich pośrednich instancji.

Po parotygodniowej ciszy wezwano mnie nagle do Gestapo. Wiele razy byłem zmuszony iść do tego przedśionka „wstępnych kaźni“, nigdy jednak nie doznałem objawów takiej zwierzęcej nienawiści ze strony gestapowców, jak wówczas w tym pamiętnym dniu.

Słowem, biorąc za podstawę całą moją w stosunku do Niemców pełną „grzechów“ przeszłość, dano mi do zrozumienia, przy akompaniamencie odpowiednich gróźb, że lepiej uczynię, gdy się zajmę sprawami innymi niżli te, o których w tym miejscu piszę.

Byłem więcej niż przygnębiony, zadając sobie pytanie, czyż rzeczywiście już nie ma do nich żadnej drogi, czyż naprawdę wszystko, co ludzkie, jest Niemcom tak niesłuchanie obce.

Tymczasem w dniu 3 grudnia po jeszcze jednej długiej rozmowie w Dystrykcie otrzymaliśmy telefoniczną odpowiedź, że postulaty wyszczególnione w liście-memoriale z dnia 19 października zostały uwzględnione i w związku z tym w okresie przed Bożym Narodzeniem zostanie zwolniona poważna ilość więźniów z Majdanka i innych więzień Lubelszczyzny.

Sprawa została posunięta tak daleko, że na podstawie upoważnienia władz dystryktu Polski Czerwony Krzyż omówił techniczne warunki przejmowania wychodzących na wolność więźniów z odnośnymi władzami lubelskiego więzienia i Majdanka. Otrzymaliśmy jednocześnie poufną wiadomość, że ogółem zwolnionych będzie ponad tysiąc pięćset osób. I istotnie na rozkaz przełożonych władz zrobiono odpowiednie spisy mężczyzn.

„Dziś w niedzielę był jeden z „oprawców“ — pisze dr Nowak w swym liście z dn. 18. X. 43 — wypytywał się, ilu mamy chorych ponad lat 60 i polecił naszemu „wujaszкови“ zrobić spis i podać urzędowo do schreibstuby. Domyślamy się, że chodzi o możliwe zwolnienie tych ludzi z obozu — cieszymy się ze względu na naszego profesora — ma 68 lat.*) Odnosimy tutaj wrażenie, że znowu jest okres kokietowania Polaków, świadczyły o tym ostatnie fakty, mię-

*) Mowa o prof. Michałowiczu z Warszawy.

dzy innymi zezwolenie na te zupy Polskiego Czerwonego Krzyża i nastawienie do Polaków.“

Zaczęto wreszcie zwalniać...!

Każdy z przybyłych nieszczęśliwców witany był przez nas z tą samą radością, z jaką witaliśmy zwolnionych w lecie tegoż roku: biłgorajskich, zamojskich i kraśnickich chłopów, „spacyfikowanych wysiedleńców“, wychodzących z obozowych piekieł Majdanka; jak witaliśmy jeńców polskich i sowieckich, wyrwanych niemal cudem ze stalagów śmierci, z Dęblina, Trawnika, Poniatowej i Chełma u schyłku 1941 i początku 1942 roku.

Liczyliśmy skwapliwie i kiedy dwusetny któryś z więźniów ujrzał „światło wolności“, otrzymaliśmy najniespodziewaniej od gubernatora lubelskiego w dniu 20 grudnia 1943 roku list, który wprowadził nas w zdumienie.

List ten, jako bezcenny i wymowny dokument świadczący o swoistej mentalności Niemców, będący jednocześnie cynicznym zaprzeczeniem istniejącego stanu rzeczy w obozie na Majdanku, o czym gubernator nie mógł nie wiedzieć — podaję w całości.)

*)

Lublin, dnia 20. XII. 1943

Do Polskiego Czerwonego Krzyża

W październiku br. pisał mi Pan w sprawie zwolnienia różnych kategorii więźniów znajdujących się przypuszczalnie w obozie koncentracyjnym na Majdanku.

Lublin, den 20. 12. 1943

Der Gouverneur des Distrikts Lublin
im Generalgouvernement

An das
Polnische Rote Kreuz
Lublin
Finkenstrasse

Im Oktober d. J. haben Sie mir geschrieben und um Entlassung verschiedener angeblich im Konzentrationslager Majdan befindlicher Kategorien von Häftlingen gebeten.

Es befinden sich nun in Majdan keine Polen, die unter die von Ihnen aufgeführten Kategorien fallen würden, also weder schwangere Frauen, noch Kranke, noch Jugendliche usw. Überhaupt sind in dem Lager keine Personen, die nicht wegen ganz bestimmter nachgewiesener Verfehlungen einsitzen. Ich bin daher nicht in der Lage irgendjemand freizulassen.

(—) *Wendler*

Niech czytelnik oceni sam, co można sądzić o takim liście bezprzykładnym w swej kłamliwej treści.

Polaków, którzy by odpowiadali tym kategoriom na Majdanku, nie ma. Nie znajdują się tam ani kobiety ciężarne, ani chorzy, ani młodzi itd. W ogóle nia ma w obozie żadnych osób, które by tam były osadzone bez całkowicie udowodnionych przestępstw.

Nie jestem zatem w możności kogokolwiek zwolnić.

(—) *Wendler*

Należy przecież zważyć, że w tymże samym dniu, w którym niemiecki dygnitarz pisał przytoczone słowa, na Majdanku przebywało samych tylko ciężko chorych Polaków na I i V polu ponad pięćset osób. Starców zaś ponad lat sześćdziesiąt, nieletnich, kobiet, które pozostały w domu swoje niemowlęta, zniedołężniałych po przebytej chorobie inwalidów — było nie mniej niż tysiąc, licząc w tym więźniów jedynie narodowości polskiej.

I w obliczu takich faktów śmiało twierdzić wszechwładny gubernator lubelski, że na Majdanku nie ma „...keine Polen, die unter von Ihnen aufgeführten Kategorien fallen, also weder schwangere Frauen, noch Kranke, noch Jugendliche usw...“

W odniesieniu zaś do drugiej części listu pytam czy masowo gazowanym dzieciom i niemowlętom przy piersiach matczynych, mordowanym i gazowanym jeńcom wojennym, tysiącom wysiedlonych chłopów, umierającym masowo na zakaźne choroby na Majdanku — вина „dokonania przestępstw“ również „całkowicie była udowodniona?“

Jeśli kategorie osób wyliczonych w liście moim były dla gubernatora tylko w sferze „przypuszczeń“, jak się sam wyraził, to nie wyprze się zapewne, że po złożonym mu raporcie w dniu 3. XI. 1943 r., kiedy w ciągu jednego

dnia wymordowano ponad dwadzieścia tysięcy — wiedział, iż wśród nich byli: jeńcy wojenni, niemowlęta, inwalidzi, dzieci, kobiety, młodociani, chorzy, starcy itd.

Pomimo wszystko wysiłek nie poszedł na marne — zwolniono ponad dwustu kilkudziesięciu więźniów.

Zbliżając się ku końcowi niniejszego rozdziału, dla pełni obrazu należy jeszcze wspomnieć o lęku wśród więźniów Majdanka, jaki w tej „epoce“ zapanał w schyłkowym okresie.

„Niepokój minął, nie grozi nam zmiana miejsca. Tak czy owak byłem dwa dni zaniepokojony — niech to nie będzie dziwne, że się każdy z nas wszelkiej zmiany lęka, choćby były różowe miraże.“

Wyjątek z listu dra Nowaka

Istotnie niezbyt różowo mógł patrzeć więzień w przyszłość widząc u kresu swojej wędrówki ze wszystkimi ich okropnościami: Buchenwald, Ravensbrück, Oświęcim, Dachau, Sachsenhausen, Gross - Rosen, Flossenbürg i inne.

Wprawdzie ustęp, który tu przytoczę, wybiega poza ramy „historycznych dziejów“ Majdanka, działa się to bowiem w innym „piekle“ — ma jednak z nim tyle wspólnego, że majdankowski obóz był jednym z najpoważniejszych



Drzeworyt: dzieło artysty wykonane w Majdankowskim Piekło

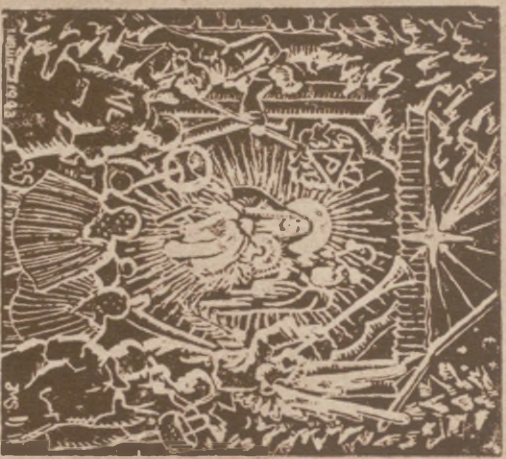
Majdank, dnia 24 wr 1913

Ż. C. K.

o matczyńcu

Żyjącego i niedługo
tak wielkiej jeności i spokoju, o cielech
chwilach, upadłym kłom, Kochani!
Kochany, Kochany, Kochany, Kochany
Kochany, Kochany, Kochany, Kochany

Żyjącego i niedługo



Zyczenia świąteczne więźniów z Majdanka przesłane Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi w Lublinie.

dostarczycieli wiwiskcyjnego materiału do doświadczałnej „królikarni“ w Ravensbrück, a następnie, że fakty te zostały spisane przez jedną z ofiar — harcerkę pochodzącą z Lublina — dotarły do nas zaiste dziwnymi drogami dzięki szalonej odwadze wielu osób — skąd poprzez Zarząd Główny Polskiego Czerwonego Krzyża w Warszawie samolotem doszły do Rządu Polskiego w Londynie, by znaleźć niebawem swój doniosły wyraz w obwieszczeniu radiowym na cały świat.

Opis zbrodni dokonywanych w Ravensbrück otrzymał jednocześnie potwierdzenie w zeznaniu pochodzącym od jednej z zainteresowanych, „doświadczonych“ operacjami kobiet, przybyłej w dniu 5 lutego 1944 roku do obozowego szpitala na Majdanku w Lublinie, gdzie spisał jej relację dr J. Nowak (List z dnia 2 marca 1944).

Oto plastyczny obraz „doświadczałnej królikarni“ w Ravensbrück, podany w ujęciu młodej harcerki:

„Czuwaj!

Przesyłamy Wam krótki szkic historyczny rozwoju naszego obozu z zaznaczeniem specjalnym stosunku do Polek.

1 maja 1939 roku, a więc jeszcze przed wojną, F. K. L. Ravensbrück rozpoczął funkcjono-

wanie. W dniu tym przywieziono do lagru pierwszy transport — przeważnie komunistki (większość siedzi dotąd) — 1000 Niemek politycznych. Na początku traktowane były bardzo źle. Były wśród nich także tzw. Bibelforscherin (oznaka trójkąt lila), właśnie one zajęły od razu najlepsze stanowiska, jak: kuchnia, urząd polityczny, rewir, efekty.

Pierwsze Polki zostały do obozu przywiezione 28 września 1939 roku, w liczbie 58. Były to Polki z mniejszości, to znaczy z terenów Rzeszy (Śląsk, Raciborz itd.), przeważnie jakieś działaczki, zajmujące wybitne stanowiska (z konsulatu, przedstawicielki polskich organizacji itd.)

Przyjęte zostały jako morderczynie (?) niemieckich żołnierzy, jako jednostki niezmiernie szkodliwe i zagrażające bezpieczeństwu państwa niemieckiego — odpowiednio traktowane, dostały najcięższe prace przy planowaniu, osuszaniu jeziora, budowaniu baraków itd.

Dyrektorem wtedy był Koegeb, dyrektorką Langefeld.

W listopadzie przyjechało znowu kilka (5) Polek z Łodzi i Pabianic; znalazły się w tych samych warunkach.

Zmiana na lepsze w stosunku do nich nastąpiła dopiero zimą. Władze zrozumiały, że to przecież nie są te Polki, które mogą być odpo-

wiedzialne za domniemane morderstwa popełniane w Polsce. Natomiast w stosunku do transportów, które zaczęły przychodzić bezpośrednio z Polski, traktowanie było jeszcze bardziej okrutne.

W roku 1940 przyjechały następujące transporty:

10. IV. Gdyńsko-Gdański	80 osób
16. IV. Toruńsko-Bydgoski	60 „
17. IV. Grudziądzki	50 „
25. IV. Poznański	46 „
23. IV. Działdowski	90 „
24. V. Poznański	50 „
24. V. Śląski	100 „
8. VII. Toruński	32 „

W tych wszystkich transportach nie było jeszcze Polek więzionych za organizację — po prostu była tylko akcja wylapywania inteligencji, która mogłaby być szkodliwa; wiele z nich w wyrokach ma określenie „fanatyczna Polka“. W tym pierwszym okresie miały przeważnie wszystkie b. ciężką pracę — wysuszanie i planowanie jeziora, budowa baraków, szos, karczowanie lasów itp. Do tego trzeba dodać, że traktowane były przez dozorczyńnię okrutnie (bite), a również dotkliwym był głód. Swoboda była tak bardzo ograniczona, że nawet mieszkanki jednego bloku nie mogły porozumiewać

się z innymi. Za najmniejsze przewinienie sy-
pały się meldunki, na przykład: za kilka kar-
tofli podanych koleżance szło się na tydzień
„ostrego aresztu“.

Po pewnym czasie jednak kurs w stosunku
do Polek złagodniał. Wszędzie odznaczały się
Polki: karnością, dobrym wychowaniem, przy-
zwoitym i czystym wyglądem; tym wszystkim
zdobyły sobie uznanie. Już w lipcu wzięto
pierwsze Polki do kuchni (przeważnie nauczy-
cielki), kilka poszło do rewiru (szpital). Przed
świętami Bożego Narodzenia „Bibelforsche-
rin“, które odmówiły jakiegś pracy dla wojska,
zaczęto usuwać, a na ich miejsce wysuwano Pol-
ki. Na wiosnę 1941 roku zaczęły powstawać
pierwsze warsztaty: pralnia, szwalnia, warsztat
szewski, zabawkarski, futra, słoma (szycie sło-
mianych ochraniaczy dla wojska).

W lecie przyjechało kilka transportów
z Lublina, Radomia, Częstochowy, Torunia,
Krakowa — zastały już trochę lepsze warunki
i lżejszą pracę. 23 września przywieziono dwa
transporty z Lublina i Warszawy, razem około
400 osób (prawie wszystkie za organizację).

Dotychczas, jeśli chodzi o stosunki lokalne,
Polki przeważnie mieszkaly razem, ale specja-
lnej segregacji narodowościowej nie było.
W sierpniu 1941 roku wykończono kilka no-
wych bloków, tzw. „nowy obóz“, na który ze

wszystkich bloków mieszkalnych przeniesione zostały wyłącznie Polki. Wtedy po raz pierwszy przeprowadzono segregację narodowościową, a także na polityczne i karne, np. socjalne osobno, recydywistki, polityczne itp. Stan ten utrzymał się do wiosny 1942 roku, kiedy znów zmieszano wszystkie narodowości, rodzaj przewinień (wszystkie kolory odznak) i podzielono tylko według rodzaju prac, np. warsztaty osobno, osobno pracownice na zewnątrz. Tak trwało do jesieni 1942 roku, kiedy znów zrobiono wielką segregację, oddzielono Polki i podzielono według koloru odznak i rozmieszczono po blokach według numerów i transportów.

Transport warszawski i lubelski początkowo zajmowały dwa bloki (400 osób), dzisiaj obydwaj transporty razem nie zapełniają całego jednego bloku, pozostało już tylko razem (wszystkich Polek) 200 osób.

Po przyjeździe i trzy i pół tygodniowej kwarantannie zaczęto wyciągać nas do pracy. Chodziłyśmy przeważnie do sypania ziemi i piasku, do zakładania ogródków (wożenie ziemi taczkami, noszenie darni i kamieni), praca b. ciężka i złe traktowanie. Bardzo niewielka ilość zapisała się do warsztatów.

Otwarto wtedy warsztat artystyczny, do którego naturalnie b. chętnie przyjmowano

Polki i one właśnie go zorganizowały. Najpierw były tam różne działy: malarski, hafciarski, zdobniczy, zabawkarski (lalki, wyroby z drzewa i słomy itp.). Z biegiem czasu likwidowano dział za działem, aż wreszcie zostało tylko szycie pantofli ze słomy, które trwa dotychczas. W grudniu 1941 r. otwarto warsztaty słomiane, w których zatrudniono na trzy zmiany 1000 kobiet.

Do pracy wciągnięto prawie w całości obydwie nasze transporty, dużo Polek z poprzednich, poza tym Niemki i Cyganki. Element był więc bardzo różnorodny, co ogromnie utrudniało pracę.

Okrutne traktowanie (wrzaski, meldunki, bicie), potworne warunki higieniczne — osiem godzin pracy w nieprzewietrzanym lokalu w kłębach kurzu — głód, ciężka praca, no i przede wszystkim świadomość, że pracujemy dla armii nieprzyjacielskiej (szycie wojskowych ochraniaczy dla frontu wschodniego), wszystko to razem tworzyło piekło.

Staraliśmy się pracować jak najgorzej i jak najwięcej niszczyć materiału, co z powodu ścisłego dozoru było bardzo trudne.

Nieraz zdarzało się, że SS-mani wpadali na sale i batem lub kijem tłukli te, które się im nie podobały. Jakże często stały po kilka godzin na mrozie, w nocy, po pracy już, bo dozorczyńni miała zły humor i chciała nas „ukarać“.

W ogóle w tym pierwszym okresie naszego pobytu w obozie najbardziej dawały się nam odczuć: złe warunki materialne, dotkliwy głód, nie wolno było bowiem przysyłać żadnych paczek i zima była b. ciężka. Wtedy to było dla nas jedyne dostrzegalne zło i z innych gorszych konsekwencji naszego pobytu tu nie zdawałyśmy sobie jeszcze sprawy.

Wprawdzie jeszcze w jesieni było kilka małych transportów w nieznane; nie wiedziałyśmy jednak jeszcze, że są to egzekucje. I nawet kiedy w styczniu wzięto 13 z transportu Warszawa i wywieziono na Pawiak, sądziłyśmy, że to może mieć związek ze śledztwem — później dowiedziałyśmy się, że zostały tam rozstrzelane.

W styczniu był także pierwszy duży transport starszych i niedołącznych, około 1000 osób — przeszło miesiąc później nienormalnych. Poza tym przy końcu zimy i na wiosnę były transporty Żydówek — wywiezione nie wiadomo dokąd, z pewnością masowo zlikwidowane.

W czerwcu 1942 roku skończyły się prace w warsztacie słomianym, część pracujących tam przeszła do pracy na zewnątrz, tworzyły się kolumny wyjazdowe do majątków (praca na roli), przeważnie same Polki. Część zaś ściągnięto do warsztatów, które także pracują dla wojska (szwalnie, futra). Później utworzono warsztat tzw. sanitarny, w którym robiono papierowe

ochraniacze przesyczone ichtiolem, dla rannych, na ręce, nogi, tułów i głowy. Praca była b. ciężka, a warunki jeszcze bardziej potworne niż w innych warsztatach. Warsztat ten trwał rok czasu. Na wiosnę 1942 roku przesunięto nam czas pracy do 12 godzin z przerwą obiadową — tak pozostało aż dotąd.

Egzekucje. 13 kwietnia rozstrzelano trzynaście Polek z transportu częstochowskiego i radomskiego.

Tuż przed egzekucją jedna z dozorczyń (z kuchni — Frunek) z triumfem patrząc na pracujące w kuchni Polki powiedziała: „Teraz ja pójde patrzeć, jak one będą koło świniarni rozstrzelane“. — Wsiadła na rower i po egzekucji wróciła b. zdenerwowana — sztucznie usiłowała okazać wesołość. Zapewne upokorzyła ją bohaterska postawa naszych dziewcząt.

W tym samym czasie wycofano z wszystkich kolumn na zewnątrz transport lubelski i przeznaczono do robienia mat.

18. IV. 1942 r. rozstrzelano trzynaście z transportu lubelskiego, tym razem w pół godziny po ich wyjeździe z obozu (były, tylko w samych sukienkach i bez butów) — słyszałyśmy salwę.

Odtąd zmieniło się nasze nastawienie — zrozumiwałyśmy, że jesteśmy narażone nie tylko na ciężkie warunki materialne, ale że w każdej

chwili musimy być przygotowane na to, co spotkało nasze koleżanki.

Przypuszczenia okazały się słuszne — egzekucje powtarzały się odtąd systematycznie w 4—5 tygodniowych odstępach czasu, przeważnie (chyba 80%) brano z transportu warszawskiego. Egzekucje odbywały się podczas wieczornego apelu. Salwę słyszały i rozumiały już nie tylko Polki, ale wszystkie inne narodowości.

W maju 1942 r. znowu przywieziono dwa transporty, przeszło 300 osób z Warszawy i Lublina. Naturalnie z tych transportów także wiele rozstrzelano. W sumie z wrześniowego transportu Warszawa-Lublin rozstrzelano już co czwartą.

Na początku maja i przy końcu lipca były dwa transporty Polek do Oświęcimia. Zgłaszały się przeważnie dobrowolnie po to, aby znaleźć się na polskiej ziemi lub odnaleźć kogoś ze swoich bliskich. Prócz tego było kilka dużych transportów karnych do Oświęcimia — Niemki i Cyganki.

Wiwisekcje. 24 lipca 1942 roku 70 z transportu lubelskiego i kilka z Warszawy (do 30 lat) wezwano do dyrektorki, gdzie były wyższe władze obozowe oraz miejscowi lekarze — sprawdzono tylko personalia, nazajutrz wezwano tamże cały transport lubelski (bez względu

na wiek) i te same kilka z warszawskiego. W dalszym ciągu nie wiedziałyśmy, po co i dlaczego. Dopiero gdy pierwszego sierpnia wzięto pierwsze sześć naszych koleżanek na operację, zrozumiwałyśmy, że wszystkie jesteśmy przeznaczone jako materiał doświadczalny. Do ostatniej chwili nikt (i one same) nie orientował się, co je czeka. Zoperowano je więc w zupełnej nieświadomości. Operacji dokonywał profesor Gebhardt (dyrektor sanatorium w Hohen-Lüchen) z asystentem dr. Fischerem. W rewirze lekarzem naczelnym był Szydlauksy, drugim lekarzem Rosenthall, lekarką biorącą najżywszy udział w operacjach dr. Oberheuser.

Protest. Za dwa tygodnie wzięto następną grupę. Zdecydowały one od razu, że będą protestować. Gdy je wezwano do lekarza, zaczęły stawiać pytania: „Dlaczego biorą je na operację? Dlaczego właśnie one? Przecież w stosunku do więźniów politycznych takich represji żadne prawo nie przewiduje.“ One na operację się nie zgadzają i protestują!

Wystąpienie to (zresztą było to do przewidzenia) zbyto żartami, a dr. Fischer powiedział, że „wszelkich informacji udzielił miejscowi lekarze“. Naturalnie dotychczas nie otrzymałyśmy pomimo wielokrotnego pytania żadnej odpowiedzi. Na operacje brano w dalszym ciągu w kilkutygodniowych odstępach.

Zrozumialiśmy wtedy, że żaden protest nie pomoże, jesteśmy bezradne i bezsilne wobec przemocy i gwałtu i że do czasu musimy pozostać bezbronnymi ofiarami. Zresztą w tym czasie panował w obozie wielki ucisk i terror.

Dyrektorem był Koegeb, adiutantem Mayer, dyrektorką Mandel.

Pierwsze grupy operowanych były zupełnie odcięte, zamykane. Chorowały w bardzo ciężkich warunkach, głodne, bez pielęgnacji (po 14 dni nie zmieniano opatrunków).

Już wtedy nieźle zorganizowany był system szpiegowski. Wprowadzono urzędy tzw. policjantek, które rekrutowały się z najpodlejszego elementu Niemek. Były bez powodu po twarzach, ot tak dla sportu! Nie było prawie żadnej swobody ruchów, najmniejsze przewinienia karano okrutnie i bezwzględnie t. zw. „karnym blokiem“ i „aresztem“. W czerwcu 1942 roku sam dyrektor na ogólnym apelu ogłosił, że za najmniejszą szmatkę, za jedną nitkę wyniesioną z warsztatu więźniarka podlega karze śmierci przez powieszenie.

Wymęczone ciężką nocną pracą, długimi apelami na zimnie (lato było zimne, dżdżyste, chodziłyśmy boso), głodne, żyłyśmy tylko od jednej egzekucji do drugiej, od jednej operacji do drugiej, nie mogąc myśleć o jak najmniej-

szym oporze, który na pewno byłby bezskuteczny.

Tak na egzekucję jak i na operację brano zawsze niespodziewanie i w różnych okolicznościach. Egzekucje przeprowadzano najczęściej transportami, na operacje nieraz wzywano w takich okolicznościach jak na egzekucję.

„*Króliki doświadczalne*“. Operowane zaczęły nazywać się „królikami“, nazwa ta została przyjęta przez wszystkie więźniarki, a także przez cały rewir, personel, lekarzy i inne władze.

Polki z kuchni zorganizowały dla operowanych pomoc materialną, która w okresie głodu (nie było paczek) była wycieńczonym chorobą niezmiernie potrzebna.

Operowane na tę pomoc musiały się zgodzić, choć wcale o nią nie prosiły i jej nie pragnęły. Po operacji bez względu na stan zdrowia, gdy były potrzebne nowe miejsca na dalsze operacje, wyrzucono operowane z rewiru do bloku. Często przynoszono je na noszach. Zwolnione były od pracy i apelów (całkiem zrozumiale, bo nie miały sił i były kalekami), otrzymały prześcieradła i pozwolenie na prywatne buty.

W ten sposób znalazły się pozornie w lepszych warunkach, co stało się powodem zażłości różnych mętów obozowych, nie orien-

tujących się we właściwej sytuacji. Powstała nawet (rozszerzona przez władzę) potworna plotka, że Polki zgadzają się na operacje za duże sumy pieniędzy i za lepsze warunki bytu! A przecież przyczyna opieki była prosta: ten sposób postępowania na zewnątrz był sprytną reklamą, „humanitaryzmem“, w gruncie rzeczy chodziło tylko o zrobienie doświadczeń lekarskich, o wypróbowanie metod leczenia i utrzymanie obiektów jako materiału do dalszych doświadczeń.

Były to zdaje się pierwsze doświadczenia tego rodzaju, przeprowadzone zamiast na zwierzętach na politycznych Polkach. Sławne wyznalazki prof. Gebhardta: przeszczepianie mięśni, tkanki tłuszczowej, skórnej, okostnej a także surowic, wszczepianie chorób zakaźnych i pobieranie okostnej w b. dużej ilości.

Te same osoby poddawano doświadczeniom wielokrotnie (5-6 razy), naturalnie łudząc ciągle, że to już ostatnie. Taka sytuacja trwała aż do lutego 1943 roku; operowano do tego czasu 71 Polek (z tego po zabiegach zakaźnych 5 umarło). W lutym zapowiedziano oficjalnie w rewirze, że operacji dalszych nie będzie (6 lutego ostatnie operowane wróciły do bloku). Miesiąc mniej więcej był spokój.

8 marca zupełnie niespodziewanie zostały wezwane następujące koleżanki: Rubich Janina,

Marczewska Michalina, Pelczyńska Irena, Małkowska Regina, Pociłowska Zofia. Wezwano także razem z nimi 12 chorych na różne choroby skórne (gruźlica skóry itd.). Zbadano je przed nimi, przy badaniu naszych dziewcząt lekarka powiedziała: „To są nowe króliki“. Po zbadaniu odesłano do bloku z tym, że na wezwanie mają się stawić natychmiast.

Nowy protest. Po naradzie postanowiły nie pójść i wspólnie z innymi towarzyszkami omówiłyśmy dalsze postępowanie i zdecydowałyśmy się na stanowczy ogólny protest. Sytuacja wtedy przedstawiała się następująco: dyrektorką była znowu Langefeld (raczej życzliwa w stosunku do Polek). W ogóle kurs dla Polek był trochę mniej ostry, my bardziej byłyśmy zorientowane w oficjalnych i zakulisowych sprawach bloku, mniej zahukane pracą. Pomimo tego byłyśmy jednak przekonane, że protest nie odniesie żadnego skutku, i przygotowałyśmy się na najgorsze.

Nazajutrz na wezwanie do rewiru nie poszły, tylko wprost do dyrektorki. Za nimi, ustawione piątkami, szły wszystkie operowane. Makabryczny pochód kalek z kulami, laskami, niektóre niesione na rękach. Dyrektorka nie chciała w ogóle wyjść do nas, w końcu jednak musiała.

Oznajmiłyśmy jej, że jesteśmy wezwane na operację, chociaż było już zapowiedziane, że operacji tych już nie będzie — jesteśmy zdrowe, kilkadziesiąt z naszych koleżanek, które były także zupełnie zdrowe, są kalekami lub okaleczonymi. Na operację dobrowolnie nie pójdziemy, wolimy śmierć.

Dyrektorka, wyraźnie zmieszana i zaniepokojona, odpowiedziała, że nic nie wie o operacjach, nasze wezwanie do rewiru nie ma z tym żadnego związku i możemy spokojnie wracać do bloku.

Odeszłyśmy. Po południu wezwano trzy z nas jakoby do mierzenia temperatury.

Odpowiedziały, że są zdrowe i nie pójdą.

Wobec tego lekarka Oberheuser wezwała je na prywatną rozmowę. Poszły i powiedziały, że na operację się nie zgadzają. Nie użyto jednak przemocy i pozwolono im wrócić do bloku.

Nazajutrz wysłałyśmy rodzaj petycji na piśmie do komendanta obozu treści następującej:

„Do Komendanta obozu!

Więźniarki polityczne operowane:

1. Wojtasik Wanda 7709; 2. Gnaś Stefania 7883;
3. Zielonka Maria 7771; 4. Gutek Rozalia 7871;
5. Okoniewska Aniela 7873; 6. Kulczyk Wanda; 7. Kamińska Jadwiga 7783; 8. Karmańska Zofia 7884; 9. Kamińska Zofia 7935; 10. Ka-

rolewska Władysława 7928; 11. Jurkowska Alicja 7716; 12. Karczmarz Maria 7912; 13. Karwacka Urszula 7920; 14. Iwańska Krystyna 7710; 15. Iwańska Janina 7711; 16. Mitura Janina 7932; 17. Sobolewska Aniela 7678; 18. Sokólska Zofia 7919; 19. Dąbska Krystyna 7660; 20. Stefaniak Zofia 7697; 21. Łotocka Stefania 7707; 22. Młotkowska Stanisława 7880; 23. Pietrzak Maria 7909; 24. Prus Alfreda 7657; 25. Hoszowska Zofia 7095; 26. Kraska Weronika 7672; 27. Nowakowska Maria 8651; 28. Rakowska Maria 7728; 29. Szuksztal Weronika 7829; 30. Pajączkowska Maria; 31. Kuśmierczuk Maria 7888; 32. Kostecka Czesława 7688; 33. Maćkowska Pelagia 7886; 34. Kwiecińska Leokadia 7682; 35. Stefanowicz Aniela 7719; 36. Kurowska Kazimiera 7670; 37. Kiecol Zofia 7866; 38. Kluczek Genowefa 11326; 39. Łuszcz Jadwiga 11275; 40. Krawczyk Irena 11329; 41. Jabłońska Stanisława 11319; 42. Kapłon Maria 11329; 43. Pietrzak Barbara; 44. Śledziejowska Stanisława 7712; 45. Pytlewska Barbara 7899; 46. Rekówna Izabella 11286; 47. Baj Zofia 7685; 48. Backiel Irena 7890; 49. Bień Leokadia 7861; 50. Bąbińska Bogumiła 7693; 51. Cabaj Maria 11306; 52. Czajkowska Stanisława 7864; 53. Grabowska Maria 7674; 54. Heger Helena 7896; 55. Plater-Broel Maria 7911; 56. Bielska



Jeden z kolosalnych stosów ciał ludzkich w Krepińskim lesie, które plonęły przez szereg miesięcy 1943 r.



Stół, na którym dokonywano sekcji zwłok w poszukiwaniu drogich kamieni i wrywano złote zęby.

Jadwiga 7922; 57. Czyż Krystyna 7708; 58. Andrzejak Wacława 7718; 59. Sienkiewicz Anna; 60. Buraczyńska Wojciecha 7926; 61. Gisges Jadwiga 7889; 62. Mann Eugenia 7873; 63. Mikulska Genowefa 7897; 64. Dzido Jadwiga 7860; 65. Michalik Pelagia 7918; 66. Marczevska Janina 7763; 67. Marczevska Władysława 7892; 68. Marciniak Janina 7910; 69. Michalik Stanisława 7907; 70. Piotrowska Halina 7923; 71. Modrowska Zofia 7681; 72. Szydłowska Joanna 7914; 73. Piasecka Helena 7927; 74. Sieklucka St.

zwracają się do P. Komendanta z zapytaniem, czy jest mu wiadomo, że w obozowym rewirze dokonywane są na politycznych Polkach bez ich zgody operacje doświadczalne, które powodują ciężkie okaleczenie ciała.

Dotychczas operowano 71 politycznych Polek, z tego 5 (pięć) w rewirze zmarło: Prus Alfreda 7657, Kraska Weronika 7672, Stefanowicz Aniela 7719, Kurowska Kazimiera 7670, Kiecol Zofia 7866.

Na zapytanie operowanych, dlaczego dokonywane są na nich tego rodzaju operacje, dr Fischer odpowiedział, że wszelkich informacji udziela miejscowi lekarze. Informacji tych dotąd nie otrzymaliśmy i chcielibyśmy wiedzieć, czy operacje te są przewidziane przez nasze wyroki, których treści nie znamy.

Zwracamy się z prośbą o udzielenie nam posłuchania lub odpowiedzi.“

Doręczono, lecz komendant przemilczał. Naturalnie na tę petycję do tej pory nie otrzymaliśmy odpowiedzi.

Tego samego dnia wezwano pięć innych, już operowanych, do rewiru. Jako operowane nie miały one podstawy niestawienia się do rewiru.

Grożono naturalnie daleko idącymi represjami...! Poszły więc, ale nazajutrz jedna z nich — Zofia Stefaniak — uciekła oknem, druga zaś — Zofia Sokólska — w rozmowie z lekarzem oświadczyła raz jeszcze, że na operację nie pójdzie — zostawiono ją w spokoju. Trzy pozostałe (w tym dwie nieletnie) zostały zoperowane. Wśród operowanych jest 12% nieletnich.

Tak wygląda historia pierwszego protestu, po czym nastąpiła dłuższa przerwa w operacjach...

18 marca siedem towarzyszek z transportu warszawskiego znowu zabrano na egzekucję. Przy tym już rano zawiadomiono, że nie mogą iść do pracy. Odeszły zaś dopiero podczas wieczornego apelu. Cały więc dzień były wśród nas ze świadomością bliskiej śmierci.

Bunt. Chociaż przyzwyczajone byliśmy do tzw. transportów w nieznane, wtedy jednak wzburzenie doszło do maximum, nie można było patrzeć biernie.

Jedna ze skazanych — Matyjanka Anna — zdecydowała się uciekać. Zbyt mało jednak było czasu, aby móc zorganizować jakąkolwiek pomoc.

Kiedy je wezwano, pomimo apelu szłyśmy za nimi. Tłum coraz wzrastał, to było zupełnie spontaniczne, wszystkie policjantki, ani nawet dozorcynie nie mogły sobie dać rady. Tłum przepędzony z jednego miejsca gromadził się w innym. Czekaliśmy, kiedy wyprowadzą z przebieralni.

Kiedy przyszedł ten moment, dozorcynie rzuciły się na nas, aby nas rozpędzić, biły, starały się schwytać najbliższej nich stojące, wtedy inne odbijały je natychmiast. W zamieszaniu poturbowano dozorcynie i pomimo wszystko dostałyśmy się w pobliże wychodzących koleżanek i odprowadziłyśmy je do bramy.

Szły spokojnie uśmiechając się do nas...

Była to prawdziwie nieprzeciętna, spontaniczna i żywiołowa manifestacja.

Nazajutrz podczas apelu dyrektorka przyszła do nas na blok 15 zapowiedzieć, że gdyby się jeszcze raz powtórzyła kiedykolwiek podobna historia, zastosowane będą do nas surowe kary. Potraktowane to będzie jako bunt i jako taki zlikwidowane.

Od tego właśnie czasu blok nasz, tzn. 15, jest uważany za blok „bandytek“ i „buntowniczek“.

Poza tym odtąd brano na egzekucję dużo ostrożniej i starano się zachować jakieś pozory.

Na początku kwietnia 1943 roku ogłoszono dobrowolne zapisy do fabryki porcelany do Karlsbadu. Z powodu małej ilości dobrowolnych zgłoszeń większą część wyłapano. Transport wynosił 109 osób (dużo z transportu warszawskiego).

W Wielkim Tygodniu dwie Polki pracujące w kuchni (Kuzon Irena i Dobrzyńska Stefania) uciekły z obozu przy pomocy tutejszych SS-manów, nie mając żadnego właściwie oparcia na zewnątrz prócz przypadkowo zdobytych kilku adresów w Berlinie, do korzystania z których nie były upoważnione. Osoby te jednak nie przedstawiały żadnych wartości. Specjalnych konsekwencji nie było prócz kilkudniowej kary parogodzinnej stania bloku kuchennego i aresztowania kilku ich koleżanek. Prawdopodobnie dotychczas nie są one złapane.

Po Wielkiejnocy przyszła wiadomość z Karlsbadu, że po kilkotygodniowym tam pobycie kilka naszych uciekło. Były to: Juraszek Rozalia (transp. radomski), Woźnicka Aniela (transp. warszawski) i Królówna Maria (transp. radomski). Ucieczka udała się pomimo obcego terenu i braku pomocy z zewnątrz. Groźnych konsekwencji na miejscu nie było. Wszystkie są bardzo wartościowymi jednostkami.

Od maja zaczęły się powtarzać coraz częściej transporty do fabryk amunicji: Veltera Centin, kilka transportów do Neu. Największy był w lipcu — 300 Polek, także do Karlsbadu i do Grünenbergu. Prócz Polek wywożono Ukrainki, Rosjanki, Czeszki. Początkowo na transport nie brano numerów od 7000 do 11000 — transporty warszawskie i lubelskie, później wycofano transporty lubelskie i dopiero w ostatnich do Karlsbadu i Grünenbergu wyjechało kilka z lubelskiego. Część jednak w dalszym ciągu odrzucono przez Urząd Polityczny.

Ostatnio transporty do fabryk ustały.

Łapanie. Okres tych „łapanek“ był wprost potworny. Polki ukrywały się, jak mogły i umiały. Niewiele to jednak pomogło, gdyż likwidowano nawet stałe kolumny wyjazdowe polskie zastępując je Cygankami. Badania w rewirze ograniczyły się tylko do oględzin powierzchniowych. Transportowano przeważnie w okropnych warunkach. Warunki pracy straszne.

15 sierpnia 1943 roku przysłano do bloku wezwanie do rewiru, jakoby wystawione przez Urząd Pracy, wzywając następujące koleżanki: 1. Babińska, 2. Karmańska Z., 3. Sokulska Z., 4. Michalik P., 5. Karolewska Wł., 6. Piotrowska H., 7. Karwacka H. (uprzednio operowane)

i zdrowe: 8. Piasecka H., 9. Sieklucka St. 10. Szydłowska J.

Wiedziały, że chodzi o operacje.

Wezwane oświadczyły, że z bloku się nie ruszą. Po pewnym czasie przyszła dyrektorka Bintz (urzęduje dotąd), kazano wszystkim wyjść z bloku, wyczytano nazwiska wezwanych i kazano im wystąpić.

Wystąpiły. — Dyrektorka b. zdenerwowana zapytała, dlaczego nie chcą iść. Odpowiedziały, że na operację nie pójdą, wolą śmierć i jeżeli mają wyroki śmierci, to żądają ich wykonania.

Wtedy dyrektorka zaczęła wywodzić bardzo mętnie, że to nie chodzi o operacje, że muszą iść do jej biura i tam pokaże im dokument, stwierdzający, że chodziło o wyjazd do fabryk.

Poszły. — Blokowi kazano się ustawić poza barakiem jak na apel i obstawiono go policjantkami.

Nowy bunt. Po pewnym czasie przybiegły one — uciekły z placu w obawie, że SS-mani z psami przybędą, aby wziąć je siłą. Zaraz też przyszła wzburzona ogromnie dyrektorka ze sforą policjantek (za murem ujadły psy specjalnie podjudzone). Kazała policjantkom szukać ich i wyciągać je z tłumu. Utrudniałyśmy w miarę możliwości.

W końcu jednak jedną wyciągnięto — wtedy wystąpiły wszystkie.

Dyrektorka z wściekłością zaczęła się pytać, dlaczego uciekły i że w ogóle Polki sobie za dużo pozwalają, za dobrze im się powodzi itd. Na to jedna z nich powiedziała: „Tak, tylko Polki są rozstrzeliwane i operowane.“

Dyrektorka odpowiedziała tylko zapisaniem numeru, tamtym zaś oświadczyła, że za nieposłuszeństwo i opór władzy zostaną aresztowane. Otoczone przez policjantki zostały odprowadzone natychmiast do aresztu. Nam kazano odejść do bloku.

Za pół godziny przyszedł adiutant Brauning i wygłosił taką przemowę:

„Blok XV jest blokiem zbuntowanym, powinien zostać wystrzelany, kilkadziesiąt karabinów maszynowych jest przygotowanych na wypadek powtórzenia się czegoś podobnego. Tym razem chce być jeszcze w stosunku do nas humanitarny!!! Daruje nam winę i tylko za karę blok ma zostać trzy dni zamknięty i całkowicie bez jedzenia.

Na to wystąpiło kilka z pytaniami, czy buntem można nazwać niepójście na operację, kiedy tyle już koleżanek zostało kalekami i dlaczego właśnie my jesteśmy poddawane operacjom, które zresztą miały być już skończone.

Pytania te wybitnie zmieszały go; odpowiedział twierdząc, że nic o tym nie wie, i pośpiesznie wyszedł.

Głodzenie. Trzy dni siedzieliśmy w zaciemnionym, dusznym bloku, słabe i chore mdlały, dostawały ataków serca, a kiedy po skończonej karze wyszliśmy po raz pierwszy na apel — oszołomione powietrzem mdlały masowo.

Potworne operacje. Tymczasem następnego dnia po wzięciu ich do aresztu zwieziono narzędzia chirurgiczne do aresztu i 5 koleżanek: Piasecką, Karolewską, Piotrowską, Sieklucką i Szydłowską zabrano z celi siłą i pomimo ich oporu przy pomocy dwóch SS-manów (kneblowano usta, przytrzymywano ręce i nogi) zaoperowano w bunkrze w ubraniach, bez mycia rąk.

W potwornych warunkach higienicznych, początkowo o chlebie i wodzie, pielęgnowane przez nieoperowaną koleżankę, leżały prawie dwa tygodnie, potem przeniesiono je do rewiru.

Te, których nie zoperowano, wypuszczono do bloku po dwunastu dniach. Operowane leżały dotychczas w rewirze.

Na każdej z nich dokonywano po trzy i cztery razy operacji. Wczoraj, tj. 5 listopada, Piotrowska i Sieklucka zostały operowane

po raz trzeci, a były przecież takie, które były operowane po pięć razy.

Potworność tego i całej gehenny operowanych nie wyobrazi sobie na pewno nikt, kto sam tego nie przeżył lub chociaż nie był świadkiem.

Cierpienia. Całe tygodnie nieprzytomne, w gorączce, ciągle trute morfiną, kiedy każdy opatrunek był jeszcze bardziej straszny niż sama operacja. Prócz straszliwych cierpień fizycznych przeżywały jeszcze tortury moralne (zdając sobie sprawę, do jakiego celu służą), nieraz pragnęły śmierci jak wybawienia, jedynym motorem tylko wstrzymującym nieraz od decyzji odebrania sobie życia było przeświadczenie, że muszą wyjść jako żywe dowody zbrodni. Jak przerażająca była śmierć tych pięciu koleżanek, które w straszliwych cierpieniach umierały z dala od bliskich, od ojczyzny, otoczone wrogami — umierały, użyte jako materiał doświadczalny dla ratowania niemieckich żołnierzy. Zresztą nikt na pewno nie zdoła opisać potworności tej zbrodni dokonanej w XX wieku przez naród, który uważa siebie za głóściciela kultury i cywilizacji europejskiej.

A teraz jeszcze kilka informacji co do sytuacji innych narodowości w obozie.

Niemek jest mało, przeważnie są to komunistki, które siedzą tu od początku. Poza tym

są asocjalne (noszą czarne trójkąty — przeważnie prostytutki), no i „czerwone“, ale nie polityczne, tylko za „miłość“ do obcokrajowców. Jeśli chodzi o Czeszki, jest część komunistek, przywiezionych w różnych okresach, około 300 osób stanowi transport, który przyszedł w maju 1941 roku — cała wieś Lidice od 96-cioletnich do 15-letnich kobiet. Od początku 1942 roku zaczęto przywozić Ukrainki (uciekinierki z robót); większe transporty: sierpień, wrzesień. Jest to element tak niekulturalny i dziki, że musiano je oddzielić od reszty obozu drutami. W marcu 43 roku przywieziono około 300 Rosjanek z frontu (sanitariuszki), tak zwana Czerwona Armia, mają osobny blok, chodzą bez trójkątów, zresztą stanowią element zdyscyplinowany i dość kulturalny. Ostatnio zatrudniono w rewirze kilka lekarek.

W lipcu przywieziono pierwszy transport Francuzek z Paryża, około 300 (element przeważnie niezbyt ciekawy). Holenderki dotąd przeważnie „biblie“, obecnie coraz więcej politycznych. Ostatnio spodziewany jest transport Włoszek.

W czerwcu także przyjechał duży transport Polek (około 500) z obozu Majdanek pod Lublinem, zostały jednak wkrótce przewiezione grupami do fabryk.

Historia ta nie jest wyczerpująca, niektóre fakty oświetlone są bardziej dokładnie z tego względu, że tylko my znamy je najlepiej.

A oto jeszcze kilka dodatków do historii obozu w Ravensbrücku. Prócz Polek operowane były także w 1942 roku: 3 Niemki, 5 Ukrainek, 1 Jugosłowianka i 1 Czeszka. Były to jednak osoby nienormalne lub nieuleczalnie chore.

Kadłub bez nóg. Kiedy po uśmierceniu dwóch Ukrainek lekarz naczelny zamknął pokój na klucz, przywieziono jedną trumnę (przez którą zajęły się tym siostry), więźniarki nie miały do tego dostępu. Opowiedziały więc o wszystkim szoferowi, który odwoził trupy do krematorium — nie chciał w to wcale wierzyć, później zaś opowiedział im, że w drodze otworzył trumnę i widział w tej jednej trumnie dwa kadłuby bez nóg.

Rysopis zgadzał się — były to operowane Ukrainki. Oto jeszcze jeden obrazek z rewiru; bardzo charakterystyczny: prof. Gebhardt obcięte nogi zabrał ze sobą do Berlina.

Branka do domów publicznych. Dnia 20. I. wezwano Polki polityczne przed władzę lagrową i ogłoszono, że mają się dobrowolnie zgłosić do domu publicznego dla żołnierzy.

Na to jedną z więźniarek, która powiedziała komendantowi: „Jesteśmy Polki polityczne

i prosimy, aby na przyszłość nie stawiano nam takich propozycji“, z miejsca osadzono w areszcie. Blok XV dostał na dwa tygodnie konfiskatę paczek i trzy dni bez obiadu, prócz tego zabrano żywność znajdującą się w bloku. W ogóle wydano cały szereg ostrych zarządzeń. W XV bloku jest teraz blokową Niemka-szpicel. Stosunki zmieniły się bardzo na niekorzyść. Jednak cała opinia obozu jest za Polkami. Zakrekwirowane paczki są przyjmowane tylko przez Niemki i volksdeutschki, inne narodowości odmówiły.

Premie. Od pewnego czasu wprowadzono w lagrze i w fabrykach, gdzie pracują więźniarki, premie w wysokości kilkunastu fenigów dla najlepiej pracujących. Odbiór premii każdorazowo potwierdza się własnoręcznym podpisem.

Część Polek odmówiła przyjęcia premii, motywując, że nie pracują dobrowolnie. Kwestia ta staje się coraz bardziej paląca, bo w stosunku do opornych stosuje się kary, np. przeniesienie do ciężkiej pracy.

My w każdym razie nie podpiszemy. Zresztą nam nie zapropnują, będą się bać zbiorowej manifestacji.

Lublin ma już wyrobioną opinię u władz obozowych.

Ostatnio przywieziono do lagru trochę Żydówek i z nimi sześcioro dzieci — najmłodsze dwa i pół roku. Dzieci te stoją tak jak my na apelach, które trwają do dwóch godzin.“

* * *

Historia Majdanka, Ravensbrücku i wielu innych koncentracyjnych obozów, skąd więźniowie odbywali wędrówki w „nieznane“, by po drodze w międzyczasie zginąć, zniknąć, zamieniając się w krematoryjny dym, jest czymś co, jak już na wstępie niniejszej pracy wspominałem, w swej „Boskiej Komedii“ Dante nazywał Piekłem.

„...Gehenny tej nie wyobrazi sobie na pewno nikt, kto tego nie przeżył lub chociaż nie był świadkiem.“

To trzeba widzieć!... Widzieć mękę i samemu odczuwać ból, dotykać ręką drgających w ostatnim tchnieniu konających ofiar; trzeba oddychać oparami krwi mordowanych skazańców, wchłaniać w siebie wyziewy krematoryjnych pieców, być stale szczutym zwierzęciem, aby nie tyle to wszystko zrozumieć — bo tego nie zrozumie nikt — ile zmysłami odczuć...

Dlatego też przy opisie tych potwornych faktów są zbędne wszelkie komentarze. Przejmuje jedynie zgroza...

* * *

W dn. 3. III. 1944 pisze nam z Majdanka więzień Żmigrod:

„B. Do nas do obozu przywieziono 200 kobiet rosyjskich żołnierzy, ostrzyżono je do goła, dano krótkie koszulki nie zakrywające genitaliów, a na to ubranie pasiaste. SS-manki traktują je źle — biją, kopią. Rosjanki opowiadają, że wzięte do niewoli rosyjskiej kobiety są traktowane zupełnie poprawnie.“

I znowu błyskawiczne zdjęcie...

„C. W barakach, w których zamknięto Rosjan przeznaczonych do transportu, był nieporządek. Schutzhaftlagerführer Thuman (obersturmführer) skrzyczał blokowego. Ten odpowiedział, że odmówili mu posłuszeństwa.

Thuman kazał wszystkim ustawić się i wezwał do zrobienia porządku — nikt się nie ruszył. Kazał pierwszym czterem — nikt się nie ruszył. Wyciągnął rewolwer i zmierzył do nich — bez skutku. Schował rewolwer i wycofał się jak niepyszny.

Tempora mutantur!“

List Żmigroda z dn. 3. III. 44

Godzę się z Panem, kochany Żmigrodzie, że czasy rzeczywiście coś niecoś się zmieniły, ale pomimo to jutro, dn. 13. III. 44, idzie do Oświęcimia, a może do Ravensbrück nowy transport

ośmiuset kobiet, nowa partia „doświadczalnych królików“ dla profesora Gebhardta.

Będą w nim zapewne obok Polek i innych narodowości wspomniane Rosjanki - żołnierze, o ironio, chronione tradycją i międzynarodowymi układami o dobrym traktowaniu jeńców.

Pojadą za kilka dni mężczyźni, w ogólnym planie „rozładowania Majdanka“, może do Buchenwaldu, by wdychać śmiercionośną siarkę, a może do Flossenbergu, by stracić wzrok...

Dnia 12 marca 1944, kiedy piszę te słowa czyniąc zadość życzeniu wielu więźniów — „bo warto je zachować dla dziejów majdankowskiej kaźni“ — jak jeden z nich się wyraził — znajdujemy się u schyłku „wieży Babel“, trzeciej „epoki“ w historii Majdanka.

Co przyszłość najbliższa znowu nam przyniesie?...

W pierwszej połowie marca, gdy nastąpiły niepowodzenia na południowym i środkowym odcinku wschodniego frontu — padł: Łuck, Tarnopol, Brody, wkroczyła armia sowiecka na tereny Rumunii — wśród Niemców w Lublinie wybuchła panika, zarządzono ewakuację na gwałt. Nadzieja i radość wstąpiły w nas — sądziliśmy bowiem, że przy szybkości posuwania się nacierającej armii sowieckiej nie zdążą Niemcy ewakuować Majdanka. Utwierdzała

nas w tym przekonaniu ta jeszcze okoliczność, że brakowało wagonów kolejowych, co w znacznym jeszcze stopniu pogłębiało chaos ewakuacyjny.

W kilka dni po tych wypadkach, przekonawszy się o trwałości wydanych przez Niemców zarządzeń, wystąpiliśmy do władz dystryktu i komendy obozu koncentracyjnego z propozycją przekazania pod opiekę Polskiego Czerwonego Krzyża chorych przebywających wówczas na Majdanku, prosząc jednocześnie o pozostawienie całego personelu lekarskiego i sanitarnego rekrutującego się z miejscowych więźniów.

Należy podkreślić, że sprawa była na jak najlepszej drodze i właściwie nawet przesądzona całkowicie po naszej myśli, skoro władze obozowe wydały zarządzenia o przygotowaniu na obozowe pola i baraki orientacyjne tablic z godłem i napisami P. C. K.

Ze wszystkich niemiecko - okupacyjnych czynników pomimo początkowo przychylnego ustosunkowania się oparło się jedynie Gestapo. Niestety wpływ tego czynnika był tak dalece decydujący, że po powrocie z Berlina szefa wydziału politycznego (Klopman) na Majdanku zapadła ostatecznie decyzja dla nas odmowna.



820.000 butów pozostałych po więźniach na Majdanku.



Urny obok krematoryjnych pieców.



Wejście do jednej z komór gazowych.

Zakomunikowano przedstawicielowi P. C. K., że niestety chorzy muszą odjechać z obozu, tym bardziej, że mają swój własny personel sanitarny.

Decydującą rolę w takim rozstrzygnięciu sprawy poza wstrzymaniem¹² się ofensywy sowieckiej odegrały nie jakieś względy zasadniczej natury, lecz jedynie ambicje.

Powiedziano wprost w Gestapo, że prestige Niemców na to nie pozwala, żeby okazując słabość mieli się oni zwracać o pomoc do Polskiego Czerwonego Krzyża.

Sprawa jednak była zbyt głośna chcąc ją więc załagodzić, przekazały władze obozowe pod opiekę P. C. K. w dniu 29. III. 44 r. czterdziestu chorych, z których w stanie bardzo ciężkim było osiemnastu, ponadto ze zdrowych zwolniono 110, o czym każda z zainteresowanych władz okupacyjnych nie omieszkła natychmiast zawiadomić P. C. K.

W tym czasie stan chorych na Majdanku był następujący: mężczyzn na V polu było około 2400 — w tym ponad trzystu w stanie bez nadziejnym; jeśli chodzi o dane ilościowe kobiet, to łącznie z ostatnim transportem 780 chorych z Ravensbrücku było na rewirze I pola około 1200 osób.

Pod względem narodowościowym poszczególne grupy stanowiły: Polki 270, Rosjanki 404,

¹² Piekło XX Wiek

Niemki 248, Czeszki 56, Francuzki 13, Belgijki 5, Norweżki 3, Litwinki 2, Luksemburg 2, Finlandia 1, resztę stanowiły Ukrainki, Cyganki itp.

Pomimo dalszych usiłowań P. C. K. w sprawie zwolnienia chorych i tłumaczenia, iż stan ich zdrowia na to nie pozwala, by mogli przebyć dłuższą drogę w głąb Rzeszy, trwającą nie raz ponad tydzień czasu — chwila odjazdu nieublaganie się zbliżała i wreszcie ku największemu naszemu smutkowi transporty zaczęły odchodzić.

W dniu 1 kwietnia 1944 r. odszedł pierwszy transport kilkuset dzieci do Łodzi.

Dnia 3 kwietnia 1944 r. wyjechali mężczyźni w liczbie około 1 500, w tym 1 200 Polaków do Alzacji — obóz K. L. Natzweiler Abholzostamt Rotau-Elsass.

W tym dniu przeprowadzono na Majdanku chorych mężczyzn w liczbie około 2000 z rewiru V pola na czwarte, przygotowując ich do odjazdu. Stan wielu spośród nich był ciężki; nic więc dziwnego, że po odbytej kąpieli i przymusowym przemarszu kilkudziesięciu zmarło od razu.

Dnia 6. IV. 44 roku z III pola odjechał duży kilkutysięczny transport mężczyzn do K. L. Gross-Rosen über Striegan Schlesien. Ten naj-

większy transport składał się z najbardziej wartościowego elementu polskiego.

Na usilne kołatanie P. C. K., by na Majdanku pozostali przynajmniej najciężej chorzy mężczyźni i chore kobiety, w dniu 7. IV. 44 zaproszono nas do obozu, gdzie lekarze niemieccy oświadczyli nam, że niestety na skutek otrzymanych rozkazów wszyscy chorzy muszą opuścić obóz.

Gdy siedzieliśmy w gabinecie dra Blankego, samochód za samochodem, tuż koło naszych okien, odwoził chorych na stację, gdzie ich ładowano do hydłących wagonów.

Odjechali tegoż dnia 7. IV. 44 do Oświęcimia: K. L. Auschwitz Ob. Schlesien, Postamt 2.

W Wielką Sobotę przewieziono platformami taboru P. C. K. chorych mężczyzn (około 400) w stanie bardzo ciężkim z V pola na IV.

Odjazd ich nastąpił w dniu 13. IV. 44 r. wraz z częścią kobiet, w tym było czterdzieści osób personelu sanitarnego na czele z dr Perzanowską. Odjechali do Oświęcimia.

Ambicja rzekomo nie pozwalała zwyrodniałcom gestapowskim, by chorych tych przekazać pod opiekę Polskiego Czerwonego Krzyża — a w istocie bali się pozostawienia tych żywych dowodów dokonanej zbrodni, pochodzących z różnych „piekieł“ koncentracyjnych obozów „Wielkiej“ III Rzeszy.

Ostatni transport kobiet odszedł do Ravensbrücku w dniu 19. IV. 44 r.

Oto smutny obraz odjazdu tego transportu, opisany przez przedstawicielki P. C. K. (Zofię Orłowską i Leonardę Kiwerską) — które w imieniu naszej instytucji żegnały odjeżdżające, a tak naprawdę kochane przez nas więźniarki.

18. IV. 1944. „W południe dano znać, że we środę można posłać bezimienne paczki dla kobiet. Gorączkowe przygotowania i telefony do piekarni, żeby chleb i bułki były wypieczone na południe. Zaraz część pracowników zabiera się do ważenia i pakowania masła i cukru na porcje.

Wiemy, iż pozwolenie wysłania bezimennych paczek raz jeszcze oznacza, że przygotowują transport — ale kiedy pojedzie? Nie we środę w takim razie, bo nie dopuszczonoby nas na teren obozu.

Organizuje się drużyny przy pakowaniu. Ochotników tylu i robota idzie tak sprawnie, że ci, którzy zjawiają się na nocny dyżur, zastają już prawie 700 paczek gotowych i zamiast pakować całą noc — kończą paczki już o dziesiątej.

Środa 19. kwietnia 1944 r. Paczki pojechały na Majdanek rano. — Przychodzi jedna z pań i zapewnia, że transport już poszedł na

stację towarową — zawiadomiono ją o tym telefonicznie. Trochę nie dowierzamy, bo tyle różnych plotek z miasta znoszą ludzie do P. C. K., a przecież paczki pozwolono posłać. Prawie jednocześnie telefon od Jurka (urzędnika P. C. K. utrzymującego stały kontakt z obozem), że nie zastał już kobiet na Majdanku i jedzie wobec tego z paczkami na dworzec towarowy. Decydujemy się jechać.

Prędko opaski P. C. K. na ramię. — Bierzymy na wszelki wypadek (!) papierosy i wódkę i pędzimy łapiąc po drodze dorożkę.

Ściśnięte serca mamy — każda ma tam bliskich albo znajomych, zresztą wszystkie są nam bliskie, tyle się uczucia włożyło w tę pracę, a teraz już koniec, nie dane nam będzie troszczyć się o nie i pomagać.

Jaki los je czeka, gdzie jadą — nawet tego nie wiemy. Na ulicy Krochmalnej widzimy już grupki ludzi — to rodziny, które śledziły ruch w obozie i przyszły choć z daleka popatrzeć na swoje córki czy siostry. Przez pierwszą bramę widzimy stojące na pierwszym torze wagony, idziemy drugą bramą na wprost cukrowni, niepewne, czy nas dopuszczą blisko wagonów. Widzimy, jak SS - manj przepędzają kilka kobiet, które weszły na teren stacji — idziemy spokojnie dalej — opaski P. C. K. pomagają.

Słychać stukot młotków, widocznie kończą przybijanie krat.

Dochodzimy do wagonów. Choć wiemy, jak wyglądają transporty, wzbiera w nas oburzenie i bunt, że można obchodzić się z ludźmi, a tym bardziej z kobietami, jakby były dzikimi, niebezpiecznymi zwierzętami. Wagony bydlęce podzielone na trzy części kratą z drutu kolczastego na drewnianej ramie, w wolnej przestrzeni we drzwiach stoją uzbrojeni SS-mani. Po obu stronach do krat cisną się więźniarki. Są w nowiutkich pasiakach, mają białe chustki na głowach. Wyglądają dobrze.

Idziemy wolno szukając ukradkiem oczyma znajomych twarzy. Przed wagonami stoją żołnierze, więc blisko podejść nie można. Dostrzegamy wreszcie platformy P. C. K. z paczkami — żołnierze stojący przed wagonami przerzucają podawane im paczki do wagonów.

Na platformie gospodaruje Lucyna, która znalazła swoje znajome; pokrzykują sobie pozdrowienia i słowa otuchy.

Pomagamy przy rzucaniu paczek, w zamieszaniu udaje się dać i imienne, a oczami rozmawiamy z szeregiem cisnących się do krat.

Ostatnie wagony to Ukrainki. Im także dajemy paczki, ale jeszcze zostaje, więc nawracamy i jedziemy wolniutko wzdłuż wagonów, dorzucając do każdego po kilka. Przy wagonie,

gdzie są przeważnie „Pawiaczki“, Lucyna znów próbuje rozmawiać, ale dopada z wściekłością podoficer, który ma słuszne podejrzenie, że Lucyna nie należy do personelu P. C. K. i chce się nas jak najprędzej pozbyć. Pani L. z całej ty-rady wygłoszonej do niej nic sobie nie robi i z platformy nie schodzi.

Wołamy do każdego wagonu: Szczęść Boże!
— Niech Bóg prowadzi!

Odkrzykują nam pozdrowienia. Widzimy tylko te, które stoją tuż przy kratkach, reszta jest niewidoczna.

Dojeżdżamy do końca wagonów, ale pod pretekstem, że tam wyjechać nie możemy, bo druga brama to szyny (bocznica do cukrowni), jeszcze raz przejeżdżamy wolniutko wzdłuż wagonów mimo zżymania się różnych „psów.“

Bliżej muru przechadza się tam i z powrotem wystrojona, tęga blondynka z oficerem SS — to żona komendanta obozu, która w łaskawości swej przyniosła paczkę dla jednej z więźniarek.

Patrzymy tęsknie raz jeszcze na szeregi twarzy przy kratkach. U kobiet z ludu więcej rezygnacji, dużo twarzy zapłakanych, ale niektóre posiadały na garstce słomy i już zajądają. Większość jednak kobiet z inteligencji. Wiele spośród nich stoi milcząc przy kratkach, w oczach ich maluje się smutek bezgraniczny — to prze-

ważnie starsze. Młode są raczej w nerwowym podnieceniu, śmieją się do nas, pokrzykują, nucą obozowe piosenki. Tyle ładnych, dorodnych i nawet w pasiakach wyglądają wytwornie.

Nasuwa się myśl - pytanie, jaka postawa jest najtrafniejsza, która da moc przetrwania — czy najwięcej szans mają te zrezygnowane, czy te bojowe, które jakby sobie nic nie robiły z drutów, z żołdaków, uzbrojonych po zęby?

Nie mając już pretekstu do zostawiania dłużej, wyjeżdżamy z terenu stacji na Krochmalną, schodzimy z platformy, ale nie możemy się zdecydować, by już odjechać.

Wzdłuż muru coraz więcej osób, przeważnie matki więźniarek. Niektóre ustawiają sobie przy murze schodki z kamieni i w ten sposób mogą jeszcze patrzeć i porozumiewać się z córkami. Ktoś sprokurował sobie nawet drabinkę.

Nasza dorożka także okupowana przez kilka pań. Idziemy wzdłuż muru, nie zdecydowane, co robić — podchodzi tymczasem Jurek mówiąc, że w niektórych wagonach nie ma wiader, więc żebyśmy się o nie postarały i przez to mogły jeszcze wejść na stację.

Rozbiegamy się po terenie cukrowni w poszukiwaniu wiader i za chwilę wchodzimy znów na stację — po drodze jakieś kobiety dają nam jeszcze paczki z prośbą o doręczenie.

Podchodzi do nas oficer SS i grzecznie zapewnia, że już nic nie potrzeba, że wiader brakowało, ale już są przywiezione z obozu, że przecież nie bronili Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi doręczyć paczek itp. Prosimy więc, by wolno było jeszcze kilka doręczyć, ale odmawia mówiąc, że nie możemy ręczyć, co paczki zawierają. Nie pomaga zapewnienie, że to tylko żywność, bo twierdzi, że żywności na trzydniową podróż jest aż za wiele. Widzieliśmy rzeczywiście jeden wagon naładowany jakimiś workami.

Wycofujemy się więc z żalem, że nie udało się podejść jeszcze raz do wagonów.

Za bramą dopada nas zdyszany podoficer i mówi, że wiadra jednak weźmie, bo w kilku wagonach są dziurawe. Pochyla się i szeptem mówi:

„Jadą do Ravensbrücku! Niech się panie nie martwią — nie będzie im źle, będą pracować w ośmiogodzinnych zmianach w przemyśle zbrojeniowym.“

Pociecha niewielka; ludziliśmy się wersją, że transport pojedzie do Radomia albo do Płaszowa, gdzie łatwiej pomoc mogłaby dotrzeć.

Pytamy, czy na pewno transport idzie do Ravensbrücku — odpowiada, że jest zupełnie pewny, bo był przy załatwianiu formalności.

Jeszcze jeden transport ofiar do makabrycznej doświadczalni. Co je tam czeka...

Widząc, że nie uda nam się raz jeszcze dostać na stację — wracamy do miasta.“

Transport odszedł tegoż dnia o godzinie 6 wieczór.

Do Ravensbrücku dojechały szczęśliwie bez zadnych „udziwień“. Część więźniarek, jak dowiedzieliśmy się później, została wysłana do Lipska na roboty w miejskich ogródkach.

Był to ostatni transport z koncentracyjnego obozu pod Lublinem, zwanego pospolicie Majdankiem.

Za drutami na polach, gdzie przebywało przeciętnie po kilkadziesiąt tysięcy więźniów, pozostało zaledwie 85 Polaków i 120 z innych narodowości, przeznaczonych do porządkowania baraków.

Pomoc wszechstronną tym wszystkim więźniom w dalszym ciągu niósł Polski Czerwony Krzyż.

Na tym zakończył się trzeci okres w historii majdankowskiej, „wieży Babel“.

R o z d z i a ł X I.

MAJDANEK KRWAWIĄCĄ RANĄ SPOŁE- CZEŃSTWA POLSKIEGO

Już na wstępie opisu majdankowskiej kaźni powiedziałem, że „Majdan Tatarski Kriegsgefangenenlager obozem na Majdanku pospolicie zwany — wrył się jak rana ropiejąca, straszna w duszę Polaków.“

Były nieszczęścia, były kataklizmy, których los dziejów nie oszczędził Polakom, nie były one jednak tak potworne w bestialskich metodach swoich wykonawców, jak ostatnia totalna wojna XX wieku.

Wyzwolona ze wszelkich więzów bestia niemiecka poczęła szaleć...

Barbarzyński najeźdźca chcąc zniszczyć naród w pień wycinał wsie i gminy, niszczył całe powiaty; mordował na zimno, masowo, według ustalonego z góry planu; palił, zabijał, morzył głodem, truł gazem, rozrywał rodziny, wtrącając niewinnych na męki do więzień i za kolczaste druty koncentracyjnych obozów.

Polski Czerwony Krzyż w Lublinie jest w posiadaniu tysięcy listów, w których oderwani od domów członkowie rodzin szukają w rozpacz: zaginionych, ukochanych, najbliższych... częstokroć dzieci i niemowląt.

Wymowa tych listów to jeden wielki, wprost druzgocący niezbitością faktów akt oskarżenia. Listy te są jednocześnie krzyczącą skargą krwawiących serc, w bezsilności wołających o pomoc...

Chcąc złamać więźniów i terrorem psychicznym zgniebić patriotyczną postawę społeczeństwa, uniemożliwiono porywanym: z domów, ulic i pól nieszczęśliwym więźniom komunikowanie się z zewnętrznym światem, z najbliższymi.

Pozbawiono ludzi XX wieku, z tej i tamtej strony więziennych drutów, jednego z największych dorobków współczesnej cywilizacji — korespondencji; pozbawiono ich koniecznej dla duszy ludzkiej możliwości wzajemnych wynurzań i dzielenia się przeżyciami.

Tak było na Majdanku.

O listach idących oficjalną drogą, przez cenzurę, niewiele można mówić, tak one były ubogie w treść.

Więzień, najbliżsi, rodzina, chcąc przesłać parę treściwych słów, musieli szukać innego wyjścia.

Symbolem epoki koncentracyjno-więzienych czasów, które opisuję, stał się „gryps”. Mały, na cienkim papierze drobnym maczkiem zapisany, w większości wypadków z trudem czytelny świstek papieru.

Spragnieni tej „duchowej strawy” stanęli jednak w obliczu tak wielkich trudności, jak w czasach odległych starożytni, a potem ludzie średniowiecza.

Poczta, ten normalny środek komunikacji istniejący od kilku wieków, ze względu na kolosalne niebezpieczeństwo ewentualnej „wsypy”, pociągającej za sobą możliwość śmierci obu stron, musiała z konieczności odpasć.

I stało się to, co w podobnych wypadkach zwykle się dzieje — wrócono do dawnych sposobów i starych dróg. W miejsce rzymskich tabelarii, pamiętających czasy Ciceronów, w miejsce „latających posłańców” wyższych uczelni, miast wędrownych mnichów noszących w zanadrzu ukryte listy-wieści od klasztoru do klasztoru na cały chrześcijański świat — powstał nowy ofiarny „goniec XX wieku” noszący „grypsy”, by podtrzymać pajęczą nić łączącą dwa przemocą wroga rozdzielone światy.

Mówiąc o „gońcach XX wieku” mam na myśli tylko tych, którzy w głębokim zrozumieniu posłannictwa misję swoją spełniali bezinteresownie...

Dzięki nim listy-grypsy kursowały idąc z Majdanka i z powrotem we wszystkie części Polski, nawet za prowizorycznie stworzone kordony. Ile tkwiło niebezpieczeństwa w tych „grypsowych drogach“, obstawionych zwykle z największą roztropnością, ukaże podana dla przykładu jedna z „niespodzianek“.

Nagle rozległ się z Majdanka ostrzegawczy S. O. S.! „Pasiaczka“ zgubiła gryps — trafił do rąk SS-manów. Domyślili się z pierwszych liter imienia, że pisano do Wandy, z treści zaś wynikało, że pisała matka mieszkająca prawdopodobnie w Warszawie.

Padł rozkaz: „Wezwać wszystkie Wandy, których matki mieszkają poza Lublinem“. Jest takich dziesięć. Dochodzenie w toku! Dać zagrożonym matkom i rodzinom znać...

Tak brzmiała lakonicznie groźna wiadomość.

Zadanie do spełnienia było rzeczywiście arcytrudne, nawet na przeolbrzymiane nieraz możliwości P. C. K.

Na domiar złego na kilka dni przed tym wypadkiem zabroniono Polakom w kraju korzystać ze wszelkich środków komunikacji: poczty, telefonu, telegrafu, kolei, samochodów.

Co zrobić? — a trzeba było działać szybko — dochodzenie trwa...!

Ukryto przede wszystkim w Lublinie jedną z matek, która przyjechała z Warszawy. Do rodzin pchnięto lokomotywami gońców wyzyskując w tym celu patriotyzm polskich kolejarzy.

Działano szybko — chodziło o to, kto będzie pierwszy: goniec dający rodzinie znak ostrzegawczy, czy niemiecki siepacz z rozkazem aresztowania.

Gdy w międzyczasie gońcy chlubnie spełniali swój obowiązek, na Majdanku łagodzono „podziemnymi drogami“ SS-manów, zamraczając ich mózgi „koicielką cerberów“ — litrami wódki.

W jednym z rzadkich u nich przebłyśków trzeźwości, uznali wreszcie, że wszystko jest nieważne — po prostu „Sch...!“

Niebezpieczeństwo minęło — zostało w porę zażegnane. Więźniarki odetchnęły...!

Nie zawsze jednak tak bywało. Zwykłą koleją rzeczy „winni“ dokonanej nielegalnej korespondencyjnej „zbrodni“ w obozie szli na szubienicę, umierali pod razami knutów, a członkowie rodzin, gdy nic i do nich doszła, powiększali zastępy „niebezpiecznych“ więźniów.

Chcąc zakończyć opis akcji grypsowej, należy dodać, że koło „centralnej agencji grypsowej“ P. C. K. grupowało się wiele innych, prowadzonych przez ofiarnych działaczy, będących w stałym kontakcie z Czerwonym Krzyżem. Bez przesady należy z dumą stwierdzić,

że całokształt tej pracy tworzył szeroko rozwiniętą sieć podziemnej poczty spełniającą swoje zadanie, jak na niesłychanie trudne warunki, w których się działało, bez zarzutu.

Przechodząc z kolei do oceny roli, jaką spełniały poszczególne rodzaje korespondencji majdankowskiej, dla ułatwienia uszereguję je w miarę wzrastającej doniosłości. Nie ulega wątpliwości, że i zwykły oficjalny list czy karta robiły swoje. Niestety na przeszkodzie stało jeszcze to, że pomimo przyrzeczeń, dawanych Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi, zezwoliły władze obozowe w rzeczywistości na pisanie zaledwie raz na miesiąc, i to nie zawsze, i nie wszystkim.

Chcąc zaradzić temu P. C. K. przeforsował na Majdanku wysyłkę pocztówkowych kartek ze specjalnym nadrukiem w języku polskim, gdzie cenzura poza opieczętowaniem nie miała nic do zrobienia.

Pocztówki takie miały do spełnienia i w całej rozciągłości spełniły trzy zadania:

Przede wszystkim chodziło nam o utrzymanie łączności, by rodziny miały od więźniów jak najczęściej znaki życia.

Po drugie chodziła o to, by każdy więzień otrzymaną paczkę mógł taką pocztówką kwitować. Poza daniem znaku życia o sobie była ona jednocześnie doskonałą kontrolą sprawności



Ostatnia obsługa krematorium wystrzelana przed ucieczką Niemców.



Głębokie rowy, w których rozstrzeliwano więźniów.



Zwały pomordowanych więźniów w celach zamku Lubelskiego.

w dostarczaniu paczek adresatom. Z małymi może wyjątkami wszyscy mieszkańcy obozu kwitowali w ten sposób każdą przesyłkę.

Jako przykład podaję w pełnym odpisie list jednego z ojców:

Terpiłowski Zygmunt
Bergemünde b/Modlin
Hauptstrasse 13 z. 3

Dnia 12. II. 1944 r.

Do
Zarządu Polskiego Czerwonego Krzyża
w Lublinie

Uprzejmie dziękuję Zarządowi P. C. K. za wzorową i solidną Jego pracę. Bo od czasu kiedy zacząłem wysyłać paczki na adres P. C. K., to mój syn Jerzy Terpiłowski urodzony 13. I. 1920 roku w Warszawie (Nr. 1515), który obecnie przebywa w obozie Konz.-Lager w Lublinie, przysyła mnie pocztówki-pokwitowania na każdą paczkę, wysłaną przeze mnie, za co raz jeszcze najuprzejmiej dziękuję.

Kreślę się z poważaniem

Terpiłowski

Największą trudność do pokonania miał P. C. K. z wyszukaniem nowoprzybyłych osób. Mieliśmy wprowadzić nielegalny dostęp do kartotek, umożliwiający w każdej chwili sprawdzenie, kto przybył na Majdanek — trudność jednak tkwiła w zawiadamianiu rodzin.

Nie mieliśmy podstawy prawnej do takiej korespondencji. Na wypadek zaś ujawnienia wobec władz nie mieliśmy żadnego tłumaczenia, skąd mamy nazwiska nowoprzybyłych. I na to wszystko doskonałym sposobem okazały się te drukowane karty.

Przy pomocy „podziemnych“ kontaktów każdy z przybyłych do obozu więźniów otrzymywał taką kartę i wysyłał do rodziny kwitując rzekomą paczkę, której oczywiście nie otrzymał.

Tego już straż dojść nie mogła, zresztą niejednokrotnie to się działo za cichą zgodą niższych obozowych władz.

Nic więc dziwnego, że takie pokwitowania mogły wprowadzić w zdziwienie odbiorców-rodziny.

Oto przykład:

Warszawa dn. 15. II. 1944

Do Polskiego Czerwonego Krzyża w Lublinie

Zwracam się z uprzejmą prośbą o wiadomość o moim bracie Stanisławie Gajczaku ur. 1. VIII. 1902, synu Stanisława i Łucji.

Ostatnio przebywał jako Schutzhaftling w Dachau. Adres ostatni St. G. Nr. 37335 Blok 29, Stube 2 Dachau 3 k.

Tymczasem 10. II. br. nadeszła kartka-druk: „Jestem zdrow“ — z podpisem i pieczętką P. C. K. Lublin.

Proszę o adres, warunki korespondencji i ewentualne dane co do przesłania lub doręczenia paczek z bielizną względnie żywnością.

Na odpowiedź załączam znaczek i gotów jestem pokryć ewentualne koszty z tym związane lub przyjechać do Lublina.

Z poważaniem

Kazimierz Gajczak

Warszawa, Żąbkowska 50/15

Na pocztówkach celowo była umieszczona okrągła pieczętka P. C. K., umożliwiającą zainteresowanym zwrócenie się do nas po dalsze informacje.

Że pocztówki wysyłane przez P. C. K. spełniły swoje zadanie doniosło, tego najlepszym dowodem może być ich ilość: wysłano na przestrzeni ośmiu miesięcy takich pocztówek 83682.

Z kolei poświęćmy parę słów bogatej treści „grypsów” — temu najważniejszemu rodzajowi korespondencji obozowej.

Listy te pomimo nieraz pięknej treści nie są bynajmniej dziełami sztuki mogącymi wzbogacić dorobek naszej literatury na wzór listów Cicerona, Fenelona lub innych.

Są one skromną, ale jakimż wielkim bólem nabrzmiała rozmową skolatanych serc.

Zwłaszcza listy do dzieci są po prostu prześliczne ciepłem i delikatnością uczuć matczy-

nych. W innych przebija wielka tkliwość koleżeńskich uczuć.

Są one dalej świetną wymową psychicznych przeżyć, w której miłość najbliższych idzie w zawody z największym poświęceniem. Gdzieniegdzie jakiś mały szczegół z osobna nie przedstawiający większej wartości historycznej, razem jednak w splocie z innymi faktami tworzy ciekawe i doniosłe tło do poznania przeżywanego dziejów.

Z tych też względów nie są one obojętne dla poznania historii już nie tylko Majdanka, lecz przeżyć i martyrologii całego Narodu Polskiego.

Wiedziony pragnieniem ułatwienia czytelnikowi poznania tych niezaprzeczalnych dokumentów czasu, podaję w trzech rozdziałach ich wybór.

LISTY Z MAJDANKA

Jedyny mój!

Każdą moją myśl, każdą modlitwę, pracę, wszystko poświęcam Tobie. Nie myśl o smutku, pamiętaj, że miłość nasza przetrwa wszystkie cierpienia. Przesyłam Ci tylko uśmiechy i najtkliwsze słowa. Kocham Cię najszczerzej, pochłaniasz mnie całą, przepelniona jestem Tobą.

Czekam na słoneczne dni pełne takich słów i spojrzeń. Nadejdą stokroć promienniejsze niż nasze majowe, na pewno!

Rozmawiałeś z inż. Piaseckim (od p. Kamor mojej koleżanki) — pomoże Ci.

Mężulku Ukochany! nasze Mamy są najwspanialsze. Całuję Cię najmocniej i czekam na znak od Ciebie.

Uśmiecham się, jak żądasz, nie płaczę...! Wierzę w moc Boga i miłość Twoją.

X...

Córeczko Najmilsza moja!

Znów kartkę dołączam, bo ta pierwsza jeszcze nie odeszła. O mnie, córuś, nie martw się i nie kłopotcz — ja nieraz myślę, że nam tu jest lepiej niż Wam tam pod pewnymi względami. Przede wszystkim już nam nie grozi zaareztowanie, poza tym żadnych kłopotów mieszkaniowych, zajęcia mieszkania itd. Brak wygód? — to na prawdę głupstwo, do którego łatwo przywyknąć. Im dłużej się siedzi, tym bardziej robi się człowiek odporny, a na niektóre rzeczy obojętnieje. Wiem, że w zeszłym roku każda awantura i wymyślanie „naszych opiekunów“ kosztowało mnie dużo nerwów, a dzisiaj nic a nic mnie to nie wzrusza. Tym bardziej, że wiem, że te ich krzyki i wymyślania (najczęściej po pijanemu) są zupełnie bez konsekwencji, bo na drugi dzień przechodzą nad tym do porządku dziennego. Tak, że nie zamartwiam się o mnie, Dziecino, bo Ty pewnie myślisz, że te 16 mie-

sięcy to każdy miesiąc jest gorszy — nie, Kochanie, przywyka się i tępieje się na masę rzeczy. Najgorsze i jedyne naprawdę ciężkie to jest tylko tęsknota. Ale to przeżywasz tak samo mocno Ty, Dziecino, jak i ja. Posyłam Ci jeszcze jedną pieśń obozową, która mówi, że im dłużej tu się jest, tym bardziej się przywyka do tych warunków. Nie stawiaj sobie, córeczko żadnych dat i żadnych terminów; wierzymy, że kiedyś skończy się to na pewno. Zima już po za nami, to też ważne. Czy nie wiesz, co z Wujciem? Pozdrów serdecznie Wuja Heńka, jak mu się powodzi? Cioci Władzi łączę też serdeczne pozdrowienia. Ciebie najmilszy mój, jedyny skarbie, tulę i pieszczę i pod Boską Opiekę oddaję. Myślą i każdym drgnieniem serca z Tobą zawaze.

Twoja Matka.

Gdy obóz ujrzałam,
Zapału nie miałam,
Każda z nas to zna.
Mijają miesiące,
Ja siedzę bez końca
I wciąż wojna trwa.

Dziś nastrój mam lepszy,
To winno powietrze
I ten piękny czas.
Niech słabi łzy leją.
My żyjmy nadzieją
I śpiewajmy wraz:

Po miesiącu pierwszym masz się lepiej,
Po miesiącu drugim humor masz,
A po trzecim wołasz: „Obóz krzepi!“
A po czwartym ciągle jeszcze trwasz.
Po miesiącu piątym wciąż się trzymasz,
A po szóstym jeszcze nie jest źle,
Tak przemija lato, jesień, zima,
A Ty wciąż wesoło śmiesz się.

Jasiuleczek!

18. III. 44

Przed wszystkim bardzo proszę, abyś do każdej paczki dołączyła karteczkę tak, jak umówiliśmy się. Pierwsza przyszła doskonale, ale w ostatniej paczce nie było nic. Ja wiem, że Ty jesteś zagoniona, że nie masz czasu, ale napisz chociaż parę słów, że jesteś zdrowa i wszystko w porządku. Zaraz będę spokojniejsza, bo się człowiek o Was wszystkich ciągle niepokoi. Mówią, że w ostatnich dniach w Lublinie były masowe aresztowania — czy to prawda? U nas wszystko jak dawniej. Czuję się dobrze i pracuję normalnie. Pogoda pod zdechłym psem, ale myślę, że się poprawi. Idzie dzień za dniem i ciągle tylko czekam końca. Nie robię sobie żadnych nadziei i żadnych nie stawiam dat, ale myślę, że to już chyba ostatni rok tej makabry.

Całuję Ciebie i Twoich jak najmocniej

Wasza Matka (W. Perzanowska)

Mamuśki obydwie Najmilsze!

Ręka mi drży, gdy piszę do Was, bo serce się rwie i krzyczy tysiące słów najczulszych, najtkliwszych. Z hiacyntu stojącego przede mną scelowuję wasze pozdrowienia, myśli... Czy wiecie, co znaczy kwiat między drutami? Wolnościowy kwiat? Nie przyniesiony pod pasiakiem ze strachem przed rewizją, nie dar koleżanki, a kwiat, który jest Wami. Mamuś, patrzyłaś na niego, dotykałaś zaledwie wczoraj. I wchłonął w siebie wszystkie Wasze słowa, by mi powiedzieć o Waszej miłości, by mi rzucić słowo: Matka... Wprawdzie u niejednej dziewczynki wzbudził żal, co sprawiło mi przykrość, gdy jedna zawołała: Szczęśliwa, ma aż dwie Matki! To Masia, moja szkolna koleżanka, która straciła Mamusię. Boże! Gdyby tylko wymodlić zwolnienie Czesława... czy obiecują coś, czy macie nadzieję? Myślałam, że ja odsiedzę za wszystkich najbliższych. Mamusiu II, jeżeli dostałaś poprzednie listy, to wiesz, jak wdzięczna Ci jestem... Jesteś u nas podziwiana, Mamo II, za takie dowody sympatii, mimo że cierpisz... Dlaczego nie piszecie? Przecież prawie nie oglądają paczek, dawny sposób jest niezawodny. A poza tym można zrobić podwójne dno w dużym pudle, gdzie wszystko przychodzi dzięki opiece Boskiej nie wpada. Czekam, Droga Moja, na list dawnym sposobem przysłany. Dopóki jesteście,

proszę o odpowiedź przez p. R. do Alinki, która mi odda natychmiast. Koniecznie! Czekam! Napiszcie mi wszystko o Czesławie, o co pytali, co pisze. Posłać mu trzeba: bieliznę, skarpetki, mydło do golenia i in. przybory higieniczne; jeżeli udałoby się, to np. gotowanej fasoli, aparat do golenia, dużo tłuszczu, bo tam nie przydziałowego się nie jada. Poślijcie zastrzyk przeciwtyfusowy plamisty, to wiem od osób siedzących tam. Czy jemu także posyłałyście kwiat? Wiem, że można, więc koniecznie. Nie, wy nie wiecie, co to jest za radość otrzymać żywy kwiat z domu. Paczka jak zwykle pyszna. Przyślij mi także ze dwa zeszyty i ołówek i kostki Maggi. Jeżeli przyjdzie ode mnie z listem jakaś pani, to poznajcie ją i ona nauczy wysyłania wszystkiego w paczkach, to jest nasz Dobry Duszek i Opiekunka-Klara, w przyszłym tygodniu będzie u Ciebie w W-wie. Teraz wysyłamy pokwitowania na paczki. Co słychać u Władzi? Cemu nie piszecie, karty pocztowe dochodzą. Proszę o zdjęcie Władzi, papy, Madzi, Mamusi II, Hani Cz., bo chciałabym mieć Was przy sobie, gdybym wyjeżdżała stąd. Na razie przez tydzień będzie spokój, bo ostatni transport odjechał niedawno. Wszędzie przeżyję, byle mieć pewność, że czekacie na mnie i Czesław. Gdybyś wiedziała, Mamo, jak mi jest ciężko chwilami, żyć mi się nie chce, mnie, która tak dużo biorę

z niego, dla której każdy dzień jest radością, chociażby ciężki był. Ale te są zbyt ciężkie i złe, Mamuś Najmilsza. Ale wierzę w Jego szczęśliwą gwiazdę. I w moc Boga. Zaniosę ofiarę świętą na Jego intencję. Czy pamiętasz o 17. III — rocznica śmierci Wojtaska, módl się za nią, Mumuśku, i napisz do Papaszy, a także życzenia imieninowe 19-go. Czy Papa pisał? Co u Mrówkojada? Jak z Joasią i Basią? Czy Wydraczi nie żenią się? Napisz ploteczki. Alina Switowska wyszła za Alinki P. kuzyna (który zresztą darzył sympatią Al.) Jesteśmy ciekawe, co u nich słyhać. Podobno Ali dziecko umarło, jak ich pożycie, napisz, jeśli zobaczysz się z doktorową — jesteśmy szalenie ciekawe. A może wpadniesz do niej, tylko nie mów, że specjalnie z tym...

U nas życie bez zmian, jak zawsze nerwowe i jak zwykle nie przejmujemy się. Jeżeli przeżywamy coś głęboko, to tylko zmartwienie o Was. Do „udziwień“ codziennych przyzwyczailiśmy się, Mamuś, nawet śmierć w szpitalu nie robi wrażenia. Naturalnie to przyzwyczajenie opanowywania się, bo wewnątrz każdy nerw skacze. Ale cóż tam zmartwienia, nie warto pisać, teraz moje zmartwienie i rozpacz to Czesław. Moja rodzinka chce się dopisać, więc Ci napiszę trochę o niej. Otóż gospodarstwo mamy wspólne z Basią, Alą i Niusią. Cyncia ze swoją Jadzią należą do rodzinki, ale gospoda-

rują oddzielnie, bo są na innym bloku (obok). Naturalnie każda paczka z domu jest udziałem wszystkich podczas pierwszego wieczoru. Wszystkie Mamusie, ciocie i siostry są wychwalane okrzykami na Ich cześć. Chodzimy teraz w pasiakach, bardzo ładnie wyglądamy. Postaram się pokazać przy następnej okazji p. K. Czeszę się w loczki, do góry w warkoczyki. Nie chodzę wcale, ale nie martwię się, bo to zapas na niepewne jutro. Łóżka mamy teraz 3-piętrowe, śpię obok Ali, więc gadamy wieczorami i marzymy. Mamusku, jeśli Lucy nauczy Cię wysyłania paczek, przyślijcie mi wiersze Tuwima i myśli Tagore (Ptaki wędrowne).

Patrzę teraz przez okno w stronę miasta. Chodzisz tam, patrzysz na obóz, może lży masz w oczach. Cierpicie obydwie, Kochane, Drogie, czy potraficie kiedyś zapomnieć o złych dniach? Ale nie wam już nie wróci, nawet nasza miłość, spokoju nerwów, wylanych łez... I żaden pocałunek nie zetrze waszej zmarszczki. Jaka ja jestem dumna z Was dwu moich Matek, najwspanialszych. Hiacynt teraz pachnie... Ja się zachwycam kwiatem.

Czy widzisz się z p. Jadwigą? Co słychać u Papy, Czesława, Krzysi i Mićka, Bohd., Hipcia, Panią B. całuję, a ciocia Teresa, pan Tomek? Napisz Mu, że tutaj jestem. Całuję wasze drogie ręce, które błogosławiły nasz obóz. Czy

macie jakie zdjęcia Czesława? Całuję mocno, mocno i dziękuję. Tak jesteś blisko, Matuchno Jedyna, a Twoje dziecko tęskni i woła „Mamo“. Andrzeja Rol — często widuję. Całuję Ciebie Mariancia i Władzia. Kocham Cię, Mamuś.

24. X. 1943

Kochana Pani Krystyno!

Serdecznie dziękuję za list z dn. 14. X. br. Poprzednie Pani listy otrzymałam i odpisałam na nie. Pani Ewa jednak, której je oddałam, straciła zdaje się kontakt z Panią i nie mogła odpowiedzi mojej doręczyć. Bardzo dobre paczki dwa razy w tygodniu otrzymuję — dochodzą na ogół w całości i w doskonałym stanie.

Gdyby to było możliwe, prosiłabym o przysłanie od czasu do czasu zamiast jajek kawałka mięsa czy kotletów. Proszę też bardzo o spiniki i grzebyki do włosów.

Ciepłe rzeczy dano nam rzeczywiście, ale dwa tygodnie temu z okazji kąpieli i odwszawiania odebrano. Jest nadzieja, że nam znowu coś dadzą, a na razie jest ciepło. Przysłać z wolności chyba nie można, bo nam przy pierwszej okazji odbiorą — ja osobiście prosiłabym jedynie o ciepłe rękawiczki, ale nie w paczce, tylko na lewo.

Większą ilość lekarstw przez Felin*) otrzymałam i częściowo jeszcze mam. Najbardziej potrzebne są środki nasercowe, przeciwko zaziębieniom i przeciwko bieguncce.

Stan zdrowia Polek na ogół jest niezły, panuje tylko mimo szczepień tyfus brzuszny i wzmożła się znowu liczba zachorowań na tyfus plamisty. Dla jednej z koleżanek proszę o walerianę i konwalię.

A teraz odpowiedzi:

1. Kartkę p. Witwickiej załączam, stwierdzam przy tym, że bardzo źle wygląda i skarży się, że głoduje.
2. Ferenc Stefania, ur. 1923 r., imiona rodziców: Józefa i Paweł.
3. Kazimiera Bojakowska jest tu — zdrowa. Otrzymuje paczki P. C. K. nieznanego pochodzenia (wysłał Polski Czerwony Krzyż — *dopisek autora*) i od czasu do czasu od rodziny (jestem z nią w wielkiej przyjaźni — jest bardzo czynna i dużo dobrego robi.)
4. Wiśniewska Zofia, ur. 1918 roku, imiona rodziców Franciszek i Wiktoria.
5. Roman Seweryna, ur. 1904 r. imiona rodziców: Konrad i Antonina — paczki dostają,

*) Felin to majątek ziemski, położony po drugiej stronie szosy vis à vis Majdanka. Tą drogą, między innymi szła nielegalna korespondencja, leki itp.

proszą o pieniądze, obie pracują i czują się dobrze.

Ja i moje koleżanki wdzięczne jesteśmy wam na wolności za wszystko, co dla nas robicie, ma to kolosalne dla nas znaczenie.

To, że Polki o tyle lepiej wyglądają od innych kobiet i że śmiertelność wśród nas jest taka mała — zawdzięczamy w dużej mierze P. C. K. i Wam.

Nasze życie tu jest b. nierówne. Są okresy spokojne i wtedy życie jest zupełnie możliwe, ale są też tak zwane „udziwienia“, jak przeprowadzki, odwszawienia, kąpiele i kary (karne apele, które są b. ciężkie) itp. W okresie przeprowadzki i odwszenia byliśmy na przykład trzy doby bez sienników i koców.

Na ogół radzimy sobie, a opiekunki nie mogą sobie z nami poradzić. Co nam skonfiskują, to wykradamy — gotujemy sobie, bo zupy są czasem niejadalne. Potworzyliśmy sobie rodziny, które razem gospodarują i pomagają sobie we wszystkim. Ja jestem w rodzinie składającej się z czterech osób, mamy komórkę żywnościową i w tu-tejszej walce o byt tworzymy pewną siłę.

Najbardziej nam dokucza walka z wszami i pchłami (Sabadylli, jeśli można).

Niepokój o bliskich w związku z aresztowaniami i niepokojami w Warszawie i brak autentycznych i pewnych źródeł wiadomości poli-

tycznych (Nowy Głos Lubelski dostajemy od robotników).

Wanda Orłoś sama nie pisze, ale prosi mnie, żeby napisać, że dwoma drogami otrzymała od Ciotki wiadomości i dała odpowiedź. Jest zdrowa, pracuje w szpitalu i prosi o sól białą i czarną, białe nici i resztki welen do cerowania, igłę z dużym uchem, pastę do butów czarną i brązową, krem do rąk i jak zawsze papierosy.

P. Wanda Koźniakowska ma się po dyfterii zupełnie dobrze i prosi o zrobienie wszystkiego, co się da, żeby ją zwolnić.

Kończę już ten elaborat i proszę, żeby Pani była tak dobra i przesłała mojej rodzinie wiadomości, które tu podaję.

Serdecznie Panią, mimo że jej nie znam, osobiście całuję.

Maria Rozner

P. S. Karteczkę z dnia 23 bm. otrzymałam. Wszystkie Panie, o które Pani pyta, mają się tu mniej więcej dobrze. Mam nadzieję, że teraz kontakt się już utrzyma.

Droga Pani Elżuniu!*)

Paczki regularnie otrzymujemy. Bardzo Pani dziękujemy za pamięć i dobre serduszeko.

*) E. Krzyżewska, żona lekarza przebywającego w Oflagu. Z drem Lipeckim i drem Chromińskim na czele tworzyli przy P. C. K. komitet lekarzy lubelskich powołany do niesienia pomocy więźniom na Majdanku.

Jeśli chodzi o suchy prowiant — to proszę nam nie przysyłać, bo i tak zabiorą na kuchnię.

Zresztą Polski Czerwony Krzyż tak cudownie ostatnio wszystko zorganizował, że życie nasze o wiele się poprawiło. Otrzymujemy teraz zupełnie znośne zupy i nawet te, które zupełnie nie mają paczek — mogą przetrwać.

Ponieważ tyle nam Pani pisze o działalności P. C. K., nie wątpimy, że ma Pani stały kontakt z Panem Prezesem. Proszę wyrazić Mu w naszym imieniu najgorętsze podziękowania i zapewnić, że nie pomijamy żadnej modlitwy wieczornej, by nie pomyśleć o Nim.

Pani raz jeszcze dziękujemy za wszystko, przede wszystkim za książki. Proszę o nas nie zapominać i pisać, gdyż listy Pani sprawiają nam dużo radości.

Serdecznie Panią całujemy — w imieniu wszystkich.
Halina

17. XII. 43 r.

Kochana Mateczko!

Karty otrzymałem i serdecznie dziękuję; badamy już czwarty dzień tych nowych — co za koszmarny obraz nędzy ludzkiej. (Badanie chorych przywiezionych z innych obozów koncentracyjnych w Rzeszy — *dopisek autora*).

Wierzę, że winowajcy poniosą zasłużoną karę — Bóg jest przecież na niebie i widzi to, a na



Puszki z trującym „Cyklonem” i judaszowe okienko, przez które SS-mani obserwowali proces działania trującego gazu na stłoczoną w komorze gazowej masę skazańców.



Co oni zawinili?



Wnętrze pieca, gdzie palono ofiary.

pewno okaże swe sprawiedliwe wyroki, co zmiotą z powierzchni ziemi ohydę człowieczeństwa.

Bardzo mało Polaków — najwięcej Rosjan i Ukraińców, potem Niemcy, a w końcu Polacy. O pomocy pisałem w poprzedniej kartce.

Janek — więzień na Majdanku

Droga Mateczko!*)

28. I. 44 r.

Najmocniej przepraszam za tak długie milczenie — zasłużyłem na naganę, ale myślę — tylko częściowo — było bowiem wiele momentów usprawiedliwiających, a więc — przede wszystkim okres pracy świątecznej, dalej okres gorący tutaj, różne tzw. „pilcowania“ i zaostwienie tutejsze — wreszcie mdle i oklapłe ciało chore nie mogło pisać, a tylko tęskniło do wyleczenia — czuło się słabe, była to chwilowa słabość, osiem dni grypowa gorączka, która nie całkiem jeszcze ustąpiła, może się zanadto przywiązała do mnie i dobrze nam we dwoje?

Żart żartem, ale doprawdy najgorsza rzecz — to gdy lekarz choruje, bo leżeć mu nie pozwalają: potrzeby chorych i własna niecierpliwość. Na tym terenie problem ten jest szczególnie jaskrawy. Po prostu nam (lekarzom) nie wolno tu chorować.

*) List ten podaję w wyjątkach, ponieważ część jego cytowałem już w poprzednich rozdziałach niniejszej pracy.

Ale za dużo o sobie pisać to brzydko — więc ad rem:

...Święta Bożego Narodzenia minęły godnie i spokojnie...

Jeśli przejdę do nastrojów, jakie wśród nas tu panują, to muszę podkreślić, że mimo uczucia niepokoju o nasz los — jaki dość często prześwieca świadomość naszą w obliczu wydarzeń — panuje tu nastrój normalny, powiedzieć fatalistycznej pewności, że choćbyśmy nie wszyscy przetrwali, to na pewno ci, co przeżyją, ujrzą klęskę ciemnych naszych. Oczywiście w rozmowach pomiędzy sobą nie dajemy sposobności do siania defetystycznych możliwości. Wiemy, że to osłabiłoby ducha słabych jednostek, nawet gdyby ku temu były uzasadnione powody — co obecnie podsycają różne transporty do krematorium celem rozstrzelania — jest jasne, że u niektórych strach ma wielkie oczy.

Różne zarządzenia tutejsze wskazywałyby, że są dane, iż władze mają zamiar zrobić z całego obozu coś w rodzaju szpitala*), prawdopodobnie część zdrowych z III i IV pola odjedzie do Niemiec.

*) Przekształcenie Majdanka na coś w rodzaju koncentracyjnego szpitala w części zostało przeprowadzone w ostatnich miesiącach jego istnienia, o czym może świadczyć liczba ponad 3 600 chorych przebywających w rewirach I i V pola.

Rzemieślnicy, co w liczbie stu dwudziestu z Dachau tu przybyli — sami zdrowi — mają być użyci do wojennej produkcji na VI polu, a zatem szpital i produkcja wojenna — dwa cele obozu.

O sprawach osobistych stosunków między kolegami nie piszę, bo to się nie godzi i nie wolno. My staramy się różne chropowatości omijać.

Pewnych faktów nie potrafimy usunąć. Na to wpływu nie mamy. Niech Bóg oświeci nasze umysły zgodną atmosferą wzajemnej życzliwości i dobrej woli.

Dla całej rodziny serc gorących zasylam moc najserdeczniejszych pozdrowień.

Janek

Droga Pani Mario!

Spełniłem prośbę Pani i tak jak tylko potrafiłem, napisałem trochę wspomnień o naszej przyjaźni ze Staszkiem. Jeżeli wyszło to nieudolnie, przepraszam, nie mam zdolności literackich. Pisałem to, co mi serce dyktowało. Za wszelkie błędy stylistyczne i ortograficzne również przepraszam, bo musi mi Pani wybaczyć ze względu na warunki, w jakich pisałem. Jeżeli Pani czegoś nie będzie mogła przeczytać, proszę dać to mojej żonie (Zielna 7-7), która dopomoże Pani i przepisze to na maszynie. A nawet niech Pani da to jej i tak do przeczy-

tania. U nas nic nowego. Zima rozpoczęła się na całego. Jesteśmy na szczęście na nią przygotowani, mamy ciepłą odzież i bieliznę... Czekamy tylko na wiosnę, może wreszcie te śniegi stopnieją...

Kiedy piszę te słowa, są święta Bożego Narodzenia. Smutno mi jest na duszy i ciężko, bośmy sobie w zeszłym roku o tej porze coś innego obiecywali...

Czy pozwoli Pani, że złożę życzenia spokojnych świąt i pomyślnego Nowego Roku. Niech będzie lepszy niż ubiegły. Ma Pani Córeczkę — prawda? — Życzę i Jej, by słońeczko nad nią zawsze świeciło, by Bozia dała jej zdrowie i spokój Mamusi.

Żegnam Panią i całuję ręce, a jeżeli Bóg pozwoli mi wyjść stąd, zgłoszę się do Pani, by uzupełnić te moje wspomnienia.

Kazimierz

Grudzień 1943 r. Majdanek

Z krótkich tych wspomnień, drobnym pismem pisanych, zawierających sześć kartek zeszytu, podaję, by nie przeciążyć zbytnio materiałem, tylko wyjątki.

Głęboka i ważka w swej wartości gatunkowej treść, przesiąknięta braterskim uczuciem miłości do zmarłego współtowarzysza niedoli — jest tak wymowna, że pominięcie przynaj-

mniej wyjątków z tego listu — wspomnień pisanych na Majdanku byłoby niepowetowaną stratą dla utrwalenia historycznych przyczynków do dziejów przeżywanego przez nas okresu czasu.

*Świetlanej Pamięci Stacha
(inż. Skulimowskiego)
wspomnienia te poświęcam.*

Aresztowanie. Dwa dni później po poznaniu się ze Stachem przyszedł pamiętny dla nas dzień 25 marca, kiedy o godz. 11,40 straciliśmy wolność. Wywalone drzwi, wycelowane w nas lufy rewolwerów i krzyk: „Hände hoch!“ — uprzytomniły, że zamknął się pewien okres w naszym życiu. Po przewiezieniu na Pawiak interesowałem się bardzo, czy reszta moich towarzyszy podzielała nasz los.

Dosłownie kamień spadł mi z serca, kiedy dowiedziałem się, że Stach i kilku innych pozostało na wolności i będzie prowadziło dalej robotę. Potem przyszły długie, długie ciągnące się w nieskończoność dni pobytu na Pawiaku. Ze światem zewnętrznym nie mieliśmy absolutnie żadnego kontaktu. Wiedzieliśmy tylko tyle, że „nasi“ są wolni i pracują...

Jedenasty lipiec był dniem takim samym jak i każdy inny w naszym życiu więziennym. Zjadłem naszą kolację więzienną i zamierzałem udać

się na spoczynek, kiedy wywołano mnie na korytarz więzienny, po czym sprowadzono na dół współ z jednym jeszcze towarzyszem z naszej sprawy i pod strażą dwóch panów G. pokazano przez dziurkę w drzwiach (tzw. judasz) prof. Pod. — prawdziwego nazwiska nie znałem.

Serce skurczyło mi się boleśnie i zabiło z trwogi... Jak to! oni też! o Boże... świat się wali...! Nic nie wiem, kiedy znalazłem się z powrotem w celi...

W dwa tygodnie potem idąc korytarzem, spotkałem profesora, byłem pod strażą i on też, nie mogłem zamienić ani słowa. Jednakże udało mi się ustalić, w jakiej celi siedzi, i dzięki znajomości z S... oddziału udało się Profesorowi ściągnąć do mojej celi. Po powitaniu, które było dla nas bolesne, długie godziny opowiadał mi o reszcie naszych towarzyszy i między innymi i o Stachu oraz Ludwiku. Stach po odbytych okresie kwarantanny dostał się na oddział IIIa i został wsadzony na celę izolacyjną. Straciliśmy z nim kontakt zupełnie. — Dużo miesięcy upłynęło, zanim go znów zobaczyłem.

Siedemnasty styczeń był dniem w życiu naszym, kiedy rozstaliśmy się z Pawiakiem i stłoczeni, sterroryzowani, wepchnięci w samochody ciężarowe zawiezieni zostaliśmy na dworzec kolejowy. Ustawiono nas w długą kolumnę, podzielono po 50 i wepchnięto w wago-

ny towarowe, które stały przygotowane. Głodny (od rana nic nie jedliśmy), zmarznięty, usiadłem w kącie wagonu na swoim skromnym pakunku i czekałem, co będzie dalej.

Po kilku godzinach pociąg ruszył. Dokąd? Tak jechaliśmy całą noc. Zimno było niesamowite. Wreszcie przyszedł świt, który zastał nas w okolicach Dębłina. Pociąg jedzie w nieznane...

Korzystając z rozwidnienia, począłem wyszukiwać znajomych. Patrzę i oczom nie wierzę! W przeciwległym rogu wagonu podobnie jak i ja na kupce manatków siedzi Stach... Spotkanie kogoś bliskiego, kogoś, kto cierpiał za to samo, co i ja, była dla mnie takim spotkaniem, jakbym znalazł kogoś bardzo drogiego i bliskiego... Przeniosłem się zaraz w kącik Stacha i gadaliśmy, gadaliśmy chyba głośniej niż stukot kół wagonu.

Opowiadał mi wszystko od chwili aresztowania, o swojej izolacji, tęsknocie itd. To trudno opisać! ale trzeba wejść w położenie takich dwóch ludzi, którzy spotkali się po dziewięciu miesiącach rozstania i z których jeden sześć miesięcy siedział sam jeden w celi, nie mając do kogo ust otworzyć.

Minęło południe. Wiedzieliśmy, że jedziemy w kierunku na Lublin, ale dokąd...! Wreszcie około godz. 15-tej Lublin. Długi postój na dworcu, krzyki, wrzaski żołnierzy, którzy oto-

czyli nasz pociąg, i wreszcie łoskot odbijanych drzwi. Powiało śniegiem i mroźnym powietrzem. Wysiadać! znów krzyki i popychania, ustawiają nas w długą kolumnę. Maszerujemy. Idę w tej samej piątce co i Stach. Przez szeregi nasze przebiega szept — koledzy! — czy to czasem nie prowadzą nas gdzieś na rozwalenie. Niepokój targa serca nasze.

Wyszliśmy już poza miasto i idziemy szosą. Zimno piekielne — wiatr. Nie przyzwyczajeni do długich spacerów jesteśmy b. zmęczeni. Wreszcie po przejściu paru kilometrów widzimy całe miasto oświetlone. Tam idziemy! — to obóz.

Pierwsze dni pobytu w obozie na Majdanku były... okropne. Ciasno na tzw. blokach — gdzie umieszczano nas po 700 (miejsc najwyżej było na 150 osób) — zimno, spanie na podłodze, brak zupełnie wody do mycia i niepewność, co będzie jutro itd.

Gryzło nas niezmiernie i dokuczał nam brak wiadomości od naszych rodzin. Martwiliśmy się, co sobie nasi najbliżsi pomyślą o nas.. Toteż wysyłaliśmy na różne sposoby i różnymi drogami listy rozpaczliwe. Stach szybko nawiązał kontakt ze swoim domem i miał prawie co dzień list lub jakąś przesyłkę lub coś do jedzenia. Dzielił się z nami b. skrupulatnie. Wreszcie i ja

dostałem list od żony. Płakałem z radości, a Staszek cieszył się razem ze mną...

Pod koniec stycznia Staszek zaczyna zapadać na zdrowiu. Przeziębił się dosyć mocno podczas któregoś z apeli (jeden ze sposobów wykańczania więźniów — *dopisek autora*). Gorączka 38° do 39° dzień w dzień. Robimy co można w naszych warunkach...

W kilka dni po wyzdrowieniu Staszka zachorowałem i ja na biegunkę, która powszechnie panowała wśród nas. Choroba moja, aczkolwiek krótkotrwała, osłabiła mnie bardzo i wycieńczyła. W czasie tych dni Staszek był dla mnie prawdziwą matką...

Dobry, kochany Staszku, pamiętam jak ci dziękowałem za tę opiekę i jak sobie przysięgaliśmy przyjaźń. Obiecałem sobie solennie, że za tę opiekę, za to serce odpłacę się stokrotnie, czym tylko będę mógł.

Któregoś lutego — już nie pamiętam którego, pracowaliśmy jak zwykle, kiedy wezwano nas nagle do zbiórki, zabierać wszystkie rzeczy i marsz do łaźni... Rozbierają nas w jednym baraku do naga, wszystkie rzeczy idą do papierowego worka i przebiegamy w adamowym stroju kilkadziesiąt kroków po błocie do drugiego baraku (zimą), gdzie jest łaźnia. Kąpiel jest komedią, gdyż do sali, gdzie jest miejsce na 50 osób, pakują 600 ludzi. Nie zdążyłem się na-

wet zamoczyć, kiedy popchnięto mnie i wpakowano w łapę jakieś łachy. Ubieramy się szybko i wychodzimy na dwór, gdzie kłapiemy zębami z zimna. Po naszych ciepłych strojach obecne pasiaki są dla nas piżamami. Na nogach mamy buty na drewnianych podeszwach.

Udało nam się ocalić trochę pieniędzy. Ja mam 100 zł, Staszek około 200 — kupujemy od tych kolegów, którzy są jeszcze w ubraniach cywilnych: swetry, szaliki, rękawiczki. Już nie jest nam tak zimno. Za to noce są okropne. W siennikach trochę starej na sieczkę słomy. Na dwie osoby jeden lichy koc. Łączymy się we czterech — Staszek, Stach Zet, Prof. Pan. i ja — przykrywamy się dwoma kocami wzdłuż. Oczywiście, że się nie rozbieramy. O tym nie ma mowy! Warunki na bloku okropne. Ciasno, brudno, smród okropny. Przez całą długość bloku (około 35 m długi) ciągną się nary trzypiętrowe, na których leżą sienniki, środkiem przejście około 2 m szerokie. Ulokowaliśmy się na 3 piętrze. Siedząc na środku barłogu i patrząc się z góry na kłębiące się na dole postacie mówią do Staszka — popatrz się, co ci to przypomina? — Piekło? — odpowiada Staszek. To samo i ja miałem na myśli.

Widziałem kiedyś taki obraz, zupełnie podobny do tego. — Tak, życie w tym czasie było piekłem.

Czy może ktoś zrozumieć, co to znaczy nie myć się całymi tygodniami? Być stale niewyspanym — wstawaliśmy o 4-tej rano a zasypialiśmy o 21-22 wieczorem.

W tym czasie badają nas lekarze, mierzą i ważą. Mnie ubyło 22 kg w porównaniu z wagą wolności — Staszkowi 16 kg. Co będzie dalej?

Wymagania (cerberów są coraz większe, praca coraz cięższa i coraz dłużej pracujemy. Jesteśmy niewolnikami. Zaczynają się pierwsze baty. Pamiętam jeden z listów, jaki Staszek dostał, a w którym pisała Pani, aby unikał batów — a zły los tak złożył, że biedak dostał w tym dniu parę razy po twarzy i kijem po plecach. Mój Boże, jakżeż bezsilni byliśmy w swej rozpacz.

Robi się coraz ciężej. Pojawiają się wszy, które zaczynają nam ogromnie dokuczać. Wypadki chorób coraz częstsze. Martwi to nas i gryzie, ale nie można nic poradzić.

Początek marca był dla nas ogromnie dokuczliwym. Wstawaliśmy rano o godz. 4-tej, kiedy niebo było czarne jak atrament. Wiatr hulał po Majdanku jak opętany, a deszcz siekł milionami igieł. Nie wyspani, nie myci, głodni stawaliśmy do apelu porannego. Stanie godzinami na takim apelu było prawdziwą przykrością. Nadszedł dla mnie pamiętny dzień 4 mar-

ca. Chory, gdyż przechodziłem jakąś grypę (już którąś z rzędu), gryziony przez wszy, a na dodatek zaraziłem się świerzbą, zabity fizycznie i moralnie, gdyż od kilku tygodni nie miałem wiadomości z domu. Podczas pracy ruszałem się jak kura, skurczony, zmarznięty, nie wiedziałem po prostu, co ze sobą zrobić. Nie wiem po prostu, skąd przyczepiła mnie się myśl o samobójstwie.

Widząc codziennie dosłownie setki trupów wynoszonych ze szpitali (panowała w tym czasie b. duża śmiertelność) zacząłem analizować wartość życia: po co męczyć się dalej, przecież i tak wyjścia z obozu nie ma. Choroby zjedzą mnie za kilka dni, może najdalej za parę tygodni. Więc...?

Byłem bliski rzucenia się na druty o wysokim napięciu lub na któregoś z SS-manów, by spowodować zastrzelenie...

...Powiedziałem Staszкови wszystko — otworzyłem przed nim całe serce. — Staszek zburczał mnie, zwymyślał, pocieszył potem, i jeżeli jeszcze żyję — to kto wie, czy nie jest to i jego zasługa. Kaziu! wierz w jutro, wiedz, że po nocy przychodzi dzień, po burzy pogoda. Mówił mi również dużo o Pani, pokazywał Pani fotografię, o tym, jak Panią kocha...

Mija dwa dni i wygrywam wielki los w życiu obozowym. Dostaję się do stacji obsługi sa-

mochodów. Przez moją pracę tracę jednak kontakt ze swymi towarzyszami, gdyż warsztaty nasze są izolowane od reszty bloków. Mija kilkanaście dni i zaczyna się mówić u nas o dużym transporcie, który ma stąd odejść do Niemiec. Rzeczywiście 23 marca zaraz po apelu rozpoczęto na polu wybierać ludzi do transportu. Widzę to i mam możliwość obserwowania przez druty.

25 marca rano zaraz po apelu porannym na naszym polu ustawiła się ogromna kolumna ludzi mających wyjechać. Wszyscy ubrani jednakowo w pasiaki, buty-drewniaki — na drogę otrzymali paczki z P. C. K. z chlebem i tłuszczem.

Pada komenda i kolumna rusza. Stoję i przez podwójną parę drutów obserwuję kolegów. Wtem patrzę — Staszek. — Krzyknąłem! Szedł ze spuszczoną głową, tak jakby przybity. Podniósł rękę do góry i machnął nią kilkakrotnie jako znak pożegnania. Krzyknął coś przy tym do mnie, lecz słów nie zrozumiałem.

Takie było nasze pożegnanie i rozstanie...

W kilka dni potem przychodzi dla mnie bolesna wiadomość o śmierci matki mojej, a na drugi dzień o śmierci prof. Pan. Świat się wali...

Prawie wszyscy nasi znajomi wyjechali...
Smutny, złamany wróciłem do swojej kwatery,
by czekać na jutro...!"

* * *

Jak się później okazało los tego transportu był tragiczny. W zaplombowanych wagonach towarowych, nie otwieranych w ciągu trzech dni, jechali do obozu Flossenberga, z którym mimochodem czytelnika w poprzednim rozdziale zaznajomiłem.

Tu nowoprzybyłemu transportowi z Majdanka zgotowano „śmiertelną kąpiel“. Wpędzono wszystkich do łaźni obozowych, gdzie dla higieny więźniowie mieli się wykąpać. Ubraniapasiaki zabrano do dezynfekcji, gdzie trzymano je przez trzy dni.

W ciągu tych trzech jak wieczność ciągnących się dni więźniowie bez żadnego pożywienia nago na cemencie polanym wodą, w mokrym zimnie — czekali, aż im raczą łaskawie oddać pasiaki.

Z tej „kąpeli“ 50% więźniów nie wyszło. Los innych po takich torturach nie jest trudny do wyobrażenia.

Jasiulek!

Znów się odmieniło o tyle, że znowu odwłókł się nasz wyjazd i robi się ogromne stara-

nia, aby chorych i personel zostawić na miejscu. Dzisiaj jest konferencja naszych władz z Gubernatorem w tej sprawie. Porozum się z Prezesem P. C. K., dowiesz się może od Niego czegoś i może mogliby się starać o zwolnienie lekarzy — podobno też o tym była mowa — róbcie co możliwe. Paczki mamy dzisiaj dostać, myślę, że może nawet i następne możesz wysłać, tylko cukru, mąki mam dość.

Bądź w ciągłym kontakcie z P. C. K., bo oni codziennie się z nami widują. Jak twoje sprawy? Bogu Ciebie i siebie polecam, małą tulę z całych sił do serca. Czy znasz Jurka z P. C. K. skontaktuj się też z nim. Ściskam

Wasza matka

LISTY NA MAJDANEK

podaję w porządku chronologicznym ich nadejścia do P. C. K.

Kochana Mamusiu!*)

Już blisko rok i puł jak się nie widzimy.
I jestem pewien, że mamusia napewno myśli

*) Przytoczony list małego Stasia Bogdańskiego do matki — Marii Bogdańskiej, która od półtora roku uwięziona jest w obozie koncentracyjnym na Majdanku w Lublinie, podaję ze wszystkimi błędami — bez żadnych poprawek. Oby takich małych Stasiów Polska miała więcej. List pisany w październiku 1943 r. w Turkowicach.

o mnie, co ja robię i jak żyję że niema mamusia listu. Lecz wież mi Kochana mamu że nie wiedziałem jak zaadresować i dopiero teraz dowiedziałem się.

Mamusiu ja o tobie bardzo myślę, jak ci jest i dlaczego do mnie nie piszesz. Byłem u pani Sonenburkowej i myślałem, że ona coś pomoże i wogule starałem się i pani Telemanka pisaliśmy listy do pana Gubernatora Doktora Franka o pozwolenie, żeby Mamusię puszczono.

Rodzina nasza jest biedna i nie może nic pomuc stryjenka jest zabita bo wpadła pod tramwaj, prucz tego wszyscy są zdrowi jak ja także dzięki Bogu Bók daje mi zdrowie co życzę i mamusi.

Kochana Mamusiu tam mnie jest dobrze jestem teraz w zakładzie w Turkowicach. Więc o mnie nie martw się bo bąć pewna że mnie nie jest źle tylko martw się o siebie, ja staram się o paczki i jedną już dostałaś. Mamusiu jeżeli możesz napisz choć dwa słowa czy żyjesz bo mnie to martwi. Jeżeli będziesz choć raz mogła napisać, to powieć co ci potrzeba, to będę się starał żebyś to miała. Podobnie nie masz papierów i dlatego nie wychodzisz to mi napisz czy tak. To chociaż nie jestem w Warszawie, to tylko napisz gdzie miał pójść żeby te papiery dostać gdzie starać się.



Niemcy uciekając nie zdążyli spalić ofiary ostatniego mordu w Lublinie.



Zwłoki matki i dziecka odkopane na terenie obozu.

Mamusiu módl się do Pana Jezusa żeby się wojna skończyła i żebyśmy się jak najprędzej zobaczyli. Ja sam modle się i owiarowałem Mszę Świętą żeby Mamusia wruciła i oprucz tego owiarowałem jedną Komunię Świętą.

Mamusiu prośba ostatnia nie martw się o mnie tylko o siebie i staraj się dać mi odpowiedź na ten list. A wież gorąco że wkrutce się zobaczymy. Na tych słowach kończę list całuję Mamusię tysiąc razy i ściskam serdecznie mamusi zawsze kochający syn

St. Bogdański

Turkowice, październik 1943 r.

Schutzhaftling Nr. 770

Łaskowski Wacław

Waffen SS. Lublin I.

Nasz Najdroższy Tatusiu!

Kartę od Ciebie otrzymałam, za którą bardzo dziękuję. Ty nie wiesz, ile każda taka karta sprawia nam radości. Wszyscy z rodziny muszą ją przeczytać, każdy musi ją mieć w ręku, każdy się nią cieszy, a babcia z Rogalek zaraz nad nią płacze. Ja także często płaczę, ale tylko wtedy, gdy dłuższy czas nic o Tobie nie wiem. Jak ja zaczynam płakać, to wszyscy na mnie krzyczą, że ja jestem przecież taka szczęśliwa, bo wiem o Tobie i pisesz, a inne nic nie wiedzą.

Ja do Ciebie piszę co tydzień. Ostatnio wysłałam list do Polskiego Czerwonego Krzyża w Lublinie z prośbą, żeby Tobie doręczył. Ja również wysyłam paczki dla Ciebie też do Czerwonego Krzyża.

Wysyłam, co mogę, Wandzi, a ona Tobie, bo od nas jest trudno wysłać do Guberni paczki. Wszyscy są zdrowi. Jakoś sobie radzę, dzieci ostatnio dobrze wyglądają. Trochę marznięmy, bo to zimne mieszkanie, ale żeśmy się przyzwyczaili.

Pozdrowienia od całej rodziny i ucałowania. Ja Cię, mój Najdroższy, mocno całuję i opiece Boskiej polecam

Twoja Sabina i dzieci

S. Laskowska
Nasielsk, Feldstr. 32

Kochana Córko!

Piszę do Ciebie list dnia 12 lipca. Najpierw ci donoszę, Kochana Córko, o moim zdrowiu i powrocie. Dzięki Bogu jesteśmy wszyscy zdrowi i dzieci są też zdrowe, a powrót jest, jak zawsze wiesz.

Bardzo jest mi smutno, bo miałam jechać z owocami do Lublina, ale teraz jest nie wolno cywilom wcale jechać. Nie wiem, jak teraz będzie. Teraz zawiadamiam cię, że paczkę z chlebem ci wysłałam dnia 12 lipca, a teraz cię zawiadamiam, Kochana Córko, że jeszcze dzięki

Bogu mamy, bo nam nie zabrali... U nas zaczyna się żniwa dnia 1 sierpnia.

Pozdrawiam Ciebie, Ukochana Córko, mile i serdecznie i pozdrawiają Cię teraz te twoje małe sierotki mile i serdecznie i do widzenia, do zobaczenia.

Matka

Kochany Stasiu!

W pierwszych słowach naszego listu: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus a spodziewam się, że mi odpowiesz na wieki wieków amen. A teraz donoszę ci, że jestem żywa i zdrowa i na miejscu, to i tobie życzymy zdrowia i wszystkiego dobrego.

Już żniwa po trochu robimy, tylko Ciebie wyglądamy. Mama byli niedaleko Lublina, chcieli być u Ciebie, ale nie byli, bo kto inny będzie. Wysłałeś nam cztery karty i dwa listy, za które bardzo dziękuję. Pozdrawiamy Ciebie wszyscy i Matka z dziećmi, żebyśmy mogli się jeszcze zobaczyć.

Do widzenia się z Tobą, Kochany Stasiu.

Stanisławów 27. VII. 43 r.

Kochana Córeczko!

Bardzo mnie smutno, że nie mam żadnej wiadomości od Ciebie. Miałam Ciebie jedną i to mnie zostawiłaś chorą i nie dajesz żadnej wiadomości o sobie.

Ja, którądy chodzę, płaczę i modłę się, żeby ci Pan Bóg dopomógł, żebyś wróciła do domu, żebym Ciebie jeszcze zobaczyła.

Kochane dziecko, staraj się jak możesz dać mi odpowiedź, gdzie Ty przebywasz. Pozdrawiam cię serdecznie, życzę Ci wszystkiego najlepszego.

Tvoja życzliwa Matka

Wielmożni Państwo z Polskiego Czerwonego Krzyża proszę doręczyć tę kartkę dla Franciszki Michalec, o ile jej tam nie ma, to proszę łaskawie tę kartkę zwrócić.

Dn. 21. III. 44 r.

Ciociu Kochana!

Ze drżeniem otwieramy listy Cioci, tak łakniemy od Niej wiadomości. Jak to oczko, czy to katarakta, czy to boli, jak to utrudnia pracę Cioci — jak się moje Ciotczysko marnuje tam.

Nie mogę się z tym pogodzić, że nic pomóc nie można. Z biura do Czerwonego Krzyża lubelskiego napisane zostało poparcie Cioci o umieszczenie na liście. My ciągle o tym myślimy.

Teraz przepustki zniesione i p. Wera pojedzie, mam trochę nadziei, że może będzie mogła coś zrobić, ona ma takie znajomości, zresztą sama też raz wpadła i w parę dni została zwolniona. Mamusia po zastrzykach glukozy trochę

silniejsza. Potrzeba by zrobić jeszcze kompólny. Ale nie wiem, czy nie będzie żałować pięniędzy.

Dzieciaki zdrowe, tak się zmieniły. Oleńka Waricka zrobiła ich portreciki, takie miłe, takie żywe, ale nie poślę ich do Oflagu, bo szkoda, żeby zginęły.

Jak Cioci serduszko teraz i z czego to osłabienie? My tak czekamy, tak czekamy na powrót. Musi Ciocia zreorganizować swoje życie i być razem. Stasiek teraz znów gra, bo jakiś czas wszystkie lokale były zamknięte za karę. Poza tym zarabia w tym sklepie jubilerskim. Pani Pot. paczki otrzymuje. Ciocia Zosia mizerna, ale się trzyma. Januszowie są na nowej posadzie pod Radomiem — pisują od czasu do czasu.

Ja ciągle coś sprzedaję, bo muszę dzieciom choć koniny kupić, a Mamusia teraz wątróbkę surową jada. Życie nasze takie szare, takie smutne, coraz więcej dokucza wszystko i sił jest coraz mniej. Stefan także ostatnio pisał, że już za długo, że już ich wszelkie obliczenia zawiodły (w niewoli).

Ja mam trochę nadziei, że może słońce jak przyjdzie, to naprawdę uśmiechnie się do nas promykiem nadziei. Całuję Ciocię mocno, mocno, trzeba chcieć przetrwać, by przytulić. tak bardzo stęsknioną swoją

Halę

dn. 22. III. 44 Warszawa

Kochanie Moje!

Korzystam z okazji inaczej mówiąc z dobroci Mamusi Wańdzi i piszę. Tak dawno nie mam już pokwitowań od Ciebie, a ostatni list z 8. III. br., dziś natomiast jest 20. III., dla mnie to już za długo trochę, mam tylko ustne relacje od przyjeżdżających z Lublina.

Zbliżają się coraz bardziej do nas działania wojenne, a tym bardziej do Was! Dziecko, bądź spokojną i opanowaną i ufaj bezgranicznie Bogu, który nas dotychczas miał w swojej opiece, a więc i nadal Ciebie i nas nie opuści. — Módl się, wierz, co On czyni, jest najlepsze i jak powinno być, za krótki nasz wzrok i za słaby rozum...!

Jedno pamiętaj, Kochanie, że On jest przy Tobie, jest Ci Ojcem najlepszym i wszystko będzie dobrze! Modlę się nieustannie i błagam o to, byśmy już byli razem! Staram się i robię, co tylko mogę, ale wierzę, że chwila naszego spotkania jest bliska.

Najgorsze mamy za sobą, tylko spokój i opanowanie i przede wszystkim wiara w Tego, co nikogo nie zawiódł i o nikim nie zapomniał.

Dziś był u mnie p. Adam i prosił przesłać Ci ukłony od p. Dady i znajomych i że już niedługo...! Bardzo spoważniał i lepiej mi się teraz podoba niż dawniej.

Maleńka moja, wierzę, że z tą książeczką przyjdiesz niedługo do Mamy, tylko nie trwóż się, ptaszku mój. Boże, jak będę szczęśliwa, kiedy przytulę Cię do swego serca i nie puszcze od siebie ani na krok (ładna perspektywa, co?) Jeszcze będziesz narzekać z tego powodu, ale to żarty!

Nie myśl, że nie jestem zdenerwowana, ciągle dzwoni telefon, i tak się cieszę, raz mało nie zwariowałam ze zmartwienia w tej powodzi wiadomości, wniosków, domysłów itp. w 75 proc. plotek i tak mam przeciętnie pięć, czasem więcej telefonów dziennie...! i możesz sobie wyobrazić, co może przenieść ludzkie serce, które zdawałoby się jest już jedną wielką raną, rozrywaną bez końca, krwawiącą bez końca. Ale ludzie mają sadystyczną przyjemność patrzeć, jak cierpi matka! Dlatego często nawet się śmieją, a strasznie się boją, żeby ktoś nie dotknął ich ran.

Najważniejsze, że Babcia mówi mi ciągle, że wszystko będzie dobrze i ona naprawdę jest dzielna. Dziecko czekam na Ciebie, czekam i nigdzie się dobrowolnie nie ruszę, tylko czekam i ufam bezgranicznemu Miłosierdziu Bożemu, które jest jak Wieczność.

Jaki wstrętny ten marzec, naturalnie martwię się ciągle też o Twoje zdrowie i mam rację

— ciągle się tak składa, że bez końca się martwię.

Pani Zofia K. jest w ogóle niemożliwa do osiągnięcia, może wyjechała, w każdym razie nie mogę się porozumieć.

Jeśli możesz, napisz znów dużo. Twoje listy to obecnie wszystko dla mnie — nimi żyję. Pogawędziłam z Tobą i mnie jest lepiej, jakiś spokój spływa i Ty pisz mi o tym, co cię martwi, ale wierz mi, Dzidziulku, wszystko będzie dobrze i jeszcze jak dobrze!

Całuję Cię i tulę do serca i gładzę głowę i całuję oczki. Kochane moje, do widzenia szybkiego, powetujemy sobie wszystko.

Twoja tylko

Mama

Warszawa, dn. 20. III. 44

Wielce Szanowna Pani Doktor!

Wobec zbliżających się coraz bardziej działań wojennych pozwalam sobie bardzo gorąco polecić moją Małą pod jej dobrą Macierzyńską opiekę — ten cały skarb jedyny, który mi pozostał na świecie — moją Małą.

Jednocześnie proszę przyjąć podziękowanie moje, których wyrazić nie jestem w stanie, za Jej serce, Jej dobroć, szlachetność.

Może Bóg w dobroci swej nieskończonej wysłucha modłów moich zanoszonych codziennie na jej intencję.

X...

Moja Córeczko Najdroższa!

Zastosuj się kochanie do wszystkich wskazówek p. L. kuzyna Alinki. Wszystko, co poradzi, będzie dobre i musi być bez zastrzeżeń przyjęte. W domu wszystko dobrze. Janusz jeszcze na wsi. Sama nie wiem dobrze, co było, bo prosto stamtąd pojechał do Adasia. Nie martw się o nas.

Trzymaj się mocno, malutki mój ptaszku, i nie daj się złej doli. Ufaj głęboko w opiekę Boga i św. Tereski, która czuwa nad Tobą. Nie stanie się nic złego. Modlitwy moje i serce w każdej sekundzie są nad Twoją umiłowaną głową. Módl się, kruszynko, i ufaj.

Wszystkie załączniki (grypsy) z 10 bm. oddałam przed godziną. Czekam teraz na odpowiedź, ale zdaje się, że tylko p. Teresa Pl. zdąży, bo ją zawiadomiłam telefonicznie. Za dwie godziny jest okazja, więc się boję, że tym razem pójdą tylko te drobiazgi, które mam u siebie.

Niech Bóg czuwa nad Tobą, a moje serce Matki osłoni Cię od złego. Moja, Moja Dziecinko najdroższa. Biorę Cię mocno, kruszynko, i tulę do serca gorąco.

Wszyscy całują Cię i ściskają mocno. Janusz pisał dzisiaj, dopytuje się ciągle o wiadomości od Ciebie. Ja się nie daję i trzymam mocno, Córeczko.

Matka

(M. Albrechtowa)

LISTY DO POLSKIEGO CZERWONEGO KRZYŻA W LUBLINIE

Hrubieszów, 19. IV. 43 r.

Do P. C. K. w Lublinie

W imię Jezusa i Matki Najświętszej błagam o zaopiekowanie się moim mężem, wywiezionym na Majdanek Lubelski w dniu 1. IV. br.

Mój mąż pracował na poczcie w Mołodiatyczach pow. hrubieszowskiego w charakterze zastępcy naczelnika poczty i dawał utrzymanie rodzinie złożonej z ośmiu osób (żonie, 4-gu dzieci i 2-gu staruszkom rodzicom męża). Zupełnie do niczego się nie mieszał i został oskarżony przez Ukraińca on i jego współpracownik Bernat St. i aresztowani w dniu 24. IV., wywiezieni zostali na Majdanek. Zostałam z czworgiem dzieci, najstarsze 8 lat, najmłodsze 9 miesięcy i staruszkami bez utrzymania prawie, bo pensja moja 200 zł miesięcznie nawet na kartofle dla nas nie wystarczy.

Nie mogę ratować męża, bo nie znam drogi, po której można tam trafić. Jednego boję się, aby nie umarł tam z głodu i nędzy, gdyż żywności nie mam wiele, a nie można prywatnie podać nawet tego kawałka chleba, którym podzieliłabym się z mężem. Błagam więc kochanych państwa, jeśli to jest w ich mocy, o łaskawą pomoc w imię Jezusa i posłanie trochę żyw-

ności dla mego nieszczęśliwego męża: Bolesława Łukantego oraz jego współpracownika umieszczonego razem z czterdziestoma osobami z Hrubieszowa w barakach na Majdanku.

Za pomoc łaskawą i dobroć serca Państwa będziemy co dzień modliły się w intencji P. C. K. ja, moje dzieci i p. Bernatowa z 6-letnim synkiem.

Polecamy się łaskawej opiece

Maria Łukantowa

Nauczycielka Polskiej Szkoły Powszechnej
w Mołodiatyczach, pow. hrub.

Kielce, dn. 9. IX. 43

Do Polskiego Czerwonego Krzyża

w Lublinie

Zwracam się z gorącą prośbą do P. C. K., aby łaskawie zajął się odszukaniem syna mego Tadeusza Pietrzyka urodz. dnia 3. XII. 1914 w Kielcach. Syn mój Tadeusz był aresztowany dnia 15. IX. 42 r. w Kielcach i przebywał do dnia 8. XII. 42 w więzieniu w Kielcach. 8. XII. 42 r. został wywieziony do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, stąd otrzymałam od niego dwa listy w styczniu 1943 r. i jeden list z lutego datowany z Oświęcimia 14. II 43 r.

Po tym ostatnim liście do dzisiaj nie mam żadnej wiadomości od syna i jestem głęboko zrozpaczona, co się z nim stać mogło — zazna-

czam, że oficjalnego zawiadomienia o ewentualnej jego śmierci nie otrzymałam dotychczas. Znajduję się w rozpaczliwym położeniu, dręcąc się bardzo losem ukochanego syna.

W ostatnim roku bardzo wielkie nieszczęścia spadły na mój dom:

15. IX. 42 aresztowano mi syna — Tadeusza.

19. IX. 42 zostałam również aresztowana wraz z moim mężem i narzeczoną mego syna. Przebywałam w więzieniu w Kielcach do 20. XI. 42, potem zostałam zwolnioną, a mąż mój Andrzej umarł w więzieniu 8. X. 42, a narieczona syna została wywieziona do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu 16. XI. 42.

Narieczona syna pisze dotychczas listy z Oświęcimia, a syn mój nie daje znaku życia o sobie. Pisałam już kilka razy do niego, lecz listy zostały mi zwrócone z Oświęcimia. Zrozpaczona wyobraźnia nasunęła mi myśl, że może syn został przewieziony do obozu koncentracyjnego na Majdanku, lecz nie może pisać, i dlatego dotychczas nie mam od niego wiadomości.

Zwracam się więc z gorącą prośbą do Polskiego Czerwonego Krzyża, by łaskawie zajął się odnalezieniem mego syna w obozie koncentracyjnym na Majdanku i przesłał pod moim adresem jakieś konkretne o moim synu wiadomości.

Proszę wczuć się w tragiczne położenie nieszczęśliwej matki, która swe wszystkie nadzieje i całe szczęście pokłada w utraconym synie, a dziś znalazła się w rozpaczliwym położeniu bez opieki na starość lat, z wielką udręką w sercu o los syna. Gdyby mój syn znalazł się istotnie w obozie koncentracyjnym na Majdanku, proszę uprzejmie dać mi odpowiedź, gdyż pragnę posłać synowi paczkę żywnościową.

Dane: Tadeusz Pietrzyk, syn Marii i Andrzeja, urodz. 9. XII. 1914 r. w Kielcach, ukończył gminazjum im. Żeromskiego w r. 1933, ukończył studia w Szkole Wschodoznawczej (przy Instytucie Wschodnim) w Warszawie.

Mam nadzieję, że prośba moja zostanie uwzględniona. W oczekiwaniu łaskawej i rychłej odpowiedzi pozostaję z poważaniem

Maria Pietrzyk

Ryki 20. VII. 43

Do Polskiego Czerwonego Krzyża
w Lublinie

W dniu 27. XI. 42. zostałam wysiedlona wraz z całą rodziną ze wsi Sady, gm. Skierbszów, pow. zamojskiego. Po wysiedleniu nas z rodzinnej miejscowości umieszczono nas czasowo w baraku Nr. 16, męża zaś prawdopodobnie w baraku Nr. 12.

Od czasu rozłączenia nas z mężem i wyjazdu z Zamościa nie mam o nim żadnej wiadomości. Uprzejmie proszę P. C. K. o łaskawe pośrednictwo przy wynalezieniu miejsca pobytu mego męża — możliwe, że jest na Majdanku.

Mąż mój nazywa się Jan Nowogrodzki, syn Stanisława, lat 42, urodzony we wsi Sady pow. Zamość. Ja z dziećmi obecnie mieszkam w Rykach p. Puławy i pracuję w Spółdzielni Spożywców.

Janina Nowogrodzka

p. Biłgoraj

Do Polskiego Czerwonego Krzyża

w Lublinie

Zwracam się z uprzejmą prośbą o łaskawe udzielenie mi informacji o ojcu moim Władysławie Gettingerze lat 80 (osiemdziesiąt), który przebywał na Majdanku w obozie koncentracyjnym, prawdopodobnie do połowy sierpnia 1943 roku. Czy żył jeszcze wtedy i gdzie został skierowany, nie mogę się od nikogo dowiedzieć.

Ta straszna niepewność zatruwa mi każdą chwilę życia. Dlatego upraszam najgoręcej o łaskawe powiadomienie mnie o losie mojego Ukochanego, a tak nieszczęśliwego Ojca. Jesz-

cze raz najuprzejmiej proszę o jakąkolwiek wiadomość, za co z góry najgoręcej dziękuję.

Z poważaniem

Olga Gettingerowa

Nauczycielka na Majdanie Starym
p. Biłgoraj

Stara Sól 20. III. 43

Do Polskiego Czerwonego Krzyża

w Lublinie

Podpisana niżej Piecyk, zam. w Starej Soli, pow. Sambor, zwraca się z uprzejmą prośbą o łaskawe poczynienie starań celem uwolnienia z tamtejszego lageru mojej córki Stanisławy Krzemień, która została ostatnio podczas werbowania robotników do Niemiec przez przypadek przyłączona do transportu i znajduje się obecnie na Majdanku.

Dla porządku donoszę uprzejmie, że w tej sprawie zwróciłam się do Komendanta tegoż obozu, przedstawiając mu całą sprawę, że niezależnie od tego, że została przez przypadek dołączona do ogólnego transportu, jest bardzo chora, bo ma gruźlicę.

Proszę ze swej strony poczynić możliwe starania w celu uzyskania przez nią wolności

z tamtejszego obozu, przy czym dodaję, o przebiegu i wyniku interwencji proszę mnie łaskawie powiadomić.

Julia Piecyk

Pęcice Male, 31. III. 43

Do Polskiego Czerwonego Krzyża

Marian Parzyński, urodz. 3. V. 21 r. z ojca Franciszka i matki Eleonory, zatrzymany został w łapance w Nadarzynie (małe miasteczko pod Warszawą) dnia 18. I. 43 i zabrany został z wozu ojca swojego z jarmarku. Po miesiącu dowiedzieliśmy się, że osadzony został na Pawiaku. Wszelkie starania nie odniosły skutku, żeby go zwolnić. W międzyczasie dnia 25. III. br. przewieziony został w stronę Lublina — może do obozu na Majdanku, gdyż w ostatniej karcie rzuconej przy przewożeniu na kolej po- dał Lublin jako miejsce wysłania i od tej pory nie mamy skąd się dowiedzieć, gdzie przebywa.

Zrozpaczona matka słysząc od znajomych o tym, że Czerwony Krzyż już niejednokrotnie wielu przyszedł z pomocą, gorąco prosi o pomoc i w tej sprawie, wierzy, iż przez Polski Czerwony Krzyż najszybciej czegoś się dowie. Jeżeli Marian Parzyński jest na Majdanku — serdecznie proszę o wiadomość, a jeżeli nie, to proszę też odpisać, bo ciężko żyć w niepewności.

Franciszek Parzyński

PT. Pełnomocnik Zarządu Głównego P. C. K.

w Lublinie

Dziś otrzymałam pismo P. C. K. i zaraz odpisuję.

Dziękuję jak najserdeczniej za umożliwienie nam przesyłania paczek dla syna. Od 13. IV. 43 co tydzień wysyłamy na ręce P. C. K. paczki wagi 4-5 kg oraz pieniądze na zakupy, licząc, że syn nasz otrzyma w tych dniach, w których jest podawanie paczek dozwolone, tj. we wtorki i piątki każdego tygodnia — paczkę, raz przez nas wysłaną na ręce P. C. K., a drugi raz przez P. C. K. zakupioną na miejscu. Proszę wybaczyć, że tak często nagabuję P. C. K. moimi prośbami, lecz chcielibyśmy choć w drobnej części dopomóc synowi, a jedyną drogą to właśnie P. C. K. Wyrazy poważania oraz serdeczne „Bóg zapłać“ łączy

Maria Krupińska

21. VII. 43

P. T. Polski Czerwony Krzyż

Rozesła się tu pogłoska, że umieszczeni w obozie na Majdanku koło Lublina zostali wywiezieni do Niemiec, podobno do miejscowości Ravensbrück. Znajdowała się tam moja przyjaciółka — Stefania Kuryłowiczowa, ur. dn. 5.

VII. 1897 r. — rodzice Michał i Stanisława Fiałkowscy, której posyłałam paczki za pośrednictwem P. C. K.

Chciałabym w dalszym ciągu choć w tej formie pomagać jej. Zwracam się więc z uprzejmą prośbą, czy mogłabym być poinformowana, czy i w jakim kierunku wyjechała, i o bliższym jej adresie, a także, czy ewentualnie P. C. K. mógłby w dalszym przesyłaniu paczek pośredniczyć. Równocześnie wysyłam przekazem pocztowym ofiarę na cele P. C. K.

Z wysokim poważaniem

Maria Kwiatkowska

Wieś Przychody pow. Międzyrzec

Szanowny Czerwony Krzyż!

Zawiadomiono mnie, że w paczce Wójcika Stanisława znaleziono 10 zł. Tak, włożyłam, ale mi ich nie zwracajcie. Tylko kupcie dla niego prowiant i wyślijcie dla Wójcika Stanisława i czy ja mogę przysyłać przez pocztę pieniądze do Polskiego Czerwonego Krzyża na zakup prowiantu i napiszcie mi, kiedy ja mam posyłać paczki z poczty w Międzyrzeczu. Proszę odpisać mi

Stanisława Wójcik, Przychody, gm. Mizie

21. I. 44

Do Zarządu Polskiego Czerwonego Krzyża
w Lublinie

Uprzejmie proszę Polski Czerwony Krzyż o łaskawe zainteresowanie się losem Anny Orłowskiej N. 1919 K/L Waffen SS Lublin I. Nie mamy od niej żadnej wiadomości już dłuższy czas.

Zostawiła nam dwoje dzieci na opiece sąsiadów. Już przeszło rok jak wyszła z domu i nie wróciła. Kilka miesięcy była w Oświęcimiu, a od świąt Bożego Narodzenia została przesłana do Majdanku i dostaliśmy tylko jeden list i więcej nie mamy żadnej wiadomości.

Uprzejmie proszę o łaskawe zawiadomienie, bo zostały dzieci bez opieki. Dzieci małe, mają 6 lat a drugie 8 lat. Ojciec nie żyje i matki nie mają. Więc bardzo proszę o zlitowanie się nad sierotami i o jaką wiadomość. Z poważaniem

Felicja Krzyżewska

Maria Gasek, Warszawa
Stępińska 15 m. 2

Uprzejmie proszę Szanowny Zarząd P. C. K. o jak najszybsze sprawdzenie, czy syn mój: Tadeusz Czesław Gasek, ur. dn. 10. IX. 22 r. w Chorzeliach, syn Władysława i Marii z Rybiń-

skich, znajduje się w obozie koncentracyjnym w Lublinie.

Ponieważ otrzymałam od syna przez P. C. K. Okręgu Lubelskiego potwierdzenie odbioru paczki w Lublinie w obozie w dn. 12. II. br., a wysłałam mu paczki, listy i pieniądze do Weimaru, więc się przeraziłam, skąd on się tutaj znajduje, do tego dowiaduję się, że jest chory a podpis jest nieczytelny!

Ta wiadomość jest dla mnie strasznym ciosem. Bardzo serdecznie proszę Szanowny Zarząd o jak najlepsze zaopiekowanie się nim, a ja w zamian będę wysyłała paczki i wszystko, co będzie dozwolone wysyłać.

W listopadzie ub. roku otrzymałam od niego list z Weimaru z dnia 14. XI ub. r., że jest zdrow i dobrze się czuje, tam też kierowałam wszystkie paczki, pieniądze i listy. Jeszcze raz bardzo proszę o łaskawe zaopiekowanie się moim synem, a ja będę robiła wszystko, żeby P. C. K. dopomóc.

Razem z listem wysyłam paczkę do P. C. K. w Lublinie. Bardzo proszę o jak najszybsze zawiadomienie mnie o stanie zdrowia mego syna i staranną opiekę nad nim, za co z góry dziękuję.

Z poważaniem

Maria Gasek

dn. 17. II. 44 r.

Polski Czerwony Krzyż w Lublinie

Niniejszym zwracam się do Polskiego Czerwonego Krzyża w Lublinie z następującą prośbą. W dniu 12. XI. ub. r. mąż mój Kazimierz Rybicki, ur. dn. 30. XI. 1884, syn Edwarda i Eweliny, został po rewizji, która nie wykazała nic absolutnie, zabrany z domu. Pierwsze tygodnie był na Pawiaku, w grudniu już paczki dla niego nie przyjmowali. Obecnie doszła do mnie wiadomość, że mąż mój znajduje się na Majdanku na najostrzejszym oddziale.

Mąż mój był przed wojną wyższym urzędnikiem Minist. Rolnictwa, obecnie w czasie wojny założył warsztat szklarski. Zostałam z 8-letnim dzieckiem w b. ciężkich warunkach materialnych, dlatego trudno mi jest przyjechać samej do Lublina.

Zwracam się więc do P. C. K. z gorącą prośbą o podanie paczki dla mego męża i o ile by została przyjęta, o łaskawe zawiadomienie. Mąż mój jest człowiekiem starszym i cierpi bardzo na wysięk w kolanie, może więc by można dołączyć trochę kowalskiny lub motopiryny.

Polecając sprawę moją P. Cz. Krzyżowi pozostaję

z poważaniem
Maria Rybicka

Warszawa, 28. II. 44 r.

Do Zarządu Polskiego Czerwonego Krzyża
w Lublinie

W odpowiedzi na pismo W. Panów z dnia 25 stycznia 44 r. (L. 277/44 inf. w.) najuprzejmiej dziękuję za tak życzliwe i szybkie uwzględnienie mej prośby i wysyłanie paczek do męża mego.

W międzyczasie otrzymałam listy od męża, który potwierdza odbiór paczek od Szanownego Zarządu i tą drogą wyraża swe podziękowanie. Ponieważ cierpi na silną niedomogę wątroby, a równocześnie jest jeszcze w okresie rekonwalescencji po tyfusie plamistym, prosi o zastąpienie ciężkostrawnych tłuszców, jak boczek, słonina, innymi artykułami odżywczy. Jeśli można, prosiłabym o takie artykuły jak wszelkie przetwory cukrowe, cukier sam, owoce, pieczywo białe, świeże masło, ewentualnie białe mięso, suchary itp.

Byłabym b. wdzięczna, gdyby Szanowny Zarząd zechciał w ramach swych możliwości uwzględnić powyższą prośbę.

Raz jeszcze uprzejmie dziękuję za dotychczasową pomoc i proszę o dalszą opiekę nad mężem.

Z poważaniem
Barbara Doktor

Szanowny Panie Prezesie!

Wiem o przychylnym ustosunkowaniu się Pana i starania w sprawie dożywiania cudzoziemek — ale jako kierowniczka gospodarcza, do której między innymi należy i sprawa dożywiania, otrzymałam od Władz formalny zakaz przydzielania dożywianiakom innymu poza Polakami.

Pomimo to cudzoziemki dokarmiamy z naszych paczek. Wierzę, że panu Prezesowi uda się i to przeprowadzić.

Chorych cudzoziemek wymagających dożywienia jest w tej chwili około 400.

W najbliższych dniach, jak tylko będzie sposobność, prześlę sprawozdanie miesięczne i wszystkie pokwitowania.

Cieszy mnie niezmiernie, że pomysł zrobienia paczek z nadesłanych nam produktów w imieniu P. C. K. odjeżdżającym Polkom znalazł u pana uznanie. Miałam pewne obawy, czy z powodów taktycznych jest to dobre, ale udało się — natomiast nie otrzymałam pozwolenia na paczki dla reszty odjeżdżających — gdyż myśmy chciały dać i mogły wszystkim.

Liczę, że relację o tym, jak bardzo się chore poprawiają i jak gorąco są wdzięczne, będzie Panu Prezesowi „transmitowała“ Alinka Pleszczyńska, a ja proszę przez nią lub bezpośrednio o wszelkie dyrektywy.

Trojanowiczowa, Majdanek

J. W. Pan Prezes P. C. K.

Lublin, Wyszyńskiego 5

Serdeczne Życzenia Świąteczne i Noworoczne oraz podziękowania za okazaną nam tak wielką pomoc i paczki gwiazdkowe przesyłają „Więźniowie Majdanek“

Do Pana Prezesa P. C. K. w Lublinie

Z okazji nadchodzących Świąt Bożego Narodzenia i zbliżającego się Nowego Roku proszę przyjąć od nas dla siebie i wszystkich współpracowników najserdeczniejsze życzenia dobrych i spokojnych Świąt i szczęśliwego roku 1944.

Dr. J. Klonowski

Majdanek, dn. 17. XII. 1943 r.

Majdanek dn. 24. XII. 1943

P. C. K. w miejscu

Dziękując serdecznie za tak wielką pomoc i opiekę w ciężkich chwilach życzymy Wam, Kochani Rodacy, Spokojnych Świąt i Szczęśliwego Nowego Roku.

Polacy — Więźniowie Polityczni

Szanowny i Drogi Prezesie!

Wobec zbliżającego się Święta Narodzenia Pana Naszego, który zstąpił do nas, by nam Swej ofiary służyć przykładem, zasylam Ci,

Kochany Panie, i twoim przyjaciółom najserdeczniejsze życzenia w imieniu własnym i tych, którzy dobroci Twego serca doznali.

Mieczysław Michałowicz

(Prof. Uniwersytetu Warszawskiego)

17. XII. 1943.

Frau Zofia Orłowska

Lublin, ul. Wyszyńskiego 5, P. C. K.

Generalgouvernement

Leitmeritz, 9. VII.

Wielce Szanowna Pani!

Nasza Dobrodziejko.*)

Piszemy, my skazańcy, do Naszej Pani, błagamy o pomoc w postaci paczek, pamiętając o pomocy Waszej na Majdanku. Dwie paczki otrzymaliśmy z Gross-Rosen, lecz jesteście teraz w Komandzie w Leitmeritz Kommando 5 B (IIa) Sudetenland i na ten adres prosimy kierować dalsze paczki.

Błagamy już razem w liście zbiorowym, bo pojedynczo bardzo ciężko pisać — błagamy o suchary, tłuszcz, cukier, o ile możliwe tytoń

*) Wskutek wrogiego nastawienia władz okupacyjnych i pewnej „przyjacielskiej“ przysługi prawo opieki nad więźniami zostało z dn. 1. VII. 44 r. P. C. K. w Lublinie odebrane, pomimo że on ją sprawował bez przerwy w ciągu 4 lat i 8 miesięcy. Pomimo to P. C. K. wysyłał paczki w dalszym ciągu, nadawcami były tylko osoby prywatne, przeważnie pracownicy Biura P. C. K. Tym się tłumaczy adres i nagłówek powyższego listu.

i chleb — błagamy, bo tu w kopalni ciężko żyć bez pomocy. Może litościwe Rodaczki nie opuszczą nas, bo zginiemy tu bez pomocy Waszej. Nasze rodziny nie mogą nam pomóc, bo te tereny są zajęte.

Podaję nazwiska kolegów:

Turczak Roman	Nr. 29 265
Potoczny Tadeusz	„ 29 127
Żendwalewicz Julian	„ 29 377
Zadorożny Marian	„ 29 352

Prosimy usilnie o szybkie załatwienie naszej pomocy. Błagamy Panią litości i czekamy z niecierpliwością wierząc, że Pani nas nie opuści w tej tak ciężkiej dla nas chwili. Zasiłamy ukłony i całujemy ręczki za kolegów

Tadzik

Adres nasz: Leitmeritz Kommando 5 B
Sudetenland II a.

R o z d z i a ł XII.

MAJDANEK SYMBOLEM SOLIDARNOŚCI POLSKIEJ

Są w życiu każdego narodu takie dziejowe chwile, w których solidarność jego członków, dochodząc do zenitu, święci swój tryumf.

Zjawisko to ze względu na swój charakter nie może być i nie jest wymuszone. Spontaniczność jego powstawania, szeroki zasięg i żywiołowy pęd w rozwoju jest probierzem wartości duchowych narodu. Prąd taki porywa zwykle za sobą wszystko i wszystkich.

Ci spośród nas Polaków, którzy dzięki inteligencji, głęboko wrodzonej odpowiedzialności za swoje czyny i znajomości dziejów minionych, mieli pełną świadomość niepodległości swego narodu i dawnej wielkości — doznawali zawsze bolesnych upokorzeń, ilekroć lekceważono nas w stosunkach międzynarodowych zarzucając takie lub inne braki.

Będąc dumni ze swej polskości, między innymi z tej właśnie zranionej dumy, potrafiliśmy wydobyć w krytycznej chwili naszego bytu

takie walory, które przesądziły na naszą korzyść dotychczasowe wątpliwości, zapewniając nam jedno z przodujących miejsc w koncercie światowym narodów.

Wydobyłą z najgłębszych pokładów duchowych, niezachwianą wytrwałością i siłą, zadowoliliśmy się światu, że w najtrudniejszych warunkach potrafimy z wytrwałością i energią organizować się i walczyć z niewspółmiernie przeważającą siłą wroga.

„Twierdzą był nam każdy próg“, a walącymi szeregami: dzieci, kobiety, żołnierze, kapłani; nie zbrakło nikogo, przyszedł chłop, robotnik, mieszczanin i przedstawiciel inteligencji.

Potrafiliśmy nie tylko z obrony Warszawy uczynić polskie Termopile, nie tylko powtórzyć Samosierę w krwawych, pełnych najwyższego heroizmu walkach pod Monte-Cassino; zdobywać palmy męczeństwa, poświęcając miliony najlepszych synów i cór Ojczyzny w bezlitosnej walce, lecz co niemniej jest ważne, daliśmy w codziennym szarym życiu naszych zmagających najwyższy przejaw solidarności w niesieniu sobie nawzajem pomocy, w takim stopniu, iż w zdumienie wprowadzaliśmy nieraz nawet odwiecznego wroga.

Wielkiej szczodroblewości jednych odpowiadała z wytrwałością prowadzona praca organi-

zacyjna drugich, zmierzająca do ulżenia doli nieszczęśliwych.

Znalazło się wielu ludzi, którzy dzięki do-tychczasowemu swojemu życiu, skłonnościom charakteru i umysłu potrafili, przez tych kilka lat, kierując się najwyższą roztropnością i dzierżąc wysoko sztandar własnej i narodowej godności — pracować z zapamiętaniem, nieraz ze świadomą beznadziejnością w sercu... dlatego tylko, że tam... ktoś umiera, gdzieś... jakaś kobieta cierpi głód lub osieroczone dziecko płacze...

Takie przejawy solidarności społecznej wywołuje zwykle jakiś wstrząs na miarę co najmniej państwa zakrojony, jakieś grożące narodowi śmiertelne niebezpieczeństwo lub zogniskowana, jak w danym wypadku, krwawiąca rana — przybytek nieustającej męki tysięcy Polaków.

W tym sensie Majdanek stał się, jeśli chodzi o pomoc okazywaną przez społeczeństwo „mieszkańcom“ obozu i wzajemną nić duchową łączącą tamtych za drutami i nas, stojących po drugiej stronie, wspaniałym symbolem solidarności i urastał, przynajmniej w naszych oczach, do miary wiekopomnego pomnika — chluby narodu.

„Niewątpliwie — pisze w swym liście z Majdanka dnia 28. I. 44. więzień dr Jan Nowak

— w kartkach historii chlubnie zapisze się społeczeństwo lubelskie swoją ofiarnością i pracą na rzecz bojowników o wolność i ofiar reżimu wybujałego zezwierzęcenia degeneratów, wiecznie mordu chciwych.“

Czy tylko jednak społeczeństwo lubelskie? Niewątpliwie Lubelszczyzna ma palmę pierwszeństwa w niesieniu pomocy więźniom na Majdanku, na co złożyła się nie tylko wielka ofiarność jej mieszkańców, lecz w dużym stopniu i położenie Majdanka, leżącego w samym jej sercu.

Należy jednak w tym miejscu stwierdzić, że całe społeczeństwo ze wszystkich zakątków Polski w miarę posiadanych możliwości niosło pomoc bezpośrednio lub w większości wypadków za pośrednictwem Polskiego Czerwonego Krzyża w Lublinie. Mieszkańcy ziemi lubelskiej odegrali przodującą rolę tylko dzięki sprzyjającym warunkom miejscowym.

Na widok zhorowanej mordowni dusza narodu zareagowała natychmiast potężnie. Działanie, które było zewnętrznym jej przejawem, przekształciło się niebawem w spontaniczny czyn miłości bliźniego.

Dzięki ukrytym a bezcennym wartościom charakteru polskiego, powstały w tych wyjątkowych okolicznościach możliwości do reali-

zacji dzieła przerastającego nas swoim ogromem.

Spółeczeństwo zdało chlubnie egzamin. W takich chwilach fakty są najlepszą wymową. Nikt nie czekał na apel czy rozkaz, kiedy w styczniu i lutym 1943 r. zaczęto przywozić z Warszawy liczne tysięczne transporty, kiedy tysiące zgłodniałych chłopów w lipcu tegoż roku zwolniono z Majdanka. Pomoc niesiono samorzutnie w rozmiarach, na jakie pozwolili obozowi SS-mani.

Z tych też względów wszelkie apele P. C. K. znajdowały głęboki oddźwięk i zrozumienie.

Pracy tej przyświecała wielka i wszystkim cywilizowanym narodom wspólna idea Czerwonego Krzyża; społeczeństwo dało środki, a kierownictwo i pracownicy P. C. K. stanowili zastęp żołnierzy wypełniających na powierzonym im posterunku zaszczytny obowiązek.

Kierowani myślą i pragnieniem utrwalenia dla przyszłości dalszych dowodów świadczących o wielkiej dojrzałości naszego narodowego charakteru, podaję w syntetycznym ujęciu tylko to, co w zakresie niesienia pomocy więźniom na Majdanku uczynił Polski Czerwony Krzyż wraz z grupami osób najściślej z nim związanych.

Z całą świadomością i naciskiem należy podkreślić, że P. C. K., instytucja wyszydzana i ograniczona w swej działalności przez oku-

pantów, „szczątkowa pozostałość suwerenności Państwa Polskiego“ — jak to często sami podkreślali — w tej największej potrzebie społecznej zwracał się wyłącznie do inicjatywy prywatnej — wiedząc, że to jest jedyna droga do duszy narodu, i że tam li tylko należy się spodziewać spełnienia obowiązku.

Polski Czerwony Krzyż odrzucał z odrazą wszelką jakąkolwiek bądź pomoc ofiarowywaną mu przez niemiecki rząd Generalnego Gubernatorstwa.

Wierny swojej tradycji niezależności, świadom honoru i obywatelskiego obowiązku, który mu nakazywał nic nie przyjmować od obłudnych morderców, okupujących Polskę, — odwoływał się P. C. K. w Lublinie wyłącznie do Społeczeństwa Polskiego, które wolne w danym wypadku od wszelkich przepisów i nacisków rządowych, dało maximum tego, co inicjatywa prywatna dać może.

Już w innym miejscu niniejszej pracy podkreśliłem, że w roku 1941 i 42 Polski Czerwony Krzyż w Lublinie ze względu na nieprzychylnie ustosunkowanie się obozowych władz — mógł w skromnych tylko rozmiarach posyłać chleb i paczki dla jeńców i chłopów ze spacyfikowanej Zamojszczyzny.

Rok 1943 przyniósł duże zmiany.



Więźniowie zabici przy warsztatach pracy.



Jedna z gardzieli krematorium i dookoła wszędzie kości...



Niedopalone kości pomordowanych ofiar, oto świątobójcze dzieło hitlerowskich Niemiec.



Pięć pieców nowoczesnego krematorium.

Zanim uzyskano oficjalne zezwolenie, niesiono pomoc nielegalnie. Pomimo szumnych wywodów na temat wiernej służby ideałom uczciwości Niemcy w ostatniej wojnie przynajmniej na terenie ziem polskich okazali się natarczywie chciwi w przyjmowaniu tzw. łapówek.

Pomimo daleko idących ograniczeń P. C. K. przez władze okupacyjne Czerwony Krzyż w Lublinie, mając za sobą trzy i pół lat już trwającą pomoc więźniom na Zamku Lubelskim — otrzymał wreszcie zezwolenie odnośnych władz na oficjalne roztoczenie opieki nad więźniami Majdanka.*)

Szerokim zasięgiem popłynęła praca niosąc ulgę uwięzionym i dając licznym zastępom pracowników na niwie społecznej zadowolenie z dobrze spełnionego obowiązku.

Cyfry następujące są bilansem ofiarności publicznej, ilustracją pracy i pomocy „mieszkańcom“ koncentracyjnego obozu w Lublinie.

W okresie czasu od marca 1943 roku do maja 1944:

w zakresie pomocy żywnościowej
wysłał PCK:

*) Wielką rolę w niesieniu pomocy więźniom spełnili: Helena Golla i sędzia Alfred Mossakowski wybitni działacze P. C. K. w Lublinie.

indywidualnych paczek żywnościowych 105 629 sztuk ogólnej wagi 488 490 kg
 produktów żywnościowych do
 wspólnego kotła 51 280 „
 z produktów tych wydano gorących porcyj zwykłych i dietetycznych 249 431 „
 chleba (poza chlebem w paczkach) 10 450 „
 bułek białych dla chorych i ozdrowieńców 1 645 „

w zakresie pomocy leczniczo-sanitarnej

wysłał PCK:

lekarstw i materiałów opatrunkowych 90 skrzyń oraz jeden czterotonowy samochód ciężarowy — szczepiono tyfusem plamistym, brzusznym i biegunką niemal wszystkich więźniów Polaków — zaopatrzone dwa szpitale obozowe we wszelkie narzędzia chirurgiczne i aparaty lecznicze — umieszczono na leczenie we własnym „Domu Ozdrowieńców“ i w Szpitalu Lubelskim 737 chorych;

w zakresie innej pomocy

zaopatrzone:

w suchy prowiant na drogę, nakarmiono obiadami i wypłacono zapomogę na kupno biletów zwolnionym więźniom w liczbie . . . 1 392 osób

wysłano
słomy na zmianę do sienników 240 m³
paczek odzieżowych 147 szt.
papierosów 227 220 „
pocztówek do korespondencji ze
znaczkami 83 682 „
ubranych choinek do baraków i
na pola na Boże Narodzenie 84 „

Prace, związane z niesieniem pomocy więźniom, wykonywał personel w biurze lubelskiego P. C. K., składający się z 23 osób honorowych i 18 płatnych.

Dostawę do obozu wykonywał własny tabor Polskiego Czerwonego Krzyża, korzystając często przy większych transportach, z bezinteresownej pomocy przewozowych biur.

Ogółem wysłano produktów żywnościowych w paczkach i do wspólnego kotła na Majdanek 551 825 kg.

Jeśli do tego dodamy żywność przesłaną więźniom, przebywającym na zamku w Lublinie, oraz prowiant, w jaki zaopatrzone przejściowy koncentracyjny obóz w Budzynie (pow. kraśnicki), i do innych obozów koncentracyjnych w Rzeszy, to otrzymamy w sumie 1 227 346 kg, co stanowi, dla lepszego zobrazowania 128 wagonów dziesięciotonowych.

Przy rozważaniu powyższych cyfr należy każdorazowo uświadamiać sobie, iż pochodziły

one wyłącznie i jedynie z ofiarności publicznej zubożalego społeczeństwa i że były gromadzone przy najdalej posuniętych ograniczeniach apro wizacyjno-komunikacyjnych ze strony okupa cyjnych władz.

Analizując z kolei pozycje przytoczonego sumarycznego sprawozdania, przyjrzyjmy się ich wymowie w świetle najbardziej miarodaj nych dokumentów — świadectw samych zain teresowanych więźniów.

Paczki żywnościowe! Sześć suchych cyfr, oznaczających ich ilość a następnie wagę, na bierają właściwego ciężaru gatunkowego dopie ro wówczas, gdy się zważy poniższe słowa zwol nionych z Majdanka pań warszawskich:

„Gdyby nie paczki i pomoc Polskiego Czer wonego Krzyża w Lublinie, czekałaby nas jed na z najstraszniejszych śmierci — śmierć głodo wa“. (Wiosna 1943 roku).

Produkty żywnościowe, zupy P. C. K. goto wane w czternastu kotłach obozowych, bułki i chleb!

Najlepiej uczynię, jeśli głos oddam człon kom komisji, składającej się z polskich lekarzy więźniów, powołanej do sprawowania kontroli nad całokształtem pomocy niesionej mieszkań com obozu.

Spośród licznych listów, sprawozdań i ra portów podaję najbardziej charakterystyczny:

Do
Zarządu Polskiego Czerwonego Krzyża
w Lublinie

Po raz pierwszy mamy możliwość wyrazić piśmiennie najserdeczniejsze podziękowanie Zarządowi P. C. K. w Lublinie za pomoc leczniczą i opiekę nad Polakami w obozie. Środki lecznicze, paczki, bułki i chleb otrzymywaliśmy już od dłuższego czasu. Ostatnio P. C. K. przekazuje na nasze ręce również produkty spożywcze, które są przygotowywane w kuchni obozowej dla chorych Polek i Polaków. Ta wydatna pomoc gruntownie poprawiła warunki wyżywienia i leczenia chorych, będących pod naszą opieką. Przydział leków i żywności dla chorych odbywa się pod kontrolą lekarzy polskich. Produkty są przechowywane w magazynie rewirowym pod opieką intendenta Polaka p. Bargielskiego, wydawane osobiście przez niego, następnie w kuchni w jego obecności są wsypywane do kotła. Ugotowaną strawę przydziela intendent poszczególnym blokom. Na osobę przypada $\frac{3}{4}$ litra zupy. W obecnej chwili liczba Polaków na Rewirze (Szpital) wynosi 469 łącznie z personelem. Cyfra ta ulegać będzie wahaniom raczej wzwyż. Jeżeli to jest możliwe, prosimy o przydział przypraw do zup i większej ilości cukru i tłuszczu.

Nie umiemy wyrazić tych słów podzięk i wdzięczności, jakie słyszeliśmy z ust chorych przy rozdawaniu pożywienia.

W imieniu lekarzy polskich:

- (—) Michałowicz Mieczysław, lekarz,
profesor Uniwersytetu Warszawskiego
- (—) Konopka Stanisław, lekarz,
- (—) Nowak Jan, lekarz,
- (—) Sztaba Romuald, lekarz.

Intendent:

- (—) Bargielski Jerzy

Lublin, 22. X. 1943 r.

Niemniej ciekawe uwagi na ten temat, podane w formie najbardziej obiektywnej, zawiera list więźnia Żmigroda (pseudonim) z dnia 2. 3. 1944.

„Śmiertelność Polaków znacznie mniejsza (w ostatnim okresie) — dzięki: a) lepszemu odżywianiu (paczki indywidualne od rodzin i P. C. K. i ogólne dożywianie wszystkich Polaków chlebem i produktami na zupy z P. C. K.), b) lepszemu zaopatrzeniu w lekarstwa (PCK).

Odżywianie ma takie znaczenie, że gdy ustawić różnych więźniów, to ze stosunkowo niewielkimi omyłkami można pokazać (nie pytając), którzy są Polakami.

Powiedzcie to tym, którzy ofiarowują swe grosze na te cele.“

Podczas, gdy społeczeństwo składało swe ofiary na rzecz męczonych współbraci, P. C. K. chcąc zapewnić celowość tej pracy, zorganizował tzw. „wizyty“ lekarzy polskich z Majdanka. Polegały one na tym, że co dwa tygodnie, a nieraz i co tydzień, trzech lub czterech lekarzy wraz z intendentem, w asyście straży, przyjeżdżało do biura Polskiego Czerwonego Krzyża. Wizyty te nazywano „rautami.“

Przed wyznaczonym terminem listy i depe-sze szły w różne części kraju do rodzin więźniów, mających przybyć do P. C. K., z wezwaniem do przyjazdu.

Niemal tradycyjnym zwyczajem „wizyta“ zaczynała się od części „audiencjonalnej.“ W moim gabinecie omawiano oficjalnie wszelkie potrzeby majdankowskich więźniów. Trwało to zwykle krótko — dla oka władzy, po czym więźniowie-lekarze przechodzili do innego gmachu P. C. K., gdzie czekały na nich rodziny.

I tu dopiero po dłuższych powitaniach i rozmowach rodzinnych omawiało się z przedstawicielami majdankowskiej kaźni w poufnej formie właściwe zagadnienia i potrzeby.

Po spożyciu śniadania i wspólnego z rodzinami obiadu, co zwykle przeciągało się do godziny czwartej po południu — nieszczęśliwi-

szczęśliwcy chwilowej wolności wracali za obozowe druty.

„Rauty“ te, o czym półoficjalnie wiedziały władze, były kuźnią, gdzie powstawały i były omawiane pomiędzy przedstawicielami P. C. K. a polskimi lekarzami obozu nowe plany, dotyczące opieki na Majdanku.

Wspomnieliśmy już o rodzinach więźniów, o najbliższych... Płakali więźniowie, płakali członkowie rodzin po latach nieraz witając najbliższych, do głębi byliśmy wzruszeni i my, mimowolni świadkowie i sprawcy tych radosnych i tragicznych zarazem chwil.

Dwa momenty utkwily na zawsze w mojej pamięci. Pierwszy, wzruszający swoją serdecznością, rycerską kulturą i pamięcią. Niech mi wybaczy sędziwy przedstawiciel nauki p. profesor Michałowicz, iż z całą bezceremonialnością obnażę światu jego powitanie z czcigodną małżonką, nie mogę odmówić jednak sobie utrwalenia tego pięknego obrazu przynajmniej w kilku słowach.

Bo czyż do codziennych należy rzeczy, gdy profesor Uniwersytetu — wybitny przedstawiciel nauki, więzień „nowoczesnego piekła“, obcujący za pan brat ze śmiercią, po przebytej ciężkiej chorobie — w więziennym pasiaku — przynosi z Majdanka na powitanie żony piękne róże....?

Przyznam się, że przez cały czas rozmowy, zobaczywszy kwiaty, nie byłem w stanie oderwać myśli i oczu od tej postaci dżentelmena-więźnia.

Proszę mi wybaczyć, Panie Profesorze! Ale od Pana niech się młodzież męska uczy, z jaką czcią i pietyzmem, godnym najwyższego wzoru, należy ujmować swój stosunek do kobiety.

Druga niezapomniana chwila to powitanie przez jednego z lekarzy po czteroletnim z góra niewidzeniu matki staruszki i małego synka. Przybyli aż ze Śląska, czekając w Lublinie kilka dni, by zobaczyć: jedno ukochanego syna, a drugie — ojca.

Wstrząsająca scena powitania — krzyk matki, której stargane życiem nerwy nie wytrzymały tragicznej chwili spotkania — nieustający płacz małego dziecka, w swej plastycznej wymowie przeżywanych przez nas czasów były tak wielkie, że nie tylko obecni Polacy, lecz nawet SS-mani nie byli w stanie powstrzymać łez.

Nie byłbym ścisły, gdybym pominął fakt, że wówczas właśnie jeden z konwojentów, starszy sanitariusz Fritz B., wziął na kolana płaczące dziecko i prosząc o przetłumaczenie jego słów powiedział do niego:

„Pamiętaj, jak dorośniesz, żebyś był takim Polakiem jak Twój ojciec.“

Należy dodać, iż wspomniany niemiecki sanitariusz był na Majdanku jednym spośród nielicznych unikatów, od którego poza przychylnością i pomocą, Polacy nic złego nie doznali.

Przechodząc z kolei do opisu pomocy lekarsko-sanitarnej, o jakiej mowa w przytoczonym sprawozdaniu, należy z góry zaznaczyć, iż będzie ona tak niezupełna ze względu na trudność poruszanego tematu i warunki, w jakich była okazywana — jak ułomną jest pamięć ludzka w utrwalaniu zasłyszanych rzeczy, pochodzących z zakazanych „piekielnych czeluści XX wieku.“

Opis powstawania szpitali na pierwszym i na piątym polu, walkę z epidemią na trzecim i historię majdankowskiego szpitalnictwa w ogólności, wraz z jego wszystkimi tajemnicami, selekcjami — i naukowymi metodami niszczenia, znajdzie zapewne szerszy polski ogół w pracach polskich lekarzy po szczęśliwym ich powrocie z obozów w III Rzeszy.

I znowu dla ułatwienia sobie pracy, a jednocześnie, aby dać wierny i bezstronny obraz, sięgnąć musimy do więziennych źródeł.

Przytaczam w związku z tym w całości list dr Perzanowskiej, dla krótej pracy i poświęcenia P. C. K. nie ma dość słów, by wyrazić uznanie:

„Wielce Szanowny Panie Prezesie!

W imieniu wszystkich chorych Polek na ręce Pana składam najserdeczniejsze podziękowanie za tak cenne leki i tak intensywne dożywanie. Dwa z ostatnich transportów poprawiają się wprost w oczach i nie mają słów wdzięczności dla P. C. K.

Według ostatnich instrukcji (z PCK) będziemy rozdzielać dożywanie i dla innych narodowości. Muszę zresztą zaznaczyć, że te inne narodowości są bardziej wyniszczone niż nasze Polki.

Mamy tu teraz istotnie „wieżę Babel“ — przy badaniu ostatniego transportu doliczyłam się 13 narodowości.

Co się tyczy leków, to prosiłabym, o ile możliwe, o przesyłanie nadal oddzielnie na nasze pole i zależy mi specjalnie na takich lekach, jak wapno dożylnie, tiocol, bo mnóstwo jest ostatnio gruźlicy. Ponieważ mamy tu aptekarza, więc tiocol w proszku tak jak ostatnio zupełnie nam dogadza; możemy z tego robić syropy, bo przecież dostaliśmy cukier. Bardzo też proszę nadal o spore ilości ziół — tamte mi się już wyczerpały — robię różne z nich nalewki i mieszanek. Poza tym mam duże zapotrzebowanie na salol i tanalbinę. A także wielka prośba o igły do zastrzyków, grubsze i cieńsze i specjalne igły do punktacji opłucnej i do upu-

stu krwi. Z leków nasercowych wielka prośba o ira adonis veronalis i ira convall. Jeśli idzie o dane ilościowe to łącznie z ostatnim transportem (780 chorych z Ravensbrück) mamy na polu do 1200 chorych, z tego 270 Polek.

Chciałabym jeszcze podziękować Szanownemu Panu z całego serca za ułatwienie mojej prywatnej korespondencji i jeżeli to możliwe, bardzo byłabym wdzięczna za dalsze utrzymywanie kontaktu tego. Tak bardzo jest to cenne dla nas — wyrzuconych poza nawias społeczeństwa i rodziny.

Raz jeszcze w imieniu wszystkich, którzy doznają od Was tej cennej tak bardzo opieki, ślę z całego serca — staropolskie „Bóg zapłać.“

(—) *Dr J. Perzanowska*

Na męskim rewirze (piąte pole) pod koniec 1943 roku było ponad 2000 chorych. Toteż nie dziwnego, że pomoc w postaci lekarstw wysuwała się w tym okresie na pierwszy plan.

„Lekarstwa najważniejsze — pisze więzień Żmigród — dla Polaków jakoś wiąże się koniec z końcem, dzięki pomocy P. C. K. wprost nieocenionej.“

Skąd Polski Czerwony Krzyż w tak ciężkich warunkach, nie mając żadnych przydziałów brał tak wielkie ilości różnych medykamentów?

Trudno znaleźć słowa, by dać wyraz uznania dla wszystkich lubelskich aptek za ich wysoce obywatelskie w tej sprawie stanowisko.

Dosłownie można rzec, że nie było takich leków, których by oni bez względu na ilość i na czas nie dostarczyli, co zaś jest godne uznania najwyższego, czyli to więcej niż bezinteresownie.

By dostarczyć 90 skrzyń leków i 1 czterotonowy samochód ciężarowy naładowany w całości lekarstwami, trzeba było nie lada się na trudzić.

Pomoc jednak ludzka wszędzie i we wszystkim, harmonizowana w służbie idei miłosierdzia, zrobiła swoje.

Największą jednak trudnością, jaką mieliśmy do pokonania, było przeprowadzenie szczepień ochronnych przeciwko tyfusowi plamistemu, który w obozie zbierał początkowo obfite żniwo śmierci.

Pomimo zarządzeń, grożących karą śmierci za użycie szczepionek przeciwdrurowych przez osoby nie wchodzące w skład Wehrmachtu — i te zakazy ominięto.

Wysiłki polskich lekarzy na Majdanku — oraz pomoc Krakowskiego PCK z doktorem Adamem Szbestą na czele w zdobywaniu szczepionek — dała ten rezultat, że wszyscy niemal więźniowie polscy zostali zaszczepieni. Innym

narodowościom, a zwłaszcza Żydom, przeprowadzenie szczepień ochronnych zostało przez władze obozowe Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi uniemożliwione.

Uzyskanie prawa legalnej wysyłki papierosów w paczkach i w dowolnych ilościach do baraków męskiego szpitala, jak nam wiadomo, więźniowie powitali z prawdziwym entuzjazmem. Niestety, nie udało nam się uzyskać tego rodzaju przywileju dla mężczyzn na Zamku w Lublinie, dokąd PCK miał prawo wysyłać papierosy tylko w czasie świąt.

O ułatwieniu więźniom prowadzenia korespondencji z rodzinami mówiłem już w poprzednim rozdziale. Miarą jej intensywności i zasięgu jest cyfra: 83 682 pocztówek do korespondencji wysłanych więźniom na Majdanku i tysiące listów informacyjnych, które przeszły przez biuro PCK w Lublinie — w sprawie odpowiedzi, udzielanych rodzinom na wszelkie pytania stawiane w związku z pobytem najbliższych w obozie, więzieniu lub w sprawie ich odszukania.

Zdawaliśmy sobie aż nadto dobrze sprawę z tego, że najbardziej nawet intensywna pomoc społeczeństwa za pośrednictwem PCK. nie jest w stanie zastąpić więźniom, chociaż w przybliżeniu, ich domowych ognisk i tego, co im gwałtem odebrano — wolności.

Z tego też względu usiłowania nasze szły, w miarę możliwości, w tym kierunku, by na każdym kroku dać im odczuć, że myślimy stale o nich. Toteż nie było świąt, aby nie dostali od nas specjalnych upominków — paczek z obrazkami i życzeniami PCK.

Tradycji i ich pragnieniom czyniąc zadość, zostały umieszczone we wszystkich obozowych barakach i na poszczególnych polach przystrojone w stylu ludowym choinki. Nie brakło opłatka, a na Wielkanocne Świąta bab i pisanek. Kobietom zaś, wiedząc, że je tak lubią, posyłano kwiaty.

Nie więc dziwnego, że przesyłając do Polskiego Czerwonego Krzyża z okazji nadchodzących świąt, artystycznie wykonane obrazki i drzeworyty — wśród wielu miłych listów znalazł się i ten — nieznanej nam bliżej utalentowanej autorki:

„Kolejne Świąta Bożego Narodzenia...

Pierwsze, trzecie, dla niektórych piąte — bez domu, bez rodzin. Zdawałoby się, że powinny być smutne, ale nie będą takie. Jest ktoś, kto czuwa nad nami, kto nas wiąże ze światem, z domem z najbliższymi, kto między sercami naszymi i sercami naszych ukochanych potrafił przeciągnąć mocną, pewną nić, uwitą z najserdeczniejszej troski o nas.

Dzięki Wam — nie czujemy się tu odcięte.
Dzięki Wam, — wiemy, że jesteśmy w kraju
— wśród bliskich.

Łamiąc się opłatkiem przy stole wigilijnym,
myśląc o naszych najdroższych, myśleć będzie-
my jednocześnie o Zespole Czerwonego Krzyża
z serdeczną wdzięcznością za

trud, troskę i serce...

Majdanek - Pole I dn. 24. XII. 1943.“

Nikomu niewątpliwie nie jest obcym, że lu-
dzie w obliczu groźnych niebezpieczeństw,
a zwłaszcza śmierci — stan permanentny w któ-
rym znajdowali się więźniowie we wszystkich
koncentracyjnych obozach hitlerowskiego reżi-
mu — jeśli się tak wyrażę — instynktownie
szukają Boga.

Przeżycia te, w większości wypadków, bez
względu na rodzaj formalnie wyznawanej wia-
ry — powodują nawrót do wyższych prawd,
wywołując masowe nieraz nawracania.

Dla nas Polaków religia jest zasadniczym
pierwiastkiem naszej kultury, tkwi głęboko
w naszym ustroju psychicznym i jako część
składowa duszy stanowi główny rys naszego
charakteru.

Stąd też i „mieszkańcy“ Majdanka narodo-
wości polskiej i więzienia lubelskiego jako



„Piramidy” kości pozostałe na Majdanku po nowoczesnych
hitlerowskich budowniczych świata.



Krematorium, popiół, piszczela i czaszki.

nieodrodnymi członkowie narodu polskiego ulegali takim samym przeżyciom.

Licząc się z tym i wiedząc, jak wielką ulgę w ich przymusowym „wyrzuceniu poza nawias społeczeństwa i rodziny“ — może przynieść pociecha religijna, uczyniliśmy wszystko, co było w mocy naszej, by uzyskać w tej dziedzinie od obozowych władz odpowiednie zezwolenia.

A otrzymawszy wreszcie od Niemców odpowiedź, że więźniom na Majdanku potrzebna jest jako niepoprawnym zbrodniarzom raczej kula niż Ofiara i Komunia Święta, ryzykując — poszliśmy utartymi drogami, by i pod tym względem swój zasadniczy obowiązek spełnić.

Upredziwszy o tym wtajemniczonych więźniów, o oznaczonej godzinie odprawiono na ich intencję Mszę Św. w kościołach lubelskich, a na Boże Narodzenie w dużej sali lokalu PCK z udziałem miejscowego społeczeństwa miała miejsce pasterka.

Komunię Świętą przesyłano w większych ilościach, schowaną pomiędzy lekami. Na miejscu zaś, w „piekielnej obozowej czeluści“, w prymitywnych warunkach, katolicki kapłan za zezwoleniem lubelskiej Kurii Biskupiej sprawował Najwyższą Ofiarę.

Na majdankowskim ofiarnym stosie męczenników - przedstawicieli wielu narodów,

była to Ofiara szczytową i największą ku odkupieniu i ponownemu odrodzeniu ludzkości.*)

Oni tam za drutami i my po tej stronie zespoleni byliśmy nierozzerwalnymi więzami wspólnoty myśli i czuć, czego najlepszym dowodem może być poniższy pożegnalny list „ostatnich Mohikanów“ Majdanka, skierowany pomimo oficjalnego na nim adresu w istocie do najszerszych warstw polskiego społeczeństwa.

Do Pana Prezesa Polskiego Czerwonego Krzyża
w Lublinie

Panie Prezesie!

Jako „ostatni Mohikanie“, pozostali na Majdanku, śpieszymy, aby Panu oraz wszystkim Pana Współpracownikom złożyć najszczerze z głębi serca płynące życzenia błogosławionych i pogodnych Świąt Zmartwychwstania.

Przy tej okazji jeszcze raz pragniemy podziękować Wam wszystkim za serce Wasze, które ogarnęło, pomieściło w sobie tysiące serc naszych.

Podziękować Wam za trudy i pracę, oraz wszystko, coście czynili w szlachetnym porywie płomiennej miłości i poświęcenia dla współbraci.

*) Obok P. C. K. pomoc duchową nieśli przesyłając Komunię Świętą na Majdanek ksiądz Ignacy Żyszkiewicz proboszcz parafii Dziesiąte, a na Zamek lubelski (do więzienia), ksiądz Antoni Thiel i ks. kan. Jan Poddębniak.

Jesteśmy przekonani, że będziemy wyrazi-
cielami uczuć Braci naszych, którzy odjechali.
Dlatego słowa te kierujemy do Was w Ich i Nas
wszystkich imieniu.

W. Kołodko, J. Bargielski, Golina

Bilansując na tle niniejszej pracy, w świet-
le całokształtu minionych wydarzeń, wielkie
wysiłki naszego narodu, pomimo iż wojna jesz-
cze nie skończona — możemy już dziś na pod-
stawie niewątpliwych przesłanek wyciągnąć
pomyślnie wnioski co do przyszłości naszego na-
rodu i Państwa.

Jeśli wytrwałość, energia, panowanie nad
sobą, poświęcenie dla idei i wartość moralna
są probierzem wartości charakteru danego na-
rodu, decydującym o jego historycznej roli, to
nadeszła chwila, kiedy ze spokojem możemy
oczekiwać przyszłych dziejowych wydarzeń.

Któż nie przyzna, iż w wytrwałości, jakiej
dali liczne dowody: milionowe zastępy naszych
bohaterskich męczenników, żołnierze walczący
w kraju i po różnych krańcach dalekiej obczyz-
ny poszczególne warstwy społeczne z zapamię-
taniem broniąc swego narodowego bytu — nie-
wiele może pójść w zawody.

Czyż znajdzie się ktoś, kto by nie uznał, iż
w pracy organizacyjnej całej państwowej struk-
tury podziemnej kraju, w warunkach krwawej

barbarii najeźdźcy i w poczynaniach naszych na terenie międzynarodowym nie daliśmy wymownych dowodów niespożytej energii.

Może ktoś zaprzeczy, że jedynie roztropności i wartościom swoim zawdzięczamy, iż służąc wiernie idei niepodległości — jesteśmy jedynym narodem spośród okupowanych przez III Rzeszę, w którego szeregach nie znalazł się nikt, kto by poszedł na takie lub inne układy z wrogiem.

Fanatyzm zacieklej wroga, przepojonego wiarą w posłannictwo niemieckiej rasy, z gwałtownością nawałnicy burzący po drodze wszystko, spotkał na naszej ziemi niemniej potężną siłę: niezachwianą wiarę w zwycięstwo, wiarę w ideę Wielkiej Sprawiedliwej Polski, powołanej w nadchodzącej epoce do spełnienia polityczno-cywilizacyjnej misji dziejowej.

Wywalczyliśmy dalszy byt nasz hekatombą krwi milionów. Ta wielka, niepowetowana strata jest jednocześnie naszą największą skarbnicą, jaką bezimienni bohaterowie nam pozostawili.

Ten testament samozaparcia umarłych, grający główną rolę w życiu narodu, — tym, co danym będzie dożyć chwili odbudowy Państwa — musi być i będzie najwyższym drogowskazem w kontynuowaniu dzieła nieprzerwanego łańcucha minionych pokoleń.

Maj 1944 r. *Lublin.*

R o z d z i a ł XIII.

OSTATNI AKT

Kataklizm przeminął. W ostatniej chwili przed wkroczeniem do Lublina oddziałów Armii Czerwonej i Wojska Polskiego raz jeszcze rozszalała bestia hitlerowska. Wymordowano wszystkich więźniów na Zamku w Lublinie, dzień i noc paląc zwłoki na Majdanku.

Resztę „mieszkańców“ obozu wypędzono pod silną strażą w kierunku na Kraśnik a następnie za Wisłę.

Płonące od tylu lat piekło wygasło...

Zamknęła się ostatnia karta historii „mrocznych czeluści XX wieku“ i jedynie prochy męczenników, rozsiane po drogach i okolicznych polach, na wieki będą świadczyć o tym, co było.

* * *

Gdy rozwarły się na zawsze bramy Majdanka, nowopowstające Władze Państwa Polskiego powołały niezwłocznie do życia Nadzwyczajną Komisję do zbadania zbrodni niemieckich, popełnionych na terenie miasta Lublina.

W skład Komisji weszli: Witos Andrzej, jako przewodniczący Komisji, Ks. Infułat Kruszyński, Administrator Diecezji Lubelskiej, Profesorowie Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego: Białkowski, Popławski i Schilling-Siengalewicz, ten ostatni jako przewodniczący podkomisji Sądowo - Lekarskiej; Prokurator Sądu Apelacyjnego w Lublinie Balcerzyk, Prezes Sądu Okręgowego w Lublinie Szczepański, Prezes Polskiego Czerwonego Krzyża Christians, jako przewodniczący podkomisji Sądowo - Śledczej, Adwokat Dr. Sommerstein, Inżynier Kelles-Krause, przewodniczący podkomisji sądowo-technicznej, oraz przedstawiciele Uniwersytetu Moskiewskiego, Profesorowie: Graszczenkow, Prozorowski i Kudriawcew.

Po długotrwałych, szczegółowych i wyczerpujących badaniach, w oparciu o ogromny materiał dowodowy, Nadzwyczajna Komisja wydała specjalny komunikat, którego wyjątki poniżej cytuję:

„Wszystko to, z czym spotkała się Komisja, mająca za zadanie zbadanie przestępstw niemieckich w mieście Lublinie i okolicach, pozostawia daleko w tyle znane już fakty niemieckich zbrodni, dokonanych w innych krajach.

Rząd hitlerowskich Niemiec zorganizował system masowego niszczenia niewygodnych mu grup ludności, w pierwszym zaś rządzie inteli-

gencji okupowanych krajów w Europie. W tym celu stworzona była niesłychana w swojej skali olbrzymia fabryka śmierci, czyli obóz zniszczenia — Majdanek — w odległości 2 km od miasta Lublina, oraz obóz znajdujący się w samym Lublinie przy ulicy Lipowej.

Oba te obozy ściśle połączone były z więzieniem lubelskim i stanowiły łącznie jedną całość, obliczoną na masowe tępienie ludzi.

Te zbrodnie przestępców hitlerowskich naberają ogólnoeuropejskiego znaczenia, nie tylko z uwagi na uśmiercanie przedstawicieli wszystkich europejskich narodów w tych obozach, ale i ze względu na to, że sam system uśmiercania potwornie wielkich rzesz ludzkich, stworzony i realizowany przez oprawców hitlerowskich i rząd Trzeciej Rzeszy, wykazuje w całej pełni cel polityki hitlerowskich Niemiec oraz metody jej realizacji.

I. B u d o w a o b o z u ś m i e r c i —

M a j d a n e k

Budowa obozu na Majdanku sięga końca 1940 roku. W listopadzie 1941 roku do obozu przygnano pierwszą partię jeńców rosyjskich w ilości 2.000 ludzi. Rękami jeńców rosyjskich, jeńców byłej Armii Polskiej i chłopów pacyfikowanej Lubelszczyzny dokonano budowy tego obozu.

Obóz położony jest w odległości 2 km od miasta Lublina na ziemiach odebranych chłopom i właścicielom ziemskim.

Obejmuje on przestrzeń 274 ha i miał składać się początkowo z tzw. dziesięciu pól. Na początku 1943 roku wykończono całkowicie budowę sześciu pól.

Na każdym tzw. polu pobudowano 24 baraki, wszystkiego zatem stanęło 144 baraki. Każdy z baraków obliczony był na pomieszczenie od 200 do 300 ludzi. Poza tym pobudowana była cała olbrzymia sieć budynków gospodarczych, wszelkiego rodzaju składów, pracowni, baraków służbowych itp. Obóz ogrodzony był dwoma rzędami kolczastego drutu. Ponadto wszystkie sześć pól oddzielone były wzajemnie od siebie wewnątrz samego obozu całą siecią drutowanych ogrodzeń, z oddzielnymi strażnicami przy wejściach na każde pole. Przez owe druciane zagrody puszczony był prąd wysokiego napięcia oraz w odległości 200 m jedna od drugiej pobudowane były strażnicze wieże, na których stale, we dnie i w nocy, znajdowali się pełniący straż SS-mani z karabinami maszynowymi. Cały obóz strzeżony był przez formację SS nie przekraczającą 500 ludzi. Poza SS-manami ochronę obozu spełniały również wytresowane do tego celu psy w ilości 200 zwierząt stanowiących niesłychanie ważny element funkcyjny

obożu. Obóz rozporządzał także pomocniczą policją — capo — składającą się przeważnie z elementów zbrodniczych, nadsyłanych z więzień niemieckich i obliczonych po jednym capo na jeden barak.

Ucieczka z samych pól, w szczególności po włączeniu wysokiego napięcia na druty, była całkowicie nie do pomyślenia i wszelkie też próby takiej ucieczki, nawiasem mówiąc bardzo rzadkie, mogły się zdarzyć jedynie przy wykonywaniu robót na zewnątrz obozu.

Obóz jednocześnie mógł pomieścić od 25 do 40 tysięcy więźniów. W poszczególnych momentach, jak tego dowodem są zeznania naocznych świadków, w obozie znajdowało się do 45 tysięcy ludzi (patrz protokół oględzin Koncentracyjnego Obozu str. 532).

II. K o n t y n g e n t o b o ż u

W obozie przebywali w tym samym i w różnych okresach czasu: jeńcy rosyjscy, jeńcy polscy wzięci do niewoli w 1939 roku, obywatele: Związku Sowieckiego, Polski, Chorwacji, Jugosławii, Czechosłowacji, Francji, Belgii, Włoch, Holandii, Grecji i Niemiec.

Fakty te zostały ustalone drogą: dokumentów, ujawnionych w obozie w postaci dowodów osobistych obywateli wyżej wyliczonych państw;

częściowych spisów zmarłych i na podstawie księgi śmiertelności, z której udało się ustalić liczby zgonów od 1 marca do 6 kwietnia 1944 roku, oraz zeznaniami świadków.

Odnalezione dowody osobiste w najmniejszym stopniu nie odpowiadają ilości obywateli danego państwa, osadzonych i zabitych w obozie.

Oto przykład: Odnaleziono na Majdanku dwa dowody osobiste obywateli greckich, wówczas gdy przywieziono do obozu, jak wynika z zeznań świadków, z Grecji, w szczególności z Aten — 1200 osób. W skład tego transportu wchodziłi przeważnie przedstawiciele inteligencji: inżynierowie, architekci, archeolodzy, lekarze itd. W bardzo krótkim czasie zginęli oni, bądź zabici, bądź padli ofiarą wyczerpującej pracy i nieludzkiego znęcania się nad nimi.

Ilość rosyjskich jeńców wojennych w różnych okresach czasu wahała się od 2 do 8 tysięcy ludzi. Ogólna liczba rosyjskich jeńców wojennych, która przeszła przez obóz, z całą dokładnością obliczyć się nie da, można jednak na podstawie zeznań świadków cyfrę tę ustalić w przybliżeniu na 150 tysięcy.

Francuz Le-du-Couranten, Holender Benen, Czech Tomashek, garść Polaków i grupa jeńców rosyjskich, którzy pozostali w chwili wkroczenia do Lublina Wojsk Sprzymierzonych,

są żywym odzwierciedleniem głównego celu Majdanka i stalej w nim obecności obywateli niemal wszystkich państw Europy.

Liczba wymordowanych ludzi i zamkniętych w obozie nieustannie zwiększała się: liczbami rosyjskich jeńców, mieszkańcami różnych państw Europy, okupowanych przez hitlerowskie Niemcy, licznymi grupami osób schwytanych przez Gestapo na ulicach, dworcach i w domach w czasie systematycznie i stale przeprowadzanych obław i rewizji w Polsce i w innych okupowanych krajach, oraz Żydami, do listopada 1943 roku przywożonymi masowo z gett, stworzonych tam, gdzie tylko sięgała władza hitleryzmu, aż do całkowitego ich zniszczenia.

Ze znalezionych paszportów jako przykład można wskazać: dokumenty obywateli polskich: Czesława Siedleckiego, Władysława Sonicznego, Stanisława Jankiewicza i inne; paszporty Z. S. R. R. — Marii córki Timofieja Gorunowej, Mikołaja syna Franciszka Mazurkiewicza; dalej dokumenty obywateli Chorwacji i Jugosławii: Stefana Stefanowicza, Rano Žunid; dokumenty obywateli Czechosłowacji: Józefa Glucze, Rudolfa Feldingera i inne; dokumenty obywateli francuskich: Gabriela Labruyere, Emila Moltagne, Lucien Roi, Auguste Chirolle, Andre Pincon i inne; dokumenty obywateli belgijskich: Leona Bazeau, Teofila Van Dozrane; dokumen-

ty obywateli Italii: Gustawa Molet, Giuseppe Mussi, Pio Inozi i inne; dokumenty obywateli holenderskich: Bertus Van der Palm, Andertinius van der Irimi, Petrus Jonsen i inne; dokumenty obywateli Grecji: Ean Sureme (patrz str. 553, 559 materiał. dochodzenia).

W części księgi, obejmującej śmiertelność obozu, ustalono, że w okresie jednego miesiąca marca 1944 roku zginęło 1654 więźniów, wśród nich było 615 Rosjan, 247 Polaków, 108 Francuzów, 74 Jugosłowian, pozostała reszta przypada na różne narodowości krajów zachodniej Europy.

Wśród zamkniętych w obozie było wiele kobiet, dzieci i starców. Zdarzały się wypadki, że zamykano do obozu całe rodziny. Dzieci były różnego wieku, nawet niemowlęta. Wszyscy oni podlegali jednemu losowi.

Jak z tego wynika, obóz był miejscem zatrzymania i wytępienia różnych narodowości i obywateli różnych krajów Europy, okupowanych przez hitlerowskie Niemcy.

III. Reżim obozu

Reżim obozowy był najściślej związany z podstawowymi założeniami niszczycielskimi do jakich obóz był powołany. Zawierał on zatem organizację głodu, organizację nadludzkiej pracy z biciem i mordowaniem, organizację nie-

zliczonych tortur, zadawanych przez oprawców w czasie wykonywania przymusowych robót, organizację różnego rodzaju mąk, zadawanych więźniom przez SS-manów i elementy kryminalne, nadsyłane z Niemiec do obozu.

Na odżywianie w obozie składał się posiłek poranny w postaci tzw. herbaty w ilości $\frac{1}{2}$ litra, a stanowiący wrzątek, zaprawiony suszonym burakiem i suszoną marchwią, nazywany także przez Niemców „ranną kawą”. Między 11 a 12 godz., po pięciogodzinnej męczącej pracy wydawano obiad, składający się z litra tzw. zupy, przygotowywanej niejednokrotnie ze świeżo skoszonej trawy i z chleba od 200 do 300 gr na dobę. Raz w tygodniu wydawano sztuczny tłuszcz, tzw. fetynę, w ilości 20 gr. Również raz w tygodniu w miesiącach zimowych wydawano 3 do 4 cienkich plasterków kielbasy. Wieczorem po pięciogodzinnej takiej samej męczącej nadludzkiej pracy wydawano tę samą ranną herbatę. Za każdym razem otrzymanie tego skąpego jedła połączone było z całym systemem mąk i prześladowań, bicia za źle lub nierówno utrzymaną menażkę oraz z najróżniejszych innych drobnych przyczyn. Szczególnie surowo karane były próby otrzymania dodatku z tego skromnego jedzenia. To z reguły pociągało za sobą karę batami połączoną z pozbawieniem jedła na przeciąg kilku dni. W ogóle kary połączone

z pozbawieniem jedzenia stanowiły ulubioną metodę oprawców niemieckich, przy czym istniał ekwiwalent 50 do 100 batów odpowiadający 5 dniom pozostawienia więźnia bez jedzenia.

System głodu doprowadzał więźniów do zupełnej bezsily i do jaskrawie wyrażającej się formy dystrofii w utracie wagi, co najlepiej charakteryzują zeznania samych skazańców, jak np. można dojść do wagi ptasiej, tj. do 32 kg, przy 75 kg wagi przedobozowej. Dystrofii towarzyszyły zazwyczaj schorzenia wszelkiego rodzaju kiszek, całych wnętrzności, wszystko zaś razem prowadziło nieuchronnie do gruźlicy, która uwiła sobie pewne gniazdo w obozie, tak, że każdy przybywający do obozu, jeżeli nie był szybko zamordowany systemem stosowanym w obozie — w najlepszym razie zapadał na gruźlicę.

Zorganizowany w obozie głód w niektórych wypadkach prowadził do ludożerstwa. Stwierdzono 18 takich wypadków. Większa część tych wypadków zachodziła w oczach ochrony SS i sprowadzała natychmiastowe rozstrzeliwanie nieszczęsnych ofiar.

W ciągu ostatnich dwóch lat kierownictwo obozu stosowało jako zasadę, w wypadkach ciężkiego zapadania na dystrofię i gruźlicę, uśmiercanie nieszczęsnych więźniów w komorach gazowych.

Na podstawie wiarogodnych zeznań stwierdzono, że przy dokonywaniu robót na zewnątrz obozu każda próba zjedzenia zielonego pomidora, bądź surowego kartofla czy zdobycia w inny jakiś sposób jadła karana była najokrutniej; nierzadko kończyła się śmiercią na miejscu „przestępstwa“.

Regulamin obozu, począwszy od chwili znalezienia się w nim, obejmował system wszelkich okrucieństw i mąk, każdy więzień podlegał najdokładniejszej rewizji przy rozbieraniu go do naga z oglądaniem gardła, uszu oraz innych części ciała wraz z odziewaniem go w specjalny aresztancki uniform i ciężkie drewniaki na nogi. Więzień taki otrzymywał swój porządkowy numer, który pozbawiał go imienia i nazwiska i towarzyszył mu aż do zgonu.

Wszyscy więźniowie zmuszeni byli wstawać o godzinie czwartej, czemu zazwyczaj towarzyszyły uderzenia pałkami, ciężkimi butami SS-manów, batami capo, nieustające urągania i szczekanie psów, z którymi SS-mani zazwyczaj wkraczali do baraków.

Z kolei następowało ustawienie wszystkich w szeregi na placu przed barakiem, przy czym winni byli stanąć bez wyjątku wszyscy chorzy i nawet umarli, których jeszcze nie zdążono odstawić do krematorium. Tych ostatnich wynoszono i układano na lewym skrzydle.

Przechodząca wszelkie siły praca odbywała się wśród bicia i tortur kończących się w wielu wypadkach śmiercią. Naturalnym zjawiskiem był powrót z pracy grupy więźniów, którzy nieśli kilka trupów bądź też śmiertelnie pobitych. Poza znęcaniem się na miejscu pracy ci spośród skazańców, którzy zdaniem dozorców zbyt powolnie wykonywali pracę, podlegali publicznej karze na swoim polu obozowym w obecności wszystkich więźniów. Urządzane były pokazowe egzekucje dokonywane przy pomocy batów na specjalnie urządzonym w tym celu wzniesieniu. Liczba uderzeń zależała także i od zachowania się ofiary w czasie bicia. Np. krzyk, skutek bólu z reguły powodował powiększenie liczby uderzeń i sprowadzał niejednokrotnie śmierć.

Arsenał mąk i znęcanie się nad więźniami obfitowały we wszystkie możliwe nowości, w które tak bogaty okazał się rozum SS-manów. Niektóre z tych sposobów nosiły charakter tzw. „żartów“, które jednak bardzo często kończyły się uśmierceniem ofiary.

Do liczby tych „żartów“ odnieść należy rzekome rozstrzelanie z jednoczesnym ogłuszeniem ofiary przy pomocy uderzenia po głowie deską, bądź innym tępym przedmiotem, dalej — topienie w basenie obozowym, kończące się

rzeczywistym utopieniem, jeśli ofiara nie zdążyła się odziać w określonym czasie.

Wśród oprawców byli specjaliści do różnego rodzaju tortur i zabójstw; np. zabicie przy pomocy uderzenia pałą z tyłu głowy, zabicie uderzeniem końca buta w brzuch, bądź w pachwinę.

Wśród oprawców SS-mańskich odbywały się w tym względzie współzawodnictwa.

Wreszcie byli i tacy oprawcy, którzy wyćwiczyli się w topieniu ofiar w kanale napelnionym brudną wodą, wyciekającą z łaźni. Głowę ofiary pogrążano w brudną ciecz i przytrzymywano butem tak długo, aż dopóki nie wydała ostatniego tchnienia.

Ulubioną metodą oprawców hitlerowskich było podwieszanie ofiar — (ten system stosowany był przez Niemców jeszcze w okresie pierwszej wojny światowej 1914 — 1918). System ten został w obozie na Majdanku odnowiony i udoskonalony. Francuz Le-Du-Couranten, który doświadczył na sobie tego systemu, charakteryzuje go jako jeden z najcięższych sposobów męczenia więźniów. Przy podwieszaniu skazaniec szybko traci przytomność, po czym podwieszanie zostaje przerwane, a kiedy przytomność powraca, podwieszanie zaczyna się na nowo.

Do liczby niewiarogodnych okrucieństw zaliczyć należy spalenie żywcem pewnej Polki, która odmówiła rozebrania się przy rozstrzelaniu w krematorium.

Naprzód związano jej ręce i nogi, po czym związana przez kata Mussfelda wepchnięta została do pieca i tam spalona.

Ten sam oprawca Mussfeld własnoręcznie rozstrzeliwał maleńkie dzieci i sam trupy tych dzieci wrzucał do pieca. Był wypadek, że w oczach wszystkich obsługujących krematorium Mussfeld rozerwał na dwoje czteroletnie dziecko i potem je spalił.

Schwycony do niewoli jeden z pracowników obozu, b. członek partii hitlerowskiej, b. oficer starej wilhelmowskiej armii, obecnie oficer SS — Ternes, w czasie przesłuchiwania przez Nadzwyczajną Komisję nawet nie usiłuje prostować wymienionych wyżej faktów i w swoich zeznaniach w następujący sposób je charakteryzuje:

„Administracja obozu stworzyła taki ustrój, przy którym jeńcy wojenni i więźniowie musieli umierać w wielkiej liczbie. Śmiertelność ta miała miejsce z następujących powodów: brak środków lekarskich do leczenia chorych, wykorzystywanie więźniów do ciężkiej fizycznej pracy, stałe ciężkie katowanie itd.“ (Patrz materiał śledczy, tom II, str. 523-531).

Wszystkie wypadki przytoczone wyżej częściowo zaledwie odzwierciadlają system katuszy stosowany w obozie wobec więźniów i jeńców wojennych.

Stwierdzają one, że nawet częściowo przytoczony materiał i charakteryzujące obóz majdankowski fakty uśmiercania ludzi nie mają sobie nic równego w historii świata.

IV. Wytępienie jeńców wojennych

Krwawe dzieje obozu na Majdanku rozpoczynają się od masowego rozstrzeliwania rosyjskich jeńców wojennych, dokonywanego przez SS-manów na rozkaz Berlina w ciągu listopada i grudnia 1941 roku. Z partii wynoszącej ponad 8000 ludzi do lutego 1942 r. pozostało przy życiu zaledwie 80, wszyscy pozostali zostali rozstrzelani i tylko niewielka część zamęczona została systemem tortur i wszelkiego rodzaju mąk.

Powodem do rozstrzeliwań posłużyło pojawienie się w obozie zachorowań na tyfus brzuszny i plamisty oraz rozpoczynająca się ciężka dystrofia.

Nie chcąc korzystać ze znanych środków medycznych lekarze niemieccy przyszlizli do wniosku, że najlepszym sposobem profilaktycznym dla usunięcia epidemii są kule z SS-mańskiego automatu. Ten „medyczno-sanitarny“ sposób

był też zastosowany przez kierownictwo obozu na Majdanku.

Ciężarowe samochody, załadowane jeńcami wojennymi, zajeżdżały nad krawędź kamieniołomów i wykopanych rowów, po czym następowała komenda i jeńcy wojenni zmuszani byli schodzić do grobu.

Wielu z nich próbowało się sprzeciwić, niektórzy próbowali wyblagać u bezlitosnych oprawców hitlerowskich życie, co w rezultacie wywoływało ze strony SS-manów tym większe znęcanie się nad bezbronnymi ofiarami.

Jeńców pozbawionych sił fizycznych bito kolbami, zrzucono z ciężarówek, strzelano do nich jeszcze w wozach, a wszyscy znaleźli śmierć w wykopanych rowach.

Były wypadki, że używano samochodów z automatycznie podnoszącą się karoserią. Więźniowie zrzucani byli wprost do rowów i masowo rozstrzeliwani przez SS-manów.

Wszystko to działo się w oczach okolicznych mieszkańców w odległości 100 do 150 m od miejsca kaźni.

Jeńców wojennych pod grozą śmierci używano w charakterze oddziałów robotniczych przy pracy w krematorium do spalania trupów oraz przy pracy w łaźni, przy komorach gazowych, gdzie dokonywano masowego uśmierca-

nia zarówno znajdujących się w obozie, jak doprowadzonych z zewnątrz spoza obozu.

Te kolumny robotnicze w pewnych odstępach czasu były „odnawiane”. Sposobem masowego ich gazowania i palenia likwidowano niepotrzebnych świadków niemieckich bestialstw i okrucieństw.

W ten sposób jeńcy wojenni, znajdujący się w obozie, znaleźli się w warunkach jakby poza wszelkim prawem, co niewątpliwie leżało w zamierzeniach polityki hitlerowskiej.

V. Masowe tępienie ludności cywilnej

Masowe tępienie ludności cywilnej różnych krajów Europy, głównie zaś Polski i okupowanych okręgów Z. S. R. R., stanowiło politykę hitlerowskich Niemiec, związaną ściśle z zajęciem olbrzymich obszarów na Wschodzie i zamierzoną ich kolonizacją elementem niemieckim.

Organizacja masowego tępienia ludności i stworzenie do tego celu odpowiednich metod były w całej pełni zrealizowane w obozie na Majdanku. Cel wyniszczenia osiągnano w drodze organizowania masowych rozstrzeliwań, czego przykładem stają się masowe egzekucje w roku 1942 w lesie krępieckim, który skądinąd uważany być może za swego rodzaju filię Majdanka, dalej przy pomocy masowego roz-

strzeliwania w samym obozie w dniu 3 listopada 1943 roku, oraz zastosowania komór gazowych dla masowego uśmiercania gazem i trucizną chemiczną „Cyklon“ i wreszcie sposobem masowego wieszania dochodzącego w poszczególne dni do 80 ofiar.

Metody te nie wyczerpują bynajmniej całego systemu bestialstw i okrucieństw, stosowanych w obozie. Wyliczanie ich nigdy nie mogłoby objąć wszystkiego, czego widownią był obóz, a co było udziałem zarówno znajdujących się w obozie jak i skierowywanych do niego celem wyłączenia.

W roku 1944 dokonywano w obozie masowych rozstrzeliwań. Mieszkaniec wsi Krępiec, Tadeusz Drabik był naocznym świadkiem, jak pewnego dnia SS-mani na 88 ciężarowych samochodach przywieźli do lasu krępieckiego ludzi różnych narodowości, różnego wieku, mężczyzn, kobiety i dzieci. Wśród nich byli Polacy, Czesi, Francuzi i inne narodowości. Po przywiezieniu do lasu krępieckiego wyrzuceni zostali z samochodu siłą, po czym odebrano im biżuterię, pieniądze, zegarki i następnie grupami pognano do lasu. W lesie rozbierano ich do naga, odzież składano na jedno miejsce, po czym dokonywano rozstrzeliwań grupami. bądź pojedynczo nad przygotowanymi uprzednio olbrzymimi dołami.

Świadek ten zeznaje dalej, iż ukryty w gęszczu, widział i słyszał, jak dzieci i kobiety, a w szczególności kobiety z niemowlętami u piersi, wskutek przerażenia same padały do dołów jeszcze przed wystrzałami. Niektórzy lekko ranni przewracali się do dołów, z których wydobywały się przerażające krzyki. Oprawcy niemieccy rzucali w te doły granaty celem dobijania ofiar.

Innym przykładem masowych rozstrzeliwań, dokonywanych w samym obozie, jest rozstrzelanie ponad 6000 ludzi w jeden z dni wiosennych 1942 roku.

Wreszcie 3 listopada 1943 roku w obozie lubelskim rozstrzelano 18 400 ludzi. Spośród nich 8 400 było więźniów obozowych, zaś 10 000 przywieziono z obozu przy ulicy Lipowej. Większość rozstrzelanych stanowili Żydzi, obywatele Polski oraz innych krajów zachodniej Europy. Pośród rozstrzelanych prawie połowę stanowiły kobiety, było również wiele dzieci i starców. Mordu tego dokonano w ciągu jednego dnia.

Świadek Niedziałek oraz inni obserwujący tę straszliwą rzeź twierdzą, że w późnych godzinach nocnych po dokonanych rozstrzeliwaniach, mimo że doły były przysypane ziemią, słyszać było jęki i można było zaobserwować poruszanie się ziemi, przy czym zjawisko to

trwało do czasu wyciągnięcia ofiar z dołów i spalenia w krematorium.

Wiele z tych żywych trupów kierownik krematorium Mussfeld dobijał osobiście palką.

Jeden z rozstrzelanych, będąc lekko ranny, pierwszej nocy wydobył się ze wspólnego grobu i usiłował uciec, był jednak doścignięty przez psa i zabity następnie przez SS-mana.

Świadkowie tych masowych rzezi, zmuszani do wykonywania tych czynności pod grozą śmierci, wydobywali trupy pomordowanych z dołów, po czym po dokonaniu tych czynności byli również rozstrzeliwani i paleni w piecach.

Okoliczni mieszkańcy Majdanka byli bardzo często naocznymi świadkami masowych rozstrzeliwań z następującym później paleniem w krematorium.

Począwszy od marca 1944 roku aż do 22 czerwca włącznie gestapowcy zwozili na samochodach i podwodach wielkie ilości Polaków, których ogłaszano jako partyzantów. Obok mężczyzn były wśród nich kobiety i dzieci. Ofiary zwożono pod krematorium po czym następowała znana kolejność rzeczy.

Drugim środkiem stosowanym do masowego tępienia ludności były komory gazowe. Praca tych komór gazowych rozwinęła się w pełni pod koniec 1942 roku, po czym już bez przerwy w ciągu dwóch lat ich funkcjonowania spełni-

ły one straszne swoje zadanie uśmiercania wielotysięcznych rzesz ludzkich.

Świadek Stanisławski, b. więzień koncentracyjnego obozu na Majdanku, zeznał przed Nadzwyczajną Komisją, że widział, jak dokonano uśmiercenia w komorach gazowych 300 Polaków w marcu 1943 roku i 157 dzieci w dniu 17 maja t. r. Zarówno dorosłych jak i dzieci najpierw prowadzono do kąpieli, gdzie musieli się rozebrać, po czym pędzono ich do komory gazowej. Sprzeciwiających się wpychano siłą lub zabijano. Zamykano hermetycznie drzwi i w zależności od komory, do której zapędzono ofiary, albo duszono je gazem ze specjalnych balonów, albo też przy pomocy proszku wsypywanego przez otwory w suficie.

20 czerwca 1943 roku tenże Stanisławski był świadkiem, jak rozebrano do naga 350 ludzi i po kąpieli rozmieszczono w komorach gazowych.

14 października 1943 roku, jak zeznaje tenże świadek, dokonano uśmiercenia w „gazkamearach“ 250 więźniów obozowych. Inny świadek Zelent, zeznaje o fakcie uduszenia 87 Polaków w dniu 15 marca 1944 roku.

Świadek, więzień Holender, Benen widział, jak dokonano uśmiercenia w komorach gazowych 200 więźniów w kwietniu 1943 r.

Byli oni sprowadzeni z trzeciego pola i pod pretekstem kąpieli uśmierceni.

Poza kontyngentem obozowym systematycznie zwożono skazańców z więzienia lubelskiego oraz z innych koncentracyjnych obozów masy ludzkie do uśmiercania w komorach gazowych.

Trzecim sposobem masowego uśmiercania było wieszanie. Na każdym polu obozowym była szubienica, na której wieszano tzw. winnych za takie lub inne rzekome przestępstwa, a w szczególności za najmniejsze chociażby usiłowanie do ucieczki z obozu.

Szubienica stała w pośrodku pola w tym celu, ażeby procedura wieszania mogła być widziana przez nieszczęśliwych więźniów całego pola.

Poza wykorzystaniem tych jakby „oficjalnych“ miejsc wieszania w razie potrzeby stosowano inne prymitywne sposoby, jak np. przetrzucanie przez głęboki i szeroki rów kloca i wieszanie na nim jednocześnie sześciu do siedmiu ludzi.

Zdarzało się, że w obozie, o jednym czasie, wieszano 80 i więcej osób. Wieszanie stanowiło jedną ze zwykłych praktyk, takich samych, jak rozstrzeliwanie i uśmiercanie ludzi w komorach gazowych.

Jeśli zachodziła potrzeba powieszenia większej ilości ludzi, wykorzystywano w tym celu bu-

dynki gospodarcze, gdzie pod sufitami były umieszczone krążki, na które zarzucano sznury i w ten sposób dokonywano wieszania.

Na podstawie dokładnych obliczeń i badań komór gazowych oraz na podstawie chemicznej analizy stosowanego w komorach gazu, pozostawionego w specjalnych balonach, i trującego „Cyklonu“, również pozostawionego w wielkiej ilości w specjalnych składach, Komisja doszła do następujących wniosków:

„Techniczna i sanitarno-chemiczna analiza komór gazowych lubelskiego koncentracyjnego obozu w zupełności potwierdza wszystkie zeznania, że komory gazowe, a w szczególności pierwsza, druga, trzecia i czwarta były przeznaczone i użyte wyłącznie dla masowego i systematycznego uśmiercania ludzi. Komory piąta i szósta, jeżeli nawet używane były dla celów dezynfekcji odzieży, to tylko jedynie dla dezynfekcji odzieży pozostałej po uśmierconych ludziach.“

W oparciu o pewne techniczne obliczenia specjalna komisja ustaliła, że przy jednoczesnym użyciu wszystkich komór można było jednorazowo otruć 1914 osób (patrz akta sądowo-technicznej i chemicznej ekspertyzy i materiały do śledztwa tom II, str. 575-585).

W ten sposób na podstawie zeznań świadków i na podstawie ekspertyzy technicznej

i chemicznej oraz sądowo-lekarskiej można przyjąć do wniosku, że w obozie na Majdanku zorganizowany był system masowego uśmiercania ludzi przy pomocy: masowych rozstrzelania, duszenia w komorach gazowych, masowego wieszania i odpowiednio do tego celu przystosowanego reżimu obozowego.

VI. Ograbianie mordowanych

Ograbianie mordowanych również było ujęte w starannie obmyślony system.

Dowody rzeczowe znalezione przez Komisję w obozie na szóstym polu i w magazynach, należących do Gestapo przy ulicy Szopena w Lublinie, rzucają jaskrawe światło na dokonywane w gigantycznej skali ograbianie mordowanych ofiar.

I tak na szóstym polu znajduje się w baraku ogromny skład obuwia najróżnorodniejszych rodzajów, poczynając od obuwia dla dzieci i młodzieży aż do modnego obuwia z paryskich magazynów, butów żołnierskich i obuwia chłopskiego. Obok obuwia całego znaleziono znaczne ilości obuwia poprutego i ułożonego z niemiecką dokładnością w stosy celem odtransportowania w głąb Rzeszy.

Ekspertyza techniczna, dokonana przez komisję, przy oględzinach znajdującego się w skła-

dzie obuwia ustaliła, iż w składzie tym znajduje się 820 000 par obuwia.

W składzie Gestapo przy ul. Szopena w Lublinie znajdują się olbrzymie ilości męskiej, kobiecej i dziecięcej bielizny oraz najróżnorodniejsze rzeczy osobiste. Tak np. dziesiątki tysięcy szpilek nici, tysiące par różnego obuwia, tysiące męskich kołnierzyków ze znakami różnych miast europejskich — Warszawy, Paryża, Pragi, Wiednia, Berlina, Amsterdamu, Brukseli i innych, dalej tysiące płaszczy kąpielowych, pidżam, pantofle nocne, zabawki dziecięce, pędzle do golenia, nożyki, nożyczki oraz całe mnóstwo innych przedmiotów w olbrzymich ilościach, obok równie wielkiej ilości różnego rodzaju waliz, toreb itp.

Ujawniony został okólnik Urzędu Gospodarczego Służby SS, w myśl którego wzbrania się wydawania krewnym rozstrzelanych jakichkolwiek rzeczy, w szczególności odzieży, gdyż, jak czytamy w tym okólniku, były wypadki wydawania odzieży po rozstrzelanych ze śladami krwi.

W końcu na podstawie zeznań świadków, i to właśnie SS-manów, ujętych do niewoli, a którzy zatrudnieni byli w obozie, ujawniony został w gigantycznej skali system grabieży, mający na celu wykorzystanie całego dobytku po zamordowanych.

Odzieży i obuwie, jak to zeznał zastępca komendanta składów obozowych, Vogel, była sortowana w obozie i wywożona do Niemiec.

„Ja osobiście w jednym tylko 1944 roku odtransportowałem powyżej osiemnastu wagonów odzieży i obuwia. Nie mogę ściśle powiedzieć, ile odtransportowano tej odzieży, jednak twierdzę, że odzieży tej i obuwia było bardzo wiele. To, co ja odtransportowałem, było zaledwie małą częścią tych transportów kierowanych do Rzeszy.“

Naczelnik innego składu, drugi SS-man, Schollen, utrzymuje, że odzież i obuwie, ujawnione w ogromnych ilościach w obozie, należały do ludzi, którzy byli w obozie uśmierceni.

W końcu SS-man Ternes, b. kontroler finansowy obozu, zeznaje: „Wiadomo mi jest, że pieniądze i rzeczy drogocenne, które odbierano od uwięzionych, wywożone były do Berlina po uprzednim zważeniu i sklasyfikowaniu. Wszystko to, zdobyte przy pomocy grabieży, stanowiło dużą pozycję w dochodach państwa niemieckiego. Pieniądze, złoto i rzeczy drogocenne kierowano do Berlina wiele razy. Wiem o tym dokładnie, ponieważ w obozie pracowałem w charakterze kontrolera finansowego. Muszę podkreślić, że wiele pieniędzy oraz biżuterii, odebranych od więźniów, nie było w reje-

strach ujawnionych, ponieważ rozkradali je Niemcy zatrudnieni przy tych czynnościach.“

VII. Zacieranie śladów w zbrodni

Jeśli pod koniec 1941 roku i prawie w ciągu całego 1942 r. wszystkie ofiary, zamordowane w obozie na Majdanku, były zakopywane, to już pod koniec 1942 r., a w szczególności w latach 1943 i 1944, we wzmożonym tempie dokonywano masowych spalań w piecach krematoryjnych.

Już w roku 1942 w dwóch piecach, przeznaczonych do spalania śmieci, palono trupy. Mała pojemność pieców zezwalała na wkładanie zaledwie czterech trupów do każdego pieca, samo zaś spalanie trwało dwie godziny. Wten sposób można było w ciągu doby spalić zaledwie 48 trupów przy normalnej pracy obu pieców.

Sposób ten nie zaspokajał minimalnych potrzeb wynikających z stosowania w obozie tortur, wieszania bądź zabijania innymi metodami.

W całej ostrości stało przed niemieckimi katami w początku 1943 roku zagadnienie zatarcia śladów popełnionej zbrodni w związku z ujawnieniem mogił katyńskich.

Okoliczność ta zniewoliła, po pierwsze, do pobudowania potężnego krematorium z pięciu piecami, po drugie, do stworzenia na terytorium samego obozu i w lesie krępieckim potężnych

i niegasnących ognisk, przy pomocy których masowo palono rozstrzeliwane bądź zamęczane ofiary.

Na podstawie zeznań świadków zamieszkałych obok Majdanka oraz mieszkańców wsi Krępiec, położonej tuż przy lesie, jak również na podstawie zeznań samych więźniów pozostałych przy życiu i niemieckiej obsługi obozu wziętej do niewoli — ustalono, że w lesie krępieckim począwszy od 15 kwietnia 1943 r. do dnia 15 czerwca tegoż roku bez przerwy płonęły potężne ogniska.

Ogniska takie przygotowywane były wówczas przez specjalne do tego celu wydzielone kolumny spośród więźniów obozowych i jeńców wojennych.

Warstwy trupów przekładano warstwami drzewa, przy czym używano drabin dla układania tych potężnych ognisk, po czym wszystko to oblewano ropą i podpalano. Takie kolosalne ogniska płonęły nieraz po kilka dni.

Jednocześnie płonęło w krępieckim lesie 6 do 7 takich ognisk. W międzyczasie zaś zwożono traktorami na przyczepkach olbrzymie ilości nowych trupów.

Niezależnie od tego, w ciągu całego 1943 roku w obrębie Majdanka płonęło kilka podobnych ognisk, po 500 i 1000 trupów każdy. Płonęły one w ciągu tygodni i miesięcy, a woń

roznosząca się po okolicy uniemożliwiła nieraz oddychanie.

Poza tym bez przerwy pracowało świeżo wybudowane krematorium, którego eksploatację rozpoczęto w połowie 1943 r. i kontynuowano aż do ostatniej chwili przepędzenia hitlerowskich oprawców z Lublina.

Ekspertyza techniczna po najdokładniejszym zbadaniu konstrukcji pieców orzekła co następuje:

„Piece przeznaczone były dla spalania trupów i obliczone były na nieustającą pracę. Do jednego pieca można było włożyć cztery trupy jednocześnie z obciętymi kończynami. Czas potrzebny do spalenia czterech trupów wynosił 15 minut, co przy pracy wszystkich pieców stwarzało możliwości spalenia 1920 trupów w ciągu doby.“

Przyjmując pod uwagę wyżej wymienione obliczenia Komisja ekspertów przychodzi do wniosku, że tylko przy pomocy jednego krematorium spalono na terenie obozu ponad 600 000 trupów.

Na gigantycznych ogniskach w lesie krępieckim w ciągu czterech miesięcy dokonano spalania około 300 000 trupów.

Ponadto przy pomocy dwóch czynnych pieców w latach 1942-1943 spalono ponad 80 000 trupów.

I wreszcie na ogniskach, czynnych przez dłuższy okres czasu w obrębie Majdanka, spalono co najmniej 400 000 trupów.

Celem dalszego zatarcia śladów zbrodni władze obozowe Majdanka usuwały skrupulatnie nawet popiół z krępieckiego lasu. Z reguły popiół wywożono na terytorium obozu, gdzie tworzyły się ogromne jego zwaly, które Komisja poddała dokładnym oględzinom i badaniu uzyskując nowy przeanalizowany materiał do śledztwa.

Na terytorium samego obozu w pobliżu krematorium popiół zakopywano do głębokich dołów i rowów. Nieco dalej rozrzucany był na wielkiej przestrzeni ogrodów obozowych, zajmujących w przybliżeniu dwadzieścia hektarów.

Popiół wykorzystywany był również jako nawóz dla pól i ogrodów należących do hitlerowskich rządców Lublina. Ponadto popiół był mieszany z nawozami sztucznymi oraz z wszelkiego rodzaju nieczystościami i wywożony na pobliskie pola około obozu.

Ponieważ przy spalaniu na stosach i w krematorium pozostawały drobne kości ludzkie, których ukrycie stanowiło dużą trudność, obsługa obozu celem zatarcia i tych śladów przestępstwa zastosowała sposób mielenia tych kości przy pomocy specjalnych maszyn, sprowadzo-

nych z Niemiec i nieustannie pracujących zarówno w samym obozie jak i w lesie krępieckim. Maszyny te zwożone były i do innych miejsc spalania trupów, jak np. do miasta Chelma (zeznanie świadka Stebdickera).

Mimo jednak tych wszystkich sposobów tuszowania zbrodni, przy rozkopywaniu podejrzanych miejsc w lesie krępieckim ujawniono jamę (Nr. 19), w której znaleziono ponad 300 trupów, mężczyzn, kobiet i dzieci, w liczbie tych ostatnich — dwoje niemowląt.

Na terytorium samego obozu ujawnione zostały świeże trupy ostatnich rozstrzeliwań oraz całe stosy kości i czaszek, których nie zdążono spalić i przemleć.

Podkomisja Sądowo-Lekarska pod przewodnictwem profesora medycyny sądowej Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego dra Schilling-Siengalewicza w wyniku szczegółowych oględzin wszystkich znalezionych trupów, kości, popiołów i innych rzeczowych dowodów przysłała do wniosku, że:

„W lubelskim koncentracyjnym obozie na Majdanku w ciągu całego jego istnienia, na przestrzeni czterech lat, rozmyślnie i zgodnie z głęboko przemyślanym systemem i konsekwencją dokonywano masowego uśmiercania ludzi, zarówno zatrzymanych w obozie jak i umyślnie przywożonych do obozu dla wytępie-

nia. Przyjmując pod uwagę: a) masowe uśmiercanie, b) uśmiercanie w komorach gazowych, c) zebrany materiał przez ekspertyzę techniczną, d) dokumenty sądowo-lekarskiej ekspertyzy i e) materiały śledztwa, — Sądowo-Lekarska Komisja ekspertów ustaliła, że za cały czas istnienia obozu na Majdanku hitlerowcy wymordowali ponad półtora miliona ludzi“. (Patrz dokumenty śledztwa tom I i II, a w szczególności str. 601 i 650).

Mimo zastosowania przez hitlerowców różnych sposobów dla zatarcia śladów bestialskich przestępstw nie udało się im zatrzeć śladów metod masowego uśmiercania ludzi w obozie na Majdanku i śladów potwornej zbrodni.

Na podstawie szczegółowych badań zebranych materiałów i dokumentów, Nadzwyczajna Komisja do zbadania zbrodni niemieckich popełnionych na terenie miasta Lublina przyszła do przekonania, że za cały czas istnienia obozu na Majdanku wytępiono ponad półtora miliona ludzi.“

Czerwiec 1946 r.

SPIS RZECZY

	Strona
Od Autora	9

Część pierwsza

I Otchłań	15
II Głód	21
III Chłód	33
IV Choroby	39
V Katusze	53
VI Hart ducha	75
VII Ostatnia wędrówka	89

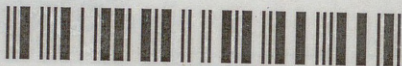
Część druga

Trzy epoki w historii Majdanka	101
VIII Epoka jeńców	103
IX Epoka trójporozumienia ...Polaków, Rosjan i Żydów	111
X Epoka „Wieży Babel“	127
XI Majdanek krwawiącą raną społeczeństwa polskiego	187
XII Majdanek symbolem solidarności polskiej .	251
XIII Ostatni akt	277



Biblioteka Główna
Akademii Sztuki Wojennej

15442/1



11-015442-000-0